

THE MASTER OF ACTION AND SUSPENSE

ALISTAIR MACLEAN

CARAVAN TO VACCARES

'Even more
action-packed than
its predecessors'

The Times



MACLEAN ALISTAIR

Tabor do Vaccares

ALISTAIR MACLEAN

Wstęp

Przy pełnej kurzu krętej ścieżce w górach Prowansji zatrzymali się na wieczorny posiłek Cyganie. Przybyli z Transylwanii, z węgierskiej puszczy, z wysokich Tatr, a nawet z rumuńskich plaż omywanych przez wody Morza Czarnego. Ich tabor miał za sobą długą drogę. Przemierzyli monotonne, spalone słońcem równiny Europy Środkowej oraz pełne trudów i niebezpieczeństw łańcuchy górskie. Była to, krótko mówiąc, męcząca podróż, nawet dla nich, którzy mieli włóczęgę we krwi.

Jednak twarze mężczyzn, kobiet, a nawet dzieci, siedzących półkolem przy dwóch koksownikach, nie zdradzały wyczerpania. W swych tradycyjnych strojach przysłuchiwali się łagodnym, melancholijnym dźwiękom muzyki pochodzącej z węgierskich stepów. Nie było widać po nich zmęczenia, ponieważ w przeciwieństwie do swych przodków, wędrujących przez Europę kolorowymi, niewygodnymi wozami zaprzęzonymi w konie, współcześni Cyganie poruszali się nowoczesnymi i doskonale wyposażonymi karawaningami turystycznymi, lśniącymi od chromu i lakieru. Teraz ich podróż zbliżała się ku końcowi. Liczyli na to, że uda im się uzupełnić zasoby finansowe, poważnie uszczuplone podczas długiej drogi, dlatego też zmienili swe codzienne ubrania na tradycyjne cygańskie stroje. Cieszyło ich także, że pielgrzymka kończy się już za trzy dni. To wszystko sprawiło, że na twarzach Cyganów malował się spokój i zadowolenie, zaprawione pewną melancholią.

Wśród nich znajdował się jeden mężczyzna, który nie słuchał muzyki. Siedział z nieprzeniknioną twarzą z dala od pozostałych Cyganów na ostatnim stopniu schodków swojego pojazdu, na wpół pogrążony w cieniu. Nazywał się Czerda i był ich przywódcą. Pochodził z wioski położonej gdzieś w delcie Dunaju, której nazwa była trudna do wymówienia. Ten wysoki, proporcjonalnie zbudowany i dobrze amięśniony mężczyzna w sile wieku sprawiał wrażenie dziwnie odprężonego, jednak czuło się, że jest to pozorny spokój, że na zagrożenie odpowie błyskawicznie. Zresztą jego kruczoczarne włosy, wąsy i oczy oraz czarne

ubranie, nieodparcie kojarzyły się z jastrzębiem. Na kolanie oparł rękę z palącym się cygarem, którego dym spowijał mu twarz, ale tego nawet nie zauważał.

Zdumiewały jego oczy, które ani przez chwilę nie były nieruchome. Niewiele uwagi poświęcał swym rodakom skupionym przy koksowych piecykach. Znacznie bardziej interesował go poszarpany łańcuch górski, którego wapienne skały białły w świetle księżyca, a zdecydowanie najbardziej długi rząd cygańskich karawaningów. Tam jego spojrzenie biegło najczęściej. W końcu dostrzegł coś ciekawego, wstał i przydepnął cygaro. Jego twarz nie zmieniła wyrazu, gdy bezgłośnie ruszył w stronę parkujących pojazdów.

Mężczyzna, który w cieniu ostatniego wozu czekał na Czerdę, wyglądał jak jego młodsza, ale wierna pod każdym względem kopia. Był nieco mniej barczysty i niższy, lecz zarówno sylwetką, jak i rysami twarzy przypominał cygańskiego przywódcę sprzed kilkunastu lat. Nawet niezbyt spostrzegawczy człowiek nie miałby wątpliwości, że to jest jego syn.

Czerda, który nigdy nie używał zbędnych słów czy gestów, uniósł jedynie brew. Młodzieniec skinął głową, wyprowadził go na drogę i wskazał odległą o niespełna pięćdziesiąt metrów ścianę białego wapienia.

Wznosiła się ona prawie pionowo, zaś u podnóża przypominała plaster miodu gigantycznych pszczoł. Taki wygląd nadawały jej prostokątne otwory różnej wielkości, rozmieszczone zupełnie bez ładu i składu, lecz niewątpliwie będące dziełem człowieka. Wejście, które wskazywał młody Cygan, tak na oko miało około dwunastu metrów wysokości i tyle samo szerokości.

Czerda skinął głową, po czym odwrócił się i spojrzał w prawo. Z cienia wyłoniła się jakaś postać i uniosła rękę, Cygan w ten sam sposób odpowiedział na to pozdrowienie i wskazał na skałę. Człowiek bez słowa zniknął, zaś Czerda skierował się w lewą stronę, gdzie zauważył cień drugiego mężczyzny i powtórzył te same gesty, następnie wziął od syna latarkę i razem podążyli szybko ku czerniejącemu w oddali wejściu. Światło księżycy, który właśnie wyszedł z chmur, zaśniło na nożach o wąskich, długich ostrzach, lekko zakrzywionych na końcach, które Cyganie trzymali w dłoniach. Muzyka dochodząca z taboru zmieniła tempo i nastrój: skrzypce wzywały teraz do cygańskiego tańca.

Od samego wejścia ściany jaskini rozsuwały się na boki a sklepienie unosiło w górę, tworząc wewnątrz przypominające gigantyczną katedrę

lub starożytny grobowiec. Obaj mężczyźni włączyli latarki, ale strumienie światła, choć silne, to jednak nie zdołały dotrzeć do przeciwległej ściany olbrzymiej pieczary, którą wykuły w skale dawno wymarłe generacje Prowansalczyków. Nie mogło być nawet cienia wątpliwości, że jest ona dziełem ludzkich rąk: na pionowych ścianach widać było tysiące poziomych i pionowych nacięć w miejscach, gdzie oddzielono rozmaitej wielkości bloki wapienia.

Dno jaskini było podziurawione prostokątnymi otworami, niektóre z nich mogły pomieścić samochód osobowy, inne zaś nawet domek jednorodzinny. W kątach leżały sterty kamieni, lecz poza tym wewnątrz pieczary sprawiało wrażenie, jakby przed chwilą ktoś ją wysprzątał. Po obu stronach wejścia znajdowały się solidne otwory, za którymi panowała absolutna, nieprzenikniona ciemność. Było to miejsce ponure, napiętnowane przez los, nieubłagane wrogie, groźne i naznaczone śmiercią, lecz na żadnym z Cyganów nie wywarło najmniejszego nawet wrażenia. Pewnym krokiem niemal równocześnie ruszyli w stronę wejścia znajdującego się z prawej

strony.

Głęboko, w samym sercu kamiennej pułapki, stała przytulona plecami do ściany drobna postać, ledwie zauważalna w zimnym blasku księżyca, który przedostawał się przez pęknięcia w suficie. Palce jej były kurczowo wbite w skałę, jakby chciała się w nią wtopić, jakby w niej próbowała znaleźć schronienie. Chłopiec ten miał nie więcej niż dwadzieścia lat. Był ubrany w ciemne spodnie i białą koszulę. Na jego szyi połyskiwał srebrny krzyżyk zawieszony na delikatnym, również srebrnym łańcuszku, który unosił się i opadał z regularnością metronomu, poruszany szybkim oddechem, świadczącym o zupełnym wyczerpaniu. W ciemności błyszcząły białe zęby wyszczerzone w upiornym uśmiechu przerażenia. Rozdęte nozdrza i wytrzeszczone oczy oraz twarz błyszcząca od potu jak wysmarowana wazeliną dopełniały obrazu śmiertelnie przestraszonego człowieka. Osiągnął on już niemal kres swych możliwości fizycznych, mając jednocześnie świadomość nieuchronnie zbliżającej się śmierci. Panika, jaka ogarnęła chłopca, pozbawiła go zdrowego rozsądku i zepchnęła w otchłań szaleństwa.

Uciekinier wstrzymał oddech, gdy dostrzegł dwa krążki światła tańczące przy lewym wejściu do jaskini. Przez chwilę stał jak skamieniały, obserwując zbliżające się światła, ale po kilku sekundach obudził się w nim instynkt samozachowawczy i z cichym jękiem rzucił się w prawą stronę. Buty na miękkiej podeszwie pozwalały mu poruszać się bez

szelestnie. Minął zakręt i zwolnił, wyciągając przed siebie ręce, bowiem za załomem panowały absolutne ciemności, nie rozjaśnione nawet rozproszonym światłem księżyca. Musiał poczekać, aż oczy przyzwyczają się do ciemności. Powoli ruszył ku następnej jaskini, kierując się bardziej wyczuciem niż wzrokiem. Przyspieszony oddech odbijał się echem od niewidocznych ścian otaczających chłopaka, wywołując dziwne szepty.

Tymczasem obaj Cyganie posuwali się żwawo stale naprzód, oświetlając drogę latarkami; co kilkanaście sekund światła zataczały półokrąg, omiatając wnętrze jaskini. Na znak Czerdy zatrzymali się i dokładnie sprawdzili najbardziej oddaloną od wejścia część pieczary. Okazała się pusta, a Czerda z zadowoleniem kiwnął głową, po czym zagwizdał w szczególny sposób.

Chłopak słysząc ten dwutonowy dźwięk znieruchomiał, skurczył się w swej kryjówce, która oczywiście nie mogła dać żadnego schronienia przed pościgiem. Przerażony, spojrzął w stronę, skąd dobiegł gwizd i prawie natychmiast odwrócił się, gdyż z lewej strony podziemnego labiryntu dobiegł do niego identyczny dźwięk, a po kilku sekundach trzeci – z prawej. Ogarnięty paniką próbował coś dostrzec lub usłyszeć, ale poza dalekim głosem skrzypiec, przypominającym odległą epokę względnego bezpieczeństwa, nic nie mąciło ciszy i nie rozpraszało ciemności. Wewnątrz jaskini panował złowróżbny spokój.

Przez kilka sekund stał nieruchomo sparaliżowany strachem. Wytrąciły go z tego stanu kolejne gwizdy dochodzące w tej samej kolejności i z tych samych kierunków, ale ze znacznie bliższej odległości. Towarzyszył im poblask latarek z kierunku, z którego przybył. Pobiegł na oślep w stronę, z której nie było słyhać żadnych dźwięków. Nie przyszło mu do głowy, że może to być pułapka. Chłopak już nie był zdolny trzeźwo myśleć. Teraz kierował nim instynkt silniejszy niż rozum, instynkt, który mówił, że jak długo człowiek się nie poddaje, tak długo żyje.

Przebiegł zaledwie kilka kroków, gdy dziesięć metrów przed nim rozbłysło światło latarki. Zatrzymał się jak wryty. Wolno opuścił ramię, którym odruchowo osłonił oczy przed nagłym blaskiem, i mrużąc je rozejrzał się, próbując ustalić rozmiar i odległość od tego nowego zagrożenia. jednak zdołał jedynie dostrzec masywną postać, trzymającą

w jednej ręce latarkę. Po chwili powoli wysunęła się do przodu druga ręka, dzierżąca mocno długi, cienki o lekko zakrzywionym ostrzu nóż, w którym odbijało się światło. Następnie latarka i nóż zaczęły się wolno zbliżać do nieruchomej postaci.

Chłopak odwrócił się, zrobił dwa kroki i ponownie stanął jak wryty – przed nim

równie blisko rozbłysły dwie latarki także oświetlające dłonie z nożami. Najbardziej przerażająca była cisza, w jakiej się to wszystko odbywało i powolne podchodzenie ścigających, którzy coraz bardziej osaczali zbiega, jakby mieli pewność jego nieuchronnego końca.

–No, Aleksandrze – nagle odezwał się łagodnym głosem Czerda. – Jesteśmy starymi przyjaciółmi, prawda? Nie chcesz nas już znać? Dlaczego?

Zapytany z jękiem rzucił się w prawo, gdzie było widać wejście do kolejnej jaskini. Z trudem łapiąc powietrze i potykając się co parę kroków, wbiegł do jej wnętrza, nie zatrzymywany przez prześladowców, którzy nawet za nim nie podążyli. Bez pośpiechu, jak dotychczas, zmienili po prostu kierunek marszu i z wolna ruszyli za nim.

Chłopak stanął i rozejrzał się błędnym wzrokiem – jaskinia była niewielka, a blask latarek z tyłu na tyle silny, by mógł dostrzec, że wszystkie ściany są solidną skałą bez żadnych otworów czy szczelin, które umożliwiłyby dalszą ucieczkę. Jedynym wyjściem było to, przez które wbiegł, co oznaczało tylko jedno – koniec ucieczki.

Dopiero wtedy do jego otępiełego umysłu dotarło, że ta jaskinia czymś się różni od pozostałych. Wprawdzie światło latarek mogło rozproszyć mrok, ale prześladowcy byli jeszcze zbyt daleko, by tak dobrze oświetlić całe wnętrze, a przecież widział wszystko wyraźnie. W porównaniu z poprzednimi pieczarami w tej panował półmrok. Prawie u jego stóp zaczynało się skalne usypisko, powstałe najwyraźniej w wyniku jakiegoś poważnego kataklizmu w przeszłości. Odruchowo uniósł głowę i stwierdził, że rumowisko wznoszące się pod kątem mniej więcej czterdziestu stopni nie miało szczytu; ciągnęło się w górę na jakieś kilkanaście metrów, a na jego szczycie było widać otwór, przez który przebłyskiwało rozgwieżdżone niebo. Stąd właśnie pochodziło światło rozpraszające mroki jaskini – z dawno zarwanego stropu.

Chłopak był nieludzko zmęczony, ale ten widok pobudził jego organizm do jeszcze większego wysiłku; jego mięśnie działały zupełnie niezależnie od otępiełego umysłu. Spojrzał do tyłu, oceniając, jak daleko jest pościg, dopadł osypiska i zaczął się na nie wdzierać.

Rumowisko było miejscem niepewnym i niebezpiecznym nawet dla kogoś, kto próbowałby je pokonać ostrożnie; na każde pół metra, które 9

Aleksander pokonał pod górę zsuwał się trzydzieści centymetrów w dół. Jednak strach dodawał mu siłę, pozwalając przewyciężyć nawet prawa ciężenia i tarcia. Uciekinier piął się w górę, wbrew fizyce i zdrowemu rozsądkowi, po osuwającym się rumowisku, na które nikt przy zdrowych zmysłach nawet by nie próbował wejść.

Po pokonaniu jednej trzeciej drogi chłopiec zdał sobie sprawę, że pod nim zrobiło

się dziwnie jasno. Spojrzał w dół i zobaczył stojące nieruchomo trzy postacie. Uniesione głowy świadczyły, że obserwują jego wysiłki, ale latarki teraz zostały skierowane w dół na skaliste podłoże. Było to tak dziwne, że nawet otumaniony umysł zbiega to zauważył, ale nie miał czasu zastanawiać się nad tym, gdyż skały pod jego nogami zaczęły się osuwać i musiał szybko posuwać się dalej.

Kolana bolały go od potłuczeń, ale pomimo otartych dłoni, połamanych i ponadrywanych paznokci, dążył wytrwale ku zbawczemu otworowi.

Mniej więcej w dwóch trzecich drogi musiał zrobić kolejny przystanek, gdyż pokrwawione ręce i nogi odmawiały posłuszeństwa. Ponownie spojrzął w dół i ze zdumieniem stwierdził, że trójka prześladowców znajduje się dokładnie w tym samym miejscu i w takich samych pozycjach jak poprzednio. Wyglądali zupełnie tak, jakby na coś czekali. W otępiałym umyśle zbiega zaczął wreszcie kiełkować niepokój. Na co czekają? Uniósł głowę ku niebu i już znał odpowiedź.

Na krawędzi otworu siedział mężczyzna, oświetlony blaskiem księżyca. Cień częściowo skrywał jego twarz, ale można było dostrzec czarny, sumiasty wąs i błysk białych zębów; wyglądało, że człowiek ten się uśmiecha. W prawej dłoni trzymał latarkę, a w lewej nóż o wąskim, zakrzywionym ostrzu. Widząc uniesioną głowę chłopaka, mężczyzna włączył latarkę i zsunął się do wnętrza jaskini.

Na twarzy uciekiniera nie było żadnej reakcji z tego głównie powodu, że właściwie nie odczuwał już nic. Zatrzymał się na chwilę, obserwując zbliżanie się kolejnego prześladowcy, którego poprzedzały osuwające się kamienie, po czym gwałtownie rzucił się w bok, aby uniknąć ciosu nożem. Wówczas jego nogi straciły oparcie i wraz z obluzowanym kawałkiem wapienia zjechał w dół, rozpaczliwie koziółkując. Ten ruch spowodował osypywanie się coraz większej masy skalnych odłamów, które utworzyły istną lawinę, tak że schodzący z góry mężczyzna, by utrzymać równowagę, musiał robić coraz szybsze i coraz dłuższe kroki, aż w końcu wyprzedził tego, kogo ścigał. Towarzyszyło mu bombardowanie mniejszymi i większymi kamieniami sypiącymi się w dół z rumowiska. Było ono tak silne, że wszyscy prześladowcy cofnęli się

ku wyjściu o dobre dziesięć kroków. Aleksander z głuchym łomotem wylądował na ziemi, instynktownie osłaniając głowę ramieniem. Za nim jeszcze przez kilkanaście sekund sypały się wapienne okruchy, boleśnie go obtłukując. Gdy wreszcie kamienny deszcz ustał, chłopiec przez dłuższą chwilę leżał nieruchomo, oszołomiony nagłością wydarzeń. Wreszcie się pozbierał i stanął niepewnie na nogach. Rozejrzał się wokół. Otaczał go zacieśniający się powoli krąg złożony z pięciu mężczyzn uzbrojonych w noże. Ale Aleksander już nie przypominał zaszczutego zwierzęcia; w ciągu ostatnich minut przeszedł przez wszystkie rodzaje strachu i zdążył pogodzić się ze swym losem. Już nie miał się czego bać, mógł spokojnie spojrzeć śmierci w twarz. Spojrzał więc w twarze jej pięciu wysłanników. Stał i czekał, aż przyjdą po

niego.

Czerda położył ostatni kawałek skały na szczycie kopca, który powstał u podnóża osypiska, i wyprostował się. Krytycznym wzrokiem obejrzał dzieło i z zadowoleniem skinął głową. Następnie wskazał pozostałym wyjście, po raz ostatni rzucił okiem na stertę kamieni i ruszył w ślad za innymi.

Gdy znaleźli się przed skalnym labiryntem, w dziwnie ostrym świetle księżyca, Czerda skinął na syna. Ten zwolnił pozwalając, by pozostała trójka znacznie ich wyprzedziła.

–Myślisz, Ferenc, że są jeszcze wśród nas jacyś niedoszli kapusie? – cicho spytał Czerda.

–Nie wiem. Nie ufam Josefowi i Pauli, ale kto to może mieć pewność?

–No to będziesz ich obserwował, tak jak obserwowałeś biednego Aleksandra, niech mu ziemia lekką będzie. – Czerda przeżegnał się bez śladu wesołości.

–Będę – w głosie Ferenc'a było słychać zdziwienie, że ojciec mówi o rzeczach tak oczywistych. – Za godzinę będziemy w hotelu. Jak myślisz, zarobimy coś dzisiejszej nocy?

–Kogo obchodzą grosze rzucane przez bogatych snobów? – parsknął pogardliwie Czerda. – Tego, kto nam płaci, tam nie będzie. Jednak musimy odwiedzić ten zasrany hotel, tak jak robiliśmy dotychczas i będziemy robić w przyszłości. Nie należy wzbudzać niepotrzebnych podejrzeń, mój synu. Pozory są wygodne i bezpieczne. Nigdy nie wolno ci o tym zapomnieć.

–Tak, ojciec – przytaknął Ferenc i pospiesznie schował nóż. Cyganie wrócili do obozowiska nie zauważeni przez nikogo i siedli

z dala od siebie, poza zasięgiem blasku rzucanego przez ogień. Zgromadzeni przy ognisku nadal przysłuchiwali się tęsknym melodiom granym na skrzypcach. Ognie przygasły, ukazując czerwone węgle i muzyka niespodziewanie umilkła. Skrzypkowie nisko się skłonili, a słuchacze nagrodzili ich oklaskami. Najgłośniej bił brawo Czerda, zupełnie jakby właśnie wysłuchał gry Heifetza podczas koncertu w Carnegie Hall. Cały czas jednak jego oczy błędziły po okolicy, najczęściej zatrzymując się na wapiennej ścianie kryjącej jaskinię, która niedawno stała się grobowcem.

Rozdział pierwszy

“Mury fortyfikacji Les Baux wyglądają niczym przerąbane toporem olbrzyma, a ponure szczątki fortecy są najbardziej opuszczonymi ruinami w całej Europie” – głosił przewodnik, ilustrowany kolorowymi zdjęciami. Dalej można było przeczytać: “Choć upłynęły wieki, Les Baux nadal jest otwartym grobowcem i ponurym wspomnieniem średniowiecznego miasta, które żyło gwałtownie i podobnie skończyło. Oglądać Les Baux to jak spojrzeć w wykutą w nieprzemijającym kamieniu twarz śmierci”.

Przewodniki turystyczne mają tendencję do ujmowania spraw grafomańsko i górnolotnie, należy jednak przyznać, że przeciętny czytelnik po obejrzeniu pozostałości Les Baux nie byłby szczególnie uradowany, gdyby jakiś bogaty przodek zapisał mu tę okolicę w testamencie. Bezsprzecznie było to najbardziej niegościnne, opuszczone i zdecydowanie niezachęcające gruzowisko w zachodniej Europie. Całkowite i wprawiające w osłupienie zniszczenie było dziełem siedemnastowiecznych saperów, którzy stracili cały miesiąc i Bóg jeden wie ile ton prochu, by doprowadzić twierdzę do stanu całkowitego zniszczenia. Trzeba przyznać, że naprawdę się starali – osiągnęli efekty zbliżone do wybuchu bomby atomowej, gdyż stara forteca została niemal całkowicie unicestwiona. Nadal jednak w jej pobliżu ludzie żyli, pracowali i umierali.

U stóp zachodniego zbocza, na którym stały mury Les Baux rozciągał się obszar, doskonale pasujący do ruin. Został on słusznie nazwany Piekielną Doliną – częściowo dlatego, że był położony między ruinami twierdzy a podnóżem gór, a częściowo dlatego, że w lecie ta głęboka, wychodząca na południe kotlina była niewiarygodnie gorąca i pozbawiona życia. Nazwa pasowała idealnie. Jednakże w północnej części tego “uroczego” zakątka rozciągał się zaskakujący widok; leżała tam zielona, doskonale utrzymana, wręcz luksusowa oaza, która wyglądała wprost baśniowo. Był to hotel, otoczony wysadzonymi drzewami alejkami, egzotycznymi

ogrodami i basenem z błękitną wodą. Ogrody roz

ciągały się na południe, basen był pośrodku, zaś od strony północnej, za dużym podjazdem, kilka schodków prowadziło się na prostokątny parking, obrośnięty gęstym żywopłotem i przykryty wiklinowym dachem, zapewniającym cień. Za basenem znajdowało się ocienione patio, a dalej stał hotel. Jego budynek stanowił architektoniczną krzyżówkę klasztoru braci trapistów i hiszpańskiej hacjendy. Prawdę powiedziawszy, był to jeden z najlepszych, a więc i najdroższych hoteli w Europie. Naturalnie, restauracja była na równie wysokim poziomie.

Patio dyskretnie oświetlały niewidoczne lampy zawieszane na dwóch najwyższych drzewach, których gałęzie zwieszały się nad piętnastoma stolikami. Stały one w sporej odległości od siebie, lśniąc od kryształów i sreber. Kuchnia z pewnością była tu znakomita, a cisza, w jakiej goście spożywali posiłki, kojarzyła się z pełnym nabożeństwa spokojem panującym zwykle w wielkich katedrach świata. Jednakże nawet w tym gastronomicznym rajku zazgrzytała fałszywa nuta.

“Nuta” ta ważyła jakieś sto kilogramów i gadała bez chwili przerwy, niezależnie od tego czy usta miała pełne, czy nie. Ten postawny mężczyzna bez wątpienia zwracał na siebie uwagę innych gości. Zresztą zostałby zauważony nawet gdyby wszyscy razem spadli z północnego zbocza Eigeru. Po pierwsze, mówił nadzwyczaj donośnym głosem, choć nie była to poza nowobogackiego ani jakiegoś zrujnowanego arystokraty, podkreślającego w ten sposób wyższość swej sfery. W ogóle nie interesowało go, czy ktoś mu się przysłuchuje, czy nie. Gość był wysokim, barczystym, potężnym mężczyzną, ubranym w dwurzędowy smoking, tak dopasowany, że guziki były chyba przyszyte strunami od fortepianu. Czarne włosy, czarny wąs, także bródka i monokl w czarnej oprawie dopełniały całości obrazu. Monokl był właśnie w użyciu; przez niego mężczyzna uważnie studiował menu. Przy stoliku towarzyszyła mu niezwykle piękna dwudziestokilkuletnia dziewczyna, ubrana w niebieską minisukienkę. W tej chwili spoglądała ze sporym zaskoczeniem na swego brodatego towarzysza, którego głośne klaśnięcie spowodowało natychmiast do ich stolika właściciela w ciemnym garniturze, szefa sali w jasnym ubraniu i dyżurnego kelnera w służbowym uniformie.

–Encore – rzekł brodacz głosem tak subtelnym, że z pewnością był słyszany nawet na zapleczu kuchni.

–Naturalnie – skłonił się właściciel. – Następny antrykot dla księcia de Croytor. Natychmiast!

Obaj kelnerzy skłonili się jak przygięci podmuchem wiatru, wykonali zwrot niczym na placu defilad i dyskretnym truchtem ruszyli w kierunku kuchni.

Blondynka z rozbawieniem przyglądała się swemu towarzyszowi. – Ależ książę...

–Dla ciebie Charles – zdecydowanie przerwał jej de Croytor. Tytuły nie robią na mnie wrażenia, choć forma wielki książę już się przyjęła, bez wątpienia z powodu moich imponujących rozmiarów, imponującego apetytu i wielkopańskich manier wobec wszystkich gorzej urodzonych. Dla ciebie jednak, Lila, jestem po prostu Charles.

Dziewczyna, wyraźnie zmieszana, szepnęła mu coś, czego najwyraźniej nie usłyszał. Naturalnie natychmiast to okazał z właściwą sobie bezceremonialnością:

–Głośniej, jeśli łaska! Wiesz, że na to ucho jestem nieco przygłuchy. – Powiedziałam, że właśnie przed chwilą zjadłeś pokaźny antrykot. – Człowiek nigdy nie wie, kiedy zapanuje głód – stwierdził grobo

wym głosem wielki książę. – Pomyśl choćby o Egipcie! Nam na szczęście chwilowo to jeszcze nie grozi...

To ostatnie zdanie wypowiedział na widok szefa sali, który w otoczeniu trzech kelnerów zbliżał się do ich stolika. Z namaszczeniem godnym zaiste ceremonii prezentacji klejnotów koronnych położył on przed księciem solidną porcję mięsa. Towarzyszący mu kelnerzy kolejno stawiali na stole: półmisek ziemniaków, półmisek warzyw i wiaderko z lodem, z którego wychylały się szyjki dwóch butelek wina. Wiaderko stanęło na specjalnie w tym celu przyniesionym okrągłym stoliku. Wszystkie te czynności były obserwowane przez znakomitego gościa z pobłażliwą akceptacją.

–Wasza wysokość życzy sobie chleba? – spytał szef sali.

–Wiesz, że jestem na diecie – fuknął zapytany, po czym dodał po chwili zastanowienia: – Ale być może mademoiselle Delafont...

–Och, nie! – dziewczyna gwałtownie zaprotestowała.

Gdy kelnerzy odeszli, srivierdziła z podziwem, patrząc na zastawiony stół:

–W dwadzieścia sekund...

–Znają mnie tu, kotku – wymamrotał z trudem jej towarzysz, ponieważ miał usta pełne jedzenia.

–A ja nie – Lila Delafont przyjrzała mu się podejrzliwie. – Nie wiem na przykład, dlaczego mnie zaprosiłeś...

–Poza drobiazgiem takim jak zachcianka, które z zasady realizuję natychmiast,

istnieją cztery powody. – Kiedy jest się księciem, to można przerywać rozmówcy bez przeproszenia.

De Croytor wychylił następne pół litra wina i wyjaśnił znacznie wyraźniejszym głosem:

–Jedzenie w samotności nie jest nawet w połowie tak przyjemne jak jedzenie w towarzystwie to po pierwsze, znam twojego ojca, hrabiego Delafont, to po drugie, a po trzecie nie ma piękniejszej dziewczyny w pobliżu. A do tego byłaś sama.

Lila, tym razem poważnie zakłopotana, zniżyła głos, ale i tak nic jej z tego nie przyszło. Wokoło zapanowała cisza, ponieważ inni goście stwierdzili, że jakakolwiek wymiana zdań nie ma sensu, gdyż zostaną zagłuszeni przez księcia, więc przysłuchiwali się ich rozmowie.

–To nieprawda, przecież jest tu moja przyjaciółka, Cecile Dubois. – Mówisz o dziewczynie, z którą byłaś tu po południu?

–Tak.

–Moi przodkowie i ja zresztą też zawsze woleliśmy blondynki oznajmił tonem nie pozostawiającym wątpliwości, że brunetki nadawały się jedynie dla plebsu, a istnienia rudych nikt w ogóle nie zauważał.

Po namyśle jednak odłożył sztućce i spojrzał w bok.

–Przyznaję, niczego sobie – oznajmił scenicznym szeptem, który nie był słyszany dalej niż marne sześć metrów. – Twoja przyjaciółka, powiadasz. Kim ~r~ięc jest ten antypatycznie wyglądający nicpoń?

Mężczyzna, siedzący przy oddalonym zaledwie o trzy metry stoliku, czyli w zasięgu szeptu de Croytora, zdjął okulary w rogowej oprawie i odłożył je gestem wyraźnie wskazującym, że ma dość. Jego ubranie było tradycyjne, ale kosztowne: szara gabardyna i jedwab. Ciemnowłosy, wysoki, muskularny, o szerokich ramionach, nie mógł być na pierwszy rzut oka uznany za przystojnego jedynie z powodu lekkiej nieregularności rysów opalanej twarzy. Siedząca z nim wysoka brunetka uśmiechnęła się wyraźnie rozbawiona i położyła mu dłoń na ramieniu.

–Proszę, panie Bowman – powiedziała z błyskiem zielonych oczu. – Naprawdę nie warto.

Mężczyzna spojrzał w jej roześmiane oczy i poddał się.

–Może nie warto, ale mam wielką ochotę. – Sięgnął po kieliszek, gdy dotarł do niego pełen dezaprobaty głos blondynki.

–Wygląda na boksera wagi ciężkiej. Bowman ujął kielich i uniósł go z uśmiechem.

–W rzeczy samej – wielki książę przełknął kolejne pół litra wina – ale jakieś dwadzieścia lat po szczycie formy.

Człowiek, o którym była mowa, odstawił kieliszek tak gwałtownie, że omal go nie rozbił, wylewając przy tym wino na serwetę i poderwał się z miejsca. Jednak Cecile oprócz innych zalet miała także doskonały refleks – zagroziła mu drogę do sąsiedniego stolika. Zanim zdążył 16

zareagować, ujęła go delikatnie, lecz stanowczo pod ramię i poprowadziła w stronę basenu. Dla obserwujących tę scenę, wyglądali jak para, która właśnie skończyła posiłek i dbając o swe zdrowie, udała się na wieczorny spacer. Bowman poddał się niechętnie. Wyglądało, że starcie z księciem sprawiłoby mu autentyczną przyjemność, ale zrezygnował, ponieważ nie miał zwyczaju prowadzić publicznie utarczek z kobietami.

–Przepraszam – szepnęła Cecile – ale Lila jest moją przyjaciółką i nie chcę, by musiała się wstydzić.

–Nie chcesz, żeby musiała się wstydzić. Doskonale! A to, że ja się wstydzę, nie ma znaczenia?

–Bez przesady, to tylko głupie docinki. Wcale nie wygląda pan antypatycznie, a przynajmniej nie dla mnie.

Bowman przyjrzał się jej podejrzliwie, ale tym razem w zielonych oczach nie było złościwości, tylko przyjazna powaga.

–Rozumiem, że może się panu nie podobać określenie “nicpoń” dodała dziewczyna. – A tak na marginesie, co pan właściwie robi? To na wypadek gdybym musiała pana bronić przed księciem. Słownie, ma się rozumieć.

–Do diabła z rum. Poza tym już mówiłem, że mam na imię Neil. – To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

–Za to pytanie jest z gatunku tych za pięć punktów – mruknął, przystając i zdejmując okulary. – Prawdę mówiąc, nic nie robię.

Byli już po drugiej stronie basenu, toteż Cecile puściła jego ramię bez obawy, że dotrą tu wścibskie spojrzenia, i popatrzyła bez entuzjazmu, jak starannie czyści szkła.

–Przepraszam, ale nie rozumiem pana.

–Już mówiłem, Neil. Wszyscy przyjaciele tak do mnie mówią.

–łatwo nawiązuje pan przyjaźnie, prawda? – spytała z typowo kobiecą logiką.

–Taki już jestem.

Nie słuchała go albo zignorowała.

–Chce pan powiedzieć, że nigdy pan nie pracował? – spytała z niedowierzaniem.

–Nigdy.

–Nie ma pan pracy? Nie został pan przygotowany do żadnego zawodu? Nie potrafi pan nic robić?

–A dlaczego miałbym się męczyć bez potrzeby? – spytał całkiem rozsądnie Bowman. – Mój tatuś był uprzejmy już zarobić miliony i nadal je zarabia. Ja natomiast uważam, że co drugie pokolenie może

zajmować się jedynie ładowaniem rodzinnych baterii biologicznych. Poza tym ja nie muszę pracować, a przecież wokół szaleje bezrobocie. Dlaczego mam pozbawiać zajęcia jakiegoś biedaka, który naprawdę bardziej go potrzebuje niż ja?

–To się nazywa przewrotność... Jak ja mogłam tak się pomylić?! – Ludzie przeważnie źle mnie oceniają – przyznał Bowman ze smutkiem.

–Czyli książkę miał rację! A ja nie chciałam zaufać jego przenikliwości – potrząsnęła głową, raczej bezradnie niż z potępieniem. – Pan faktycznie jest leniwym nicponiem, panie Bowman.

–Neil.

–Och, jest pan niepoprawny – po raz pierwszy w jej głosie pojawiła się irytacja.

–A poza tym zazdrosny i nieufny – dodał, biorąc ją pod rękę i kierując się w stronę patio. – Zwłaszcza zazdrosny o ciebie. A nieufny raczej wobec twojego stylu życia. Jak dwie angielskie dziewczyny, z trudem wiążące koniec z końcem, mogą przy pensjach sekretarek czy maszynistek płacić rachunek, który tutaj wynosi jakieś dwieście funtów na głowę tygodniowo?

–Lila i ja zbieramy materiał do książki – zaprotestowała, ale nie wtrypało to przekonywająco.

–O czym? – spytał uprzejmie. – O kuchni prowansalskiej? Wydawcy książek kucharskich nie płacą aż tak wysokich zaliczek. Kto więc zapłaci rachunki? UNESCO? British Council?

Przyjrzał się jej uważnie, ale niełatwo było wytrącić ją z równowagi. – Myślę, że

oboje powinniśmy podziękować naszym starym, dobrym tatusiom, prawda? – Bowman poprawił okulary. – Proponuję zawieszenie broni. Taka piękna noc, doskonale jedzenie i czarująca dziewczyna... Twoja przyjaciółka też jest niebrzydka. Kim jest ten Tomcio Paluszek, z którym je kolację?

Cecile nie odpowiedziała w pierwszej chwili, gdyż jak zahipnotyzowana obserwowała spektakl, którego główną postacią był naturalnie de Croytor. Trzymając w dłoni okazały puchar, dyrygował krzątanicą dwóch kelnerów przenoszących zawartość wózka na kółkach na stojącą przed nim tacę. Oniemiała Lila Delafont przyglądała się temu z otwartymi ustami.

–Nie mam pojęcia. Mówił, że jest przyjacielem jej ojca – wykrztusiła Cecile, z trudem odwracając wzrok od stolika.

–Kim jest gentleman siedzący z moją przyjaciółką? – spytała szefa sali, który znalazł się w pobliżu.

–Książę de Croytor, proszę pani. Bardzo znany producent win.

–Raczej spożywca win, jak widzę – poprawił go Bowman, ignorując milczącą naganę Cecile. – Często tu przyjeżdża?

–Od trzech lat regularnie o tej porze roku – odparł zapytany.

–Czy to sezon na jego ulubione potrawy, czy też z innego powodu? – Jedzenie jest tu znakomite o każdej porze roku, proszę pana odpowiedź szefa sali była uprzejma, choć w głosie zabrzmiała urażona duma. – Wielki książę przybywa tu na coroczny festiwal cygański w Saintes-Maries.

Bowman spojrział z lekkim zdumieniem na de Croytora, który właśnie pochłaniał stojący przed nim deser.

–Teraz widać, po co mu wiaderko z lodem: do chłodzenia sztucców, by zbytnio się nie rozgrzały – mruknął. – Jego wygląd w ogóle nie zdradza cygańskiej krwi.

–Wielki książę jest jednym z czołowych folklorystów europejskich – wyjaśnił poważnie szef sali. – Studiowanie starych zwyczajów to godne pochwały zajęcie, panie Bowman, a Cyganie od wieków ściągają tu z całej Europy, by w końcu maja oddać hołd relikwiom Sary, ich świętej patronki. Wielki książę pisze o tym książkę.

–Tu aż się roi od pisarzy, których nikt by nawet w najśmielszych marzeniach nie podejrzewał o tak intelektualne zajęcia!

–Nie rozumiem, panie Bowman.

–Za to ja doskonale rozumiem – Bowman zauważył, że spojrzenie zielonych oczu może mieć temperaturę lodowca. – Nie ma potrzeby... Co to takiego, na litość boską?!

Pytanie wywołał przytłumiony ryk wielu silników pracujących na niskim biegu. Odgłos zbliżał się i do złudzenia przypominał przejazd oddziału czołgów. Brakowało jedynie zgrzytu gaśienic. Na podjeździe prowadzącym do hotelu wyłoniła się zza zakrętu kolumna cygańskich pojazdów. Część z nich wjechała na parking, część ustawiła się w równych rzędach na podjeździe. Hałas silników i spaliny wypełniły powietrze, zakłócając spokojny luksus tego zakątka. Nawet księżę przestał na chwilę jeść. Bowman spojrzął na właściciela stojącego w pobliżu, który wpatrywał się w gwiazdy i chyba w myślach liczył do dziesięciu. To podobno pomaga w chwilach nagłego zdenerwowania.

–Jak sądzę, przybył obiekt studiów wielkiego księcia? – spytał niewinnie, gdy właściciel opuścił wzrok.

–W rzeczy samej.

–I co teraz? Cygańska muzyka? Uliczna loteria? Strzelnica? Wróżenie z ręki i stragany jak na kościelnym odpuscie?

–Sądzę, że ujął to pan dość dokładnie, panie Bowman. – Dobry Boże!

–Snob! – parsknęła Cecile.

–Przyznaję, madame, że zgadzam się w zupełności z opinią pana Bowmana – odparł właściciel. – Niestety, to stary zwyczaj i nie chcemy obrazić ani Cyganów, ani okolicznych mieszkańców. Proszę mi wybaczyć.

Ruszył w stronę podjazdu, gdzie grupa Cyganów zawzięcie o czymś dyskutowała. Rozmowa toczyła się głównie między masywnym Cyganem w średnim wieku, o jastrzębiej twarzy i dumnej postawie, a nader elokwentną Cyganką w tym samym wieku, która wyglądała, jakby za chwilę miała się rozplakać.

–Idziesz? – spytał Bowman dziewczynę. – Gdzie? Na dół?

–Snobka! – Ależ...

–Mogę sobie być leniwym nierobem czy innym nicponiem, ale jestem wnikliwym badaczem ludzkiej natury.

–Właściwszym określeniem byłoby “wścibskim”. – Właśnie.

Ujął ją pod ramię i ruszyli w stronę schodów. Musieli jednak przystanąć, by przepuścić spieszącego w tym samym kierunku de Croytora. Za księciem znacznie wolniej i ze znacznie mniejszym entuzjazmem podążała Lila. Wielki książe dzierżył w dłoni notes, a w oku miał błysk badacza odkrywającego nieznaną folklor. W pogoni za wiedzą nie zapomniał o sprawach przyziemnych – w drugiej dłoni miał soczyste, czerwone jabłko, które jadł ze smakiem. Wyglądał na człowieka, który zawsze wie, co jest najważniejsze.

Bowman i Cecile podążyli za nimi. Gdy byli w połowie schodów, do dżipa, który został odczepiony od pierwszego wozu, wsiadło trzech mężczyzn i z piskiem opon ruszyli drogą w dół. Bowman zdążył zejść ze schodów, kiedy od grupki usiłującej uspokoić płaczącą Cygankę oderwał się właściciel i pospieszył w stronę hotelu.

–Co się dzieje? – zainteresował się Bowman, zastępując mu drogę. – Ta kobieta twierdzi, że jej syn zniknął. Wysłali ludzi na miejsce ostatniego postoju.

–Nikt tak po prostu nie znika – zauważył Bowman, zdejmując okulary.

–ja też tak twierdzę. Dlatego właśnie idę zadzwonić na policję właściciel wyminął ich i pospieszył do hotelu.

Cecile, podążająca za nim bez entuzjazmu, spytała: – Skąd to całe zamieszanie?

–Słyszałaś, jej syn zniknął. – I co?

–To wszystko.

–Czyli nic mu się nie stało? – Tego nikt nie wie.

–Przecież mogą być dziesiątki powodów. Nie musi się biedaczka aż tak tym przejmować.

–Cyganie są bardzo uczuciowi – wyjaśnił Bowman – a do tego bardzo przywiązani do dzieci. ~r propos, masz jakieś?

Nie była tak opanowana, jak można było sądzić; nawet w półmroku nietrudno było zauważyć, że się zaczerwieniła.

–To nie było fair.

Bowman zamrugał gwałtownie, przyjrzał się jej i powiedział cicho: – Nie było. Przepraszam. Nie chciałem być brutalny. Ujmijmy rzecz inaczej: gdybyś miała dzieci i któreś z nich by zaginęło, czy zachowywałabyś się w ten sposób?

–Nie wiem.

–Powiedziałem, że jest mi przykro.

–Naturalnie, że bym się martwiła. – Nie była osobą, która potrafi się długo złościć. – Może bym i płakała, ale nie byłabym tak... tak przerażona czy rozhisteryzowana..., chyba że...

–Że co?

–Och, nie wiem. To znaczy chodzi mi o to, że gdybym miała powody przypuszczać, że... że...

–Że co? – powtórzył Bowman.

–Doskonale pan wie, o co mi chodzi.

–Nigdy nie wiem, o co chodzi kobietom – odparł smętnie – ale tym razem mogę się domyślić.

Podeszli kilka kroków i dosłownie wpadli na de Croytora i Lilę. Dziewczęta dokonały prezentacji i Bowman z niechęcią uściśnął prawicę arystokraty.

–Ogromnie mi miło – rzekł książę.

Widać było, że to nie jest prawda, ale arystokracja wie, jak należy się zachować. Uścisk jego ręki nie był miękki i słaby, choć można by się tego spodziewać. Był mocny, lecz nie bolesny, świadczył o tym, że człowiek ten zdaje sobie sprawę z własnej siły.

–Fascynujące – oznajmił jak zwykle donośnie wielki książę, adresując swoje słowa wyłącznie do obu dziewcząt. – Wiecie, że ci

wszyscy Cyganie przybyli tu zza żelaznej kurtyny? Większość to Węgrzy i Rumuni, a ich przywódca nazywa się Czerda. To ten uspokajający kobietę; przybył aż z nad Morza Czarnego. Poznałem go w zeszłym roku.

–Jak pokonują granice? – spytał Bowman. – Zwłaszcza między N'RD i RFN?

–Co? A...? Aha! – zapytany zwrócił wreszcie na niego uwagę. Lekceważą granice, a celnicy zwykle ich nie dostrzegają, zwłaszcza przy okazji corocznej pielgrzymki. Wiem, że to brzmi co najmniej dziwnie, ale taka jest prawda. Poza tym wszyscy się ich boją: uważają, że mogą rzucić zły urok czy przekląć tych, którzy próbują im przeszkodzić. O ile wiem, komuści są równie przesądni jak kapitaliści, a nawet, powiedziałbym, bardziej. Jest to naturalnie piramidalna bzdura, ale istotne jest, w co ludzie wierzą, a nie czy to jest prawda. Chodź, Lila, mam przeczucie, że dxiś będą chętni do współpracy.

Po paru sekundach książę stanął i rozejrzał się. Przez chwilę spoglądał na Cecile i Bowmana i w końcu oznajmił, jak przypuszczał *sotto voce*:

–Naprawdę szkoda, że ma takie ciemne włosy. Po czym oddalił się z Lilą.

–Nie przejmuj się – głos Bowmana zabrzmiał dziwnie miękko. Podobasz mi się taka, jaka jesteś.

Zacisnęła usta, a po sekundzie wybuchnęła śmiechem. Cecile Dubois najwyraźniej nie potrafiła długo żywić urazy i miała wrodzone poczucie humoru.

–On ma rację w jednej sprawie – ujęła Bowmana pod rękę, ale zanim zdążył wyjaśnić, że osobiste przekonanie księcia o wyższości blondynek nad resztą rodzaju żeńskiego nie jest równoznaczne z wyrokiem Opatrzności, dodała: – To naprawdę fascynujące widowisko.

–Jeśli się lubi atmosferę cyrku czy wesołego miasteczka – parsknął pogardliwie. – A te miejsca od lat starannie omijam. Natomiast przyjemnie jest zobaczyć prawdziwych fachowców przy pracy.

A zgromadzeni Cyganie niewątpliwie nimi byli. Stragany, strzelnice i całą resztę swego sprzętu rozłożyli z godną podziwu szybkością i zręcznością. W ciągu mniej więcej dziesięciu minut rozpoczęły swą pracę koła fortuny, przenośne ruletki, strzelnice, co najmniej cztery namioty, w których przepowiadano przyszłość, dwa stoiska z garderobą, pół tuzina ze słodyczami i drugie tyle z żywnością oraz stragan, na którym królowała olbrzymia klatka z południowoazjatyckimi szpakami.

Czterech Cyganów przycupniętych na stopniach jednego z wozów zaczęło grać na skrzypcach jakąś rzewną melodię, a podjazd i parking zapełniły się tłumem ludzi. Byli to goście hotelowi, goście innych hoteli, mieszkańcy Les Baux i okolic oraz spora liczba Cyganów. Pomimo mieszaniny typów, ras i narodowości wszyscy, od księcia poczynając a na najuboższym wieśniaku kończąc, bawili się doskonale. Jedyne wyjątkiem stanowił właściciel hotelu, spoglądający na jarmark ze stopni prowadzących do restauracji z rozpaczą i rezygnacją męczennika, podobną tej, jaką odczuwałby zagorzały meloman obserwując festiwal hipisowski w Metropolitan Opera.

Na podjeździe pojawił się postawny policjant, który zwrócił uwagę Bowmana. Był czerwony i spocony, czemu trudno się dziwić, gdyż przybył na raczej zabytkowym rowerze. Poza tym był w nie najlepszym humorze, słusznie uważając, że pchanie się takim pojazdem pod górę nie jest najlepszym sposobem spędzenia spokojnego i ciepłego majowego wieczoru. Z wyraźną odrazą oparł rower o ścianę i odwrócił się akurat w chwili, gdy Cyganka zakryła twarz rękoma i pobiegła do zielono-białego wozu.

–Podejźmy bliżej – zaproponował Bowman.

–Wolałabym nie. To nietaktowne, a poza tym Cyganie nie lubią wścibskich ludzi.

–Wścibskich? Od kiedy troska o zaginionego chłopaka jest wścibstwem? Ale skoro wolisz tu zostać...

Bowman zdążył zrobić parę kroków, gdy wrócił dziup. Wyskoczył z niego młody Cygan i podbiegł do Czerdy rozmawiającego z policjantem. Bowman zdążył już zbliżyć się do nich, jednak zachował dyskretny dystans.

–Widzę, Ferenc, że nie mieliście szczęścia? – spytał Czerda.

–Nigdzie go nie ma, ojciec. Przeszukaliśmy okolice obozu i drogę, ale nic nie znaleźliśmy, ani śladu.

–Gdzie był widziany ostatnio? – policjant wyjął z kieszeni służbowy notes.

–Mniej niż kilometr stąd, jak twierdzi jego matka – wyjaśnił Czerda. – Zatrzymaliśmy się na kolację w pobliżu jaskiń.

–Przeszukaliście je? – pytanie było skierowane do Ferenc, który przeżegnał się, ale nic nie odpowiedział.

–To nie było właściwe pytanie i pan o tym wie – odezwał się przywódca. – Żaden

Cygan za nic na świecie nie wejdzie do tych jaskiń. Aleksander, bo tak ma na imię zaginiony, też nigdy by tam nie wszedł.

–Sam bym tam nie wszedł, zwłaszcza w nocy – mruknął policjant, chowając notes. – Tutejsi wiedzą, że te jaskinie są przeklęte i nawiedzone, a ja urodziłem się niedaleko stąd. Jutro za dnia...

–Chłopak na pewno znajdzie się wcześniej – przerwał mu Czerda pewnym siebie tonem. – Ot, dużo szumu bez potrzeby.

–Ta kobieta, która przed chwilą pobiegła do wozu... to jego matka? – Tak.

–Dlaczego tak rozpacza?

–To młody chłopak, a wie pan, jakie potrafią być niektóre matki – Czerda z rezygnacją wzruszył ramionami. – Myślę, że lepiej pójdę i spróbuję ją uspokoić.

Policjant także się oddalił. Bowman rozejrzał się i podążył za Ferencem, który skierował się na parking. Coś w zachowaniu młodego Cygana zwróciło jego uwagę, choć nie był w stanie powiedzieć, co to było. Zatrzymał się przy bramie prowadzącej na parking i obserwował poczynania Ferenc'a.

Po prawej stronie od wejścia stały cztery jaskrawo pomalowane namioty, w których przepowiadano przyszłość. Pierwszy należał zgodnie z wywieszką do niejkiej Madame Marie-Antoinette, która zwracała pieniądze, jeśli nie zadowolona klienta. Bowman wszedł tam niezwłocznie, bynajmniej nie dlatego, że miał słabość do królewskich nazwisk czy chciał poznać własną przyszłość, ale zauważył, że Ferenc przed wejściem do ostatniego namiotu rozejrzał się uważnie. Nie mógł nie zauważyć Bowmana, a sądząc z rysów twarzy Ferenc należał do osobników chorobliwie wręcz nieufnych. Bowman chwilowo wołał nie wzbudzać podejrzeń u kogokolwiek, więc udał się po poradę w kwestii własnej przyszłości.

Marie-Antoinette była starą, siwą jędzą o oczach przypominających polerowany mahoń. Sądząc po oddechu, była też zagorzałą amatorką ginu. Wpatrując się w mętną, kryształową kulę (mętną głównie dlatego, bo brudną) wygłosiła standardowy zestaw komunałów o samotności, miłości, zdrowiu, szczęściu i sławie, które go bez wątpienia spotkają. Następnie przyjęła pięć franków i przymknęła oczy, co Bowman uznał za dyskretne danie do zrozumienia, że seans się skończył.

Przy wejściu stała Cecile wymachując torebką i przyglądała mu się z wyraznym rozbawieniem.

–To się nazywa studiowanie ludzkiej natury? – spytała słodko.

–Nie powinienem tam wejść! – oznajmił, zdejmując okulary i rozglądając się wokół

niepewnie w typowy dla krótkowidza sposób. Ponieważ właściciel stojącej naprzeciwko strzelnicy – krępy jego

mość z twarzą boksera, któremu niezbyt się wiodło na ringu, przyglą24

dał mu się wręcz nachalnie, Bowman nałożył okulary i spojrzał na Cecile.

–Złe wieści na przyszłość? – spytała niewinnie.

–Najgorsze. Ta baba twierdzi, że za dwa miesiące będę żonaty. Z pewnością się myli.

–A pan nie jest stworzony do małżeństwa – stwierdziła współczująco i wskazała głową drugi namiot. – Myślę, że należy zasięgnąć opinii Madame Jak-Jej-Tam...

Bowman przyjrzał się reklamie Madame Zetterling, po czym rzucił okiem na drugą stronę parkingu. Właściciel strzelnicy w dalszym ciągu był nim zafascynowany, toteż bez ociągania posłuchał rady Cecile.

Madame Zetterling wyglądała na starszą siostrę Marie-Antoinette, ale stosowała inną technikę; jej narzędziem pracy była talia zatłuszczonych kart. Posługiwała się nimi z taką wprawą i szybkością, że pierwsze rozdanie spowodowałoby natychmiastowe wyproszenie z każdego kasyna w Europie. Także i ona stwierdziła, że czeka go świetlana przyszłość. Opłata również była taka sama.

Cecile nadal z uśmiechem czekała przed namiotem, zaś przy bramie sterczał Ferenc, najwyraźniej zaskoczony miną właściciela strzelnicy. Bowman ponownie zdjął okulary i zabrał się za ich staranne czyszczenie.

–Boże, miej nas w opiece – mruknął – toż to nic tylko agencja matrymonialna. Nadzwyczajne. Prawdę mówiąc, to wręcz niewiarygodne!

Założył okulary i przyjrzał się nieco zaskoczonej dziewczynie. – Cóż takiego?

–Twoje podobieństwo do osoby, z którą mam się ożenić – wyjaśnił śmiertelnie poważnie.

–No, no – roześmiała się szczerze ubawiona. – Rzeczywiście ma pan wyobraźnię, panie Bowmax~.

–Neil – poprawił automatycznie i nie czekając na ciąg dalszy, wszedł do trzeciego namiotu.

Nie zrobił tego jednak aż tak szybko, by nie dostrzec, jak Ferenc wzrusza ramionami i wraca na podjazd. Trzecia wróżka mogłaby występować jako jedna z wiedźm w

“Makbecie”. Posługiwała się kartami tarota i była nieco oryginalniejsza od pozostałych, gdyż przepowiedziała mu długą podróż morską, w trakcie której spotka kruczowłosą piękność i się z nią ożeni. Na oświadczenie, że za dwa tygodnie bierze ślub z blondynką, tylko się uśmiechnęła i zainkasowała pięć franków.

Cecile, najwyraźniej traktująca go jako najlepszą rozrywkę w okolicy, nie mogła się wprost doczekać, co powie.

–I jakież rewelacje tym razem? – spytała, nie próbując nawet ukryć złośliwego zadowolenia.

Bowman ponownie zdjął okulary i potrząsnął głową w osłupieniu. Zdążył zauważyć, że wreszcie nikt się nim nie interesuje.

–Nic nie rozumiem – przyznał zakłopotany. – Powiedziała tak: “Jej ojciec jest wielkim marynarzem, podobnie jak jego ojciec i jak ojciec jego ojca”. To zupełnie bez sensu!

Dla Cecile natomiast wróżba ta najwyraźniej miała sens – jej uśmiech zgasł, a w zielonych oczach pojawiło się zaskoczenie i niepewność.

–Mój ojciec jest admirałem – powiedziała powoli. – Tak jak dziadek i pradziadek. Mogłeś... mogłeś się tego skądś dowiedzieć...

–Pewnie, że mogłem. Mam taką fanaberię, że kompletuję dane dotyczące każdej dziewczyny, jaką spotkam. Jeśli się pofatygujesz do mojego pokoju, to znajdziesz w walizce także i swoją teczkę. Poza tym ta stara jędza powiedziała jeszcze, że masz zamię w kształcie róży w miejscu raczej niewidocznym.

–Mój Boże!

–ładnie powiedziane. Przygotuj się moralnie na jeszcze gorsze now~Y – z ~ pełnymi otuchy słowami wszedł do czwartego namiotu, jedyne, który naprawdę go interesował.

Zasłona dymna była tak skuteczna, że nie musiał się już niczego obawiać; Cyganie uznali go za maniaka wróżbiarstwa, a Cecile była tak wstrząśnięta, że potraktowała jego zachowanie jako zupełnie normalne.

Wnętrze namiotu było pogrążone w mroku, który rozpraszała słaba lampka z abażurem, rzucająca krąg światła tylko na pokryty zielonym sukrem stół i na spoczywające na nim dłonie kobiety. Twarzy jej nie można było dostrzec, gdyż siedziała z pochyloną głową, pogrążona w mroku. Natomiast to, co było widać, zdecydowanie wykluczało ją z grona wieźm z “Makbeta”. Była młoda, tycjanowe włosy opadały jej na plecy, a ręce nawet w skąym oświetleniu były delikatne, smukłe i kształtne; z pewnością należały do młodej osoby.

Bowman siadł na krześle i spojrział na ustawioną na stole wizytówkę wróżki, na której było napisane: “Hrabina Maria le Hobenaut”.

–Naprawdę jest pani hrabiną? – spytał uprzejmie.

–Chce pan, bym powróżyła panu z ręki? – głos był łagodny i niski. – Oczywiście.

Ujęła jego dłoń i pochyliła się tak nisko, że bujne włosy dotknęły stołu. Bowman znieruchomiał, gdy na dłoni poczuł krople łez. Lewą ręką przekręcił abażur lampy. Dziewczyna gwałtownie się odsunęła, 26

osłaniając się przed nagłym blaskiem, jednak nie dość szybko, by nie dostrzegł jej urody i łez w dużych brązowych oczach.

–Dlaczego hrabina Maria płacze? – Przed panem długie życie...

–Dlaczego płaczesz? – Proszę.

–Niech będzie: Proszę, dlaczego płaczesz?

–Przepraszam. Jestem... jestem nieco roztrzęsiona... – Masz na myśli, że każda kobieta na mój widok... – Mój młodszy brat zaginął.

–Twój brat? Słyszałem, że ktoś zaginął, wszyscy słyszeli, prawdę mówiąc, że zaginął Aleksander, ale że to twój brat... Nie znaleźli go? Potrząsnęła przecząco głową.

–Ta kobieta w zielono-białym samochodzie to twoja matka?

Tym razem skinęła twierdząco, nadal się nie odzywając i nie podnosząc wzroku.

–To skąd te łzy? Nie ma go ledwie kilka kwadransów. Znajdzie się, zobaczysz.

Nadal nic nie mówiła, ale oparła głowę na dłoniach i wybuchnęła bezgłośnym, nie kontrolowanym płaczem. Bowman niepewnie dotknął jej ramienia i wyszedł.

Gdy znalazł się na zewnątrz, na jego twarzy malowało się oszołomienie. Cecile spojrzała nań z niejaką obawą.

–Czworo dzieci – oznajmił ze spokojem.

Następnie ujął ją pod ramię i wyprowadził na podjazd. Tutaj natknęli się na Lilę i wielkiego księcia rozmawiającego z potężnie zbudowanym Cyganem o twarzy naznaczonej bliznami. Nie zważając na pełne wYrzutu spojrzenie Cecile, Bowman zatrzymał się niedaleko tego osiłka, ubranego w ciemne spodnie i białą koszulę z frędzlami.

–Tysięczne dzięki, panie ICoscis – zadudnił wielki książę niczym zadowolony dziedzic do ekonoma. – To nadzwyczaj interesujące. Nadzwyczaj! Chodź, moja

droga, dosyć tego dobrego. Jestem przekonany, że zasłużyliśmy na drinka i małą przekąskę.

Bowman obserwował, jak de Croytor majestatycznie oddala się ku schodom, poczekał aż dotarł na patio i z namysłem przyjrzał się zielono-białemu pojazdowi.

–Lepiej nie – poradziła Cecile. Spojrzał na nią zaskoczony.

–A dlaczego nie mogę chcieć pomóc rozpaczającej matce? – spytał niewinnie. – Może mi się to uda, może nawet zacznę szukać tego 27

chłopaka. Gdyby więcej ludzi okazywało pomoc i współczucie komuś, kto jest w kłopotach, albo chciało im się ruszyć z wygodnego...

–Jest pan nie rokującym nadziei na poprawę hipokrytą – stwierdziła stanowczo.

–Problem w tym, żeby zastosować odpowiednią technikę. Jeśli książkę to potrafi, to ja też. Poza tym mam jakieś dziwne obawy... Pozostawił ją pełną obaw, nerwowo gniołącą chusteczkę i wszedł na

schodki prowadzące do części mieszkalnej pojazdu.

Na pierwszy rzut oka wewnątrz wydawało się puste, lecz po kilku sekundach, gdy oczy przyzwyczyły się nieco do mroku, stwierdził, że stoi w niewielkim, nie oświetlonym korytarzyku. Spod drzwi po przeciwnej stronie sączyło się światło i dochodziły kobiece głosy.

Gdy przekroczył próg, od ściany oderwał się jakiś cień, który nagle przyśpieszył i z ogromną siłą wyrzwał go głową w żebra. Uderzenie było tak silne, że Bowman nagle znalazł się na ziemi przed wozem. Kątem oka zdążył zauważyć Cecile pospiesznie uskakującą w bok. Stracił na chwilę oddech. Okulary poleciały gdzieś na bok, a on leżał, próbując łapać powietrze jak ryba wyjęta z wody. Tymczasem napastnik zszedł ze schodów i ukazał się w całej okazałości. Był to krępy, muskularny mężczyzna o zdecydowanie niesympatycznej twarzy. Schylił się nad leżącym, złapał go za kłapy i bez trudu postawił na nogi. Siła, z jaką to zrobił, nie wróżyła nic dobrego.

–Zapamiętasz mnie, przyjacielu – oświadczył głosem, który przypominał odgłos zużłta ześlizgującego się z metalowego sita. – Zapamiętaj, że Hoval nie lubi wścibskich, którzy wsadzają nos w nie swoje sprawy. Zapamiętaj też, że następnym razem Hoval nie użyje gołych rąk.

Drugi cios, który zainkasował Bowman, był równie silny. Choć tym razem Hoval użył tylko jednej pięści i tylko jeden raz, ale i to wystarczyło.

Bowman zatoczył się do tyłu i ponownie znalazł się na ziemi, tym razem w pozycji

siedzącej. Cygan z satysfakcją otrzepał dłonie i wrócił do wozu, Cecile zaś odszukała okulary i pomogła znokautowanemu się podnieść.

–Myślę, że wielki książę stosuje inną technikę – stwierdziła poważnie.

–Ten świat jest pełen niewdzięczności – zamruczał chrapliwie Bowman.

–I kto to mówi? Może wystarczy na dziś studiowania ludzkiej natury?

Skinął głową, gdyż było to zdecydowanie łatwiejsze niż mówienie.

–W takim razie wracamy na górę – zdecydowała. – Tym razem ja potrzebuję drinka.

–A jak myślisz, czego ja potrzebuję? – spytał obrażony. Przyjrzała mu się krytycznie.

–Prawdę mówiąc, chyba najbardziej niańki.

Po czym wzięła go za rękę i poprowadziła ku schodom.

Wielki książę, mający przed sobą solidnych rozmiarów paterę z owocami a obok blondynkę, na widok Bowmana przestał pochłaniać banana i uśmiechnął się tak ostentacyjnie bezosobowo, że aż obraźliwie.

–Wcale pouczający sparring – zauważył. – Trafił mnie, kiedy nie patrzyłem!

–Ach! – mruknął książę i dodał konspiracyjnym szeptem, nim Bowman i Cecile zdążyli się oddalić: – Tak jak mówiłem – grubo po szczytowej formie.

Cecile ostrzegawczo wzmocniła uścisk na ramieniu Bowmana, co tym razem było zbędną ostrożnością – uśmiechnął się tylko i spokojnie doszedł do stolika, przy którym czekał już kelner. Drinki zjawily się błyskawicznie i już po paru łykach można było zauważyć ich zbawienne działanie: Bowznan odzyskał głos.

–Przejdźmy do spraw istotnych. Będziemy mieszkali w Anglii czy we Francji?

–Proszę?

–Słyszałaś, co mi przepowiedziano? – Dobry Boże!

Bowman uniósł kielich: – Za Dawida!

–Kogo?!

–Naszego najstarszego. Właśnie wybrałem mu imię.

Zielone oczy spojrzały na niego bez rozbawienia czy irytacji, za to z głębokim namysłem. Bowman zaczął się poważnie zastanawiać. Niewykluczone, że Cecile Dubois była czymś więcej niż zwykłą ślicznotką.

Rozdział drugi

Dwie godziny później nikt nie mógłby powiedzieć, że Bowman ma sympatyczną twarz. Rozmaite tarapaty, w jakie stale wpadał, zostawiły na niej ślady, tak że w ogóle trudno było uznać go za przystojnego, zaś czarna maska z pończochy, którą nasunął teraz aż po oczy, nadawała mu zdecydowanie ponury wygląd.

Miał na sobie czarne ubranie i granatowy golf. Okulary, które były tylko rekwizytem charakterystycznym, gdyż od urodzenia miał doskonały wzrok, powędrowały do walizki. Zgasił światło i wyszedł na taras.

Okna wszystkich sypialni wychodziły na tę stronę, ale tylko w dwóch pokojach paliło się jeszcze światło. W pierwszym zasłony były dokładnie zasunięte, natomiast w drzwiach, jak stwierdził, nie było szyby. Lekko je uchylił i wsunął głowę. Był to pokój Cecile, która widocznie nie miała przykrych doświadczeń, więc z ufnością odnosiła się do otaczającego ją świata. Podeszedł do drugiego oświetlonego pomieszczenia i ostrożnie zajrzał do środka. Wprawdzie zasłony były rozsunięte, jednak nawet taniec wojenny Apaczów na tarasie nie wzbudziłby odrobiny zainteresowania osób znajdujących się w pokoju. Plecami do okna, przed wąskim stolikiem, na którym stała taca z kanapkami i szachownica, siedzieli blisko siebie wielki książę i Lila. Dziewczyna zgłębiała tajniki gry w szachy i choć zdawać by się mogło, że gracze powinni zajmować miejsca naprzeciwko siebie, książę miał, jak zwykle, własne, oryginalne podejście do sprawy.

Bowman uśmiechnął się i odsunął od okna.

Księżyc nadal jasno świecił, ale nad ruinami Les Baux wisiały ciemne chmury. Bowman zszedł na dół i próbował przedostać się na drugą stronę basenu, lecz patio było oświetlone i każdy, kto by próbował przez nie przejść lub zejść na podjazd, byłby doskonale widoczny dla każdego Cygana cierpiącego na bezsenność. A Bowman nie miał najmniejszych wątpliwości, że tacy istnieją.

Rzadko używaną ścieżką okrążył więc hotel i zbliżył się do podjazdu od zachodu. Poruszał się wolno i bezgłośnie w butach na gumowych podeszwach, cały czas trzymając się cienia. Nie istniał, rzecz jasna, żaden powód, by Cyganie wystawiali wartowników, ale z drugiej strony nie miał pewności, że tego nie zrobili. Bowman był zwolennikiem daleko posuniętej ostrożności i dlatego wołał założyć, że wystawili. Począł, aż chmury zakryją księżyc, i wszedł na podjazd.

Cały tabor był pogrążony w mroku. Tylko trzy wozy były oświetlone. Najbliższy i

największy z nich należał do Czerdy. Światło padało przez uchylone drzwi oraz przez zamknięte, ale nie zasłonięte okno. Bowman podkradł się do niego jak kot mający ochotę na wróbla i ostrożnie zajrzał do środka.

Wewnątrz, wokół okrągłego stolika siedziało trzech znanych mu z widzenia Cyganów: Czerda, Ferenc i Koscis. Przywódca pokazywał coś ołówkiem na mapie, najwyraźniej udzielając wyjaśnień. Okno było jednak wyjątkowo szczelne i uniemożliwiała rozróżnienie słów, zaś mapa w zbyt małej skali, by Bowman mógł dostrzec, co przedstawia, a tym bardziej, co pokazuje Czerda. Miał przeczucie, że z tego planowania nie wycrynknie dla niego nic miłego. Oddalił się więc równie cicho, jak przybył.

Okno drugiego oświetlonego wozu było otwarte i częściowo odsłonięte, dzięki czemu mógł bez trudu stwierdzić, że w środkowej części pojazdu nie ma żywego ducha. Zaryzykował więc i podszedł bliżej, by dokładniej obejrzeć wnętrze. Ledwie zerknął przez drzwi, zobaczył dwóch Cyganów grających w karty tuż przy wejściu. Jednego z nich widział pierwszy raz na oczy, za to z drugim miał okazję zapoznać się, i to całkiem blisko – był to bowiem Hoval, na którego wspomnienie czuł jeszcze ucisk w klatce piersiowej. Nadal nie znał odpowiedzi na pytanie, czego Hoval tak starannie pilnował w zielono-białym wozie oraz co robi tutaj, na nowym posterunku.

Ponieważ samo przyglądanie się nie dawało odpowiedzi na żadne z tych pytań, Bowman przesunął się na drugą stronę wozu. Tutaj wprawdzie panował mrok, ale okno było częściowo otwarte, choć niestety zasłonięte. Najdelikatniej, jak potrafił, odchylił zasłonę i zajrzał do wnętrza. Sypialnię oświetlał jedynie blask przedostający się przez nie domknięte drzwi, pozwalało to jednak dostrzec trzy łóżka i trzech leżących na nich mężczyzn. W półmroku nie było widać twarzy, tylko białe plamy. Bowman ostrożnie opuścił zasłonę i skierował się do trzeciego wozu, tego pomalowanego w zielono-białe pasy, który od początku najbardziej go intrygował.

Tylne drzwi były otwarte, ale w korytarzyku panował mrok. Bowman nie lubił gościnnie otwartych drzwi, za którymi czaiła się ciemność. Obszedł je więc szerokim łukiem, kierując się ku oświetlonemu oknu. Było ono uchylone i częściowo odsłonięte, czyli wręcz idealne do podglądania i podsłuchiwania.

Wnętrze okazało się jasno oświetlone i całkiem wygodnie umeblowane, a zajmowały je cztery kobiety. Dwie siedziały na kozetce, dwie na krzesłach stojących przy okrągłym stole. Jedną z nich była Maria le Hobenaut, drugą siwiejąca Cyganka, która wieczorem kłóciła się z Czerdą. Pozostałych dwóch: kasztanowłosej trzydziestolatki i drobnej, ciemnowłosej dziewczyny o zupełnie nie cygańskiej fryzurze nigdy dotąd nie widział. Pomimo późnej pory nie dostrzegł, by którakolwiek przygotowywała się do snu. Na ich twarzach malowała się rozpacz, a matka i najmłodsza z kobiet płakały.

–Boże! – krótko ostrzyżona dziewczyna rozszlochała się tak, że z trudem można

było rozróżnić słowa. – Kiedy to wszystko się skończy? Gdzie to wszystko się skończy?

–Nie wolno nam tracić nadziei, Tina – mówiła bez przekonania Maria. – Nic innego nie możemy zrobić.

–Nie ma żadnej nadziei i wiecie o tym – dziewczyna potrząsnęła głową. – Boże, dlaczego Aleksander to zrobił? – Zwróciła się do kobiety o kasztanowych włosach – twój mąż ostrzegał go nie dalej jak dziś...

–Jak widać, na nic się to nie zdało – przerwała zagadnięta kobieta, także wyraźnie przygnębiona. – Tak mi przykro... ale Marie ma rację: póki życia, póty nadziei.

Objęła dziewczynę i w wozie zapadła cisza, Bowman liczył, że niezbyt długa. Przybył tu przecież, by zdobyć potrzebne informacje, jednak dotychczas nie dowiedział się niczego interesującego. Uderzyło go jedynie, że kobiety używają języka niemieckiego, a nie cygańskiego. Czas naglił, gdyż dalsze czajenie się przy jasno oświetlonym oknie stanowczo nie było bezpieczne. Coś w pełnej smutku atmosferze panującej wewnątrz wozu powodowało, że człowiek nawet na zewnątrz nie czuł się pewnie. W mroku wyczuwało się coś groźnego.

–Nie ma nadziei – ciężko westchnęła najstarsza Cyganka, ocierając oczy chusteczką. – Matka wie.

–Ależ mam... – sprzeciwiła się Maria.

–Nie ma nadziei, bo nie ma i życia – przerwała jej stara kobieta zmęczonym głosem. – Nigdy już nie zobaczysz swego brata żywego,

tak jak ty Tina nigdy już nie ujrzysz swego narzeczonego. Wiem, że mój syn jest martwy.

Ponownie zapadła cisza. Tym razem na szczęście dla Bowmana, gdyż dzięki temu usłyszał za plecami szmer poruszonego kamienia. Dźwięk ten najprawdopodobniej uratował mu życie.

Błyskawicznie się odwrócił i stwierdził, że przeczucie go nie omyliło: rzeczywiście niebezpieczeństwo się zbliżało. W mroku rozpoznał Koscisa i Hovala, którzy teraz zastygli w półprzysiadzie zaledwie kilka kroków od niego. Uśmiechali się złowrogo, a w rękach połyskiwały im długie, zakrzywione noże.

Bowman zrozumiał, że Cyganie czekali na niego, no może nie na niego akurat, ale na kogoś takiego jak on. Musieli uważnie obserwować podjazd, więc zauważyli go, gdy tylko się na nim pojawił. Postanowili przekonać się, co też zamierza zrobić, a gdy stwierdzili, że jego wścibstwo jest niepożądane, postanowili usunąć natręta. Ich

pojawienie się upewniło Bowmana, że coś jest nie w porządku w tym taborze ciągnącym do Saintes-Maries.

Błyskawicznie zdał sobie sprawę, że nie czas na analizowanie sytuacji lub wyrzucanie sobie lekkomyślności, gdy obaj Cyganie czają się tuż-t, nie ukrywając chęci podejrzenia mu gardła. Skoczył więc ku Koscisowi, który odruchowo cofnął się, unosząc nóż. Ten atak był kompletnym zaskoczeniem, gdyż nie zdarza się, by ktoś nie uzbrojony przejawiał tak samobójcze zamiary. Bowman nie dopadł jednak Cyga

lecz rzucił się gwałtownie w prawo i w paru susach pokonał odległość dzielącą go od stopni prowadzących na patio.

Tupot nóg za plecami i złorzeczenia dodały mu skrzydeł. Co prawda niezbyt dokładnie rozumiał, co mówią, ale ton głosów wskazywał, że na pewno nie były to życzenia urodzinowe. Po pokonaniu kilku stopni zatrzymał się gwałtownie, niemal tracąc równowagę, obrócił się i wyrzucił do przodu prawą nogę – wszystko jednym płynnym, ciągłym ruchem. Koscis miał pecha – był najszybszy, toteż on otrzymał kopniaka, po którym zwałił się z jękiem na podjazd, wypuszczając z ręki nóż. Hoval wyminął go, wbiegł na schody i energicznie zamachnął się ostrzem w stronę Bowmana, który poczuł, jak stał prześlizguje mu się po lewym przedramieniu, więc z całej siły rąbnął napastnika. Cios był znacznie mocniejszy niż ten, który wieczorem sam od niego zainkasował. To całkowicie zrozumiałe – Hovalowi bójka sprawiała przyjemność, zaś Bowman bronił własnego życia. Nic dziwnego, że Cygan z jękiem poleciał na dół; miał jednak szczęście, gdyż wylądował na swym kompanie.

Bowman podwinął rękaw i obejrzał ranę. Miała około dwudziestu centymetrów długości i choć nieźle krwawiła, była jednak czysta i powierzchowna; powinna ładnie się zagoić, bez żadnych komplikacji. Liczył, że nie będzie mu teraz zbytnio przeszkadzać. Gdy jednak zobaczył Ferencę biegnącego przez podjazd w kierunku schodów, natychmiast o niej zapomniał.

Czym prędzej pognał pod górę, przebiegł patio i zatrzymał się na stopniach prowadzących do hotelu, by zorientować się w sytuacji. Nie było dobrze. Ferencę pozbił już obu potłuczonych i Bowman zdawał sobie sprawę, że lada chwila pogoń zostanie wznowiona.

Trzech na jednego i to trzech z nożami, zaś on nie miał żadnej broni. Sytuacja była nie do pozazdroszczenia. Miał niewielkie szanse ujść z życiem w starciu z trzema Cyganami, którzy po mistrzowsku posługują się nożami.

Okno pokoju księcia nadal było oświetlone, toteż Bowman zdarł z głowy maskę i wpadł do wnętrza, nie zwracając sobie głowy pukaniem. Na szczęście drzwi nie były zamknięte; wielki książę i Lila nadal siedzieli przy szachownicy. Bowman, nie tracąc

czasu na wyjaśnianie sytuacji, rzucił ochryplym głosem:

–Pomóżcie mi, na litość boską! Ukryjcie, bo mnie zabiją! Gospodarz nie przejął się tym zbyt. Wyglądał raczej na poirytowanego. Zmarszczył brwi i dokończył ruch przerwany przez wtargnięcie Bowmana.

–Nie widzi pan, że jesteśmy zajęci? – parsknął, po czym zwrócił się do dziewczyny przyglądającej się intruzowi ze zdziwieniem. – Uważaj moja droga, twój goniec jest w wielkim niebezpieczeństwie. A tak na marginesie, kto pana zabije?

–Cyganie, a niby kto? – Bowman podciągnął lewy rękaw. – Już próbowali to zrobić.

Księżę spojrzał na niego z wyraźnym obrzydzeniem.

–Pewno dał im pan powód. Z natury to są ludzie spokojni. – Cóż, byłem na dole i...

–Wystarczy! – Księżę uniósł władczo dłoń. – Podglądacze nigdy nie cieszyli się moją sympatią. Proszę natychmiast wyjść!

–Wyjść? Przecież mnie złapią i...

–Moja droga – gospodarz poklepał kolano dziewczyny poufałym gestem – wybaczy mi, muszę wezwać właściciela, ale zapewniam cię, że nie ma powodów do obaw.

Bowman wybiegł na taras, by sprawdzić, gdzie jest pogoń. Taras nadal był pusty.

–Mógłby pan zamknąć za sobą drzwi – zawołał księżę. – Ależ Charles... – Lila odzyskała głos.

–Szach i mat w dwóch ruchach – oznajmił jej partner od gry w szachy.

Od strony patio dały się słyszeć odgłosy pogoni, więc Bowman schronił się przed nadciągającą burzą w najbliższym porcie.

Cecile także jeszcze nie spała; przeglądała w łóżku jakiś ilustrowany magazyn, ubrana w nocną koszulkę, która w szczęśliwszych okolicznościach z pewnością wywołałaby odpowiednie zainteresowanie. Otworzyła usta ze zdziwienia, a może do krzyku, jednak nie wydała żadnego głosu. Bowman zamknął za sobą drzwi i opierając się o nie plecami, zdał jej w krótkich słowach relację z ostatnich kilkunastu minut.

–Pan to wszystko zmyślił – powiedziała.

Bowman ponownie podciągnął lewy rękaw, teraz już z trudem, gdyż krew zaczynała krzepnąć i materiał przywarł do rany.

–To też? – spytał. Skrzywiła się.

–Chyba nie... Ale dlaczego oni... – Cśś!

Na zewnątrz gwar się wzmógł aż do krzyków. Bez dwóch zdań miały one bezpośredni związek z jego osobą. Bowman uchylił nieco drzwi, by móc obserwować rozwój wydarzeń.

Wielki książę stał z rozpostartymi ramionami jak zwalisty policjant z drogówki, zagradzając wejście Ferencowi, Hovalowi i Koscisowi. Nie od razu można było ich rozpoznać, gdyż zasłonili sobie twarze chustkami. Właśnie ta czynność opóźniła ich pogoń i pozwoliła Bowmanowi złapać oddech.

–To jest własność prywatna, tylko dla gości hotelowych – oznajmił stanowczo książę.

–Odsuń się! – warknął Ferenc.

–Że co? Jestem książę de Croytor...

–Jak się nie odsuniesz, to będziesz martwym księciem Jak-mu-tam: – To już bezczelność! – stwierdził arystokrata, po czym z szybkością zaskakującą u kogoś jego postury ruszył do przodu i rąbnął niczego się nie spodziewającego Ferenca pięknym prawym sierpowym w szczękę. Cygan poleciał do tyłu, prosto w ramiona Hovala i Koscisa, którzy spojrzeli na siebie, a po chwili wahania wykonali szybki odwrót, podtrzymując oszołomionego wciąż młodzieńca.

–Charles! – Lila złożyła ręce w geście niemego podziwu. – Jakiś ty odważny.

–Drobiazg. Arystokracja kontra chamstwo – klasa zawsze da znać o sobie. Chodź, mamy do dokończenia partię szachów, nie mówiąc już o kanapkach.

–Ale... ale jak możesz przyjmować to tak spokojnie? Nie zadzwonisz po dyrektora czy na policję?

–Po co? Byli zamaskowani, więc się ich nie rozpozna, a zanim przyjedzie policja, będą już daleko.

Książę zniknął w pokoju, zamykając za sobą drzwi, toteż Bowman zrobił to samo.

–Słyszałaś?

Cecile skinęła głową.

–Dobry, stary książę. To dało mi chwilę oddechu. – Ujął za klamkę. – Cóż, dzięki za schronienie.

–Dokąd teraz? – w jej głosie było słycać zatroskanie albo rozczarowanie. A może

oba te uczucia.

–jak najdalej stąd.

–Swoim samochodem? – Nie mam go tutaj.

–Więc weź mój. Chciałam powiedzieć nasz. – Poważnie?

–Oczywiście, głuptasie.

–Pewnego dnia uczynisz mnie bardzo szczęśliwym człowiekiem. Co do samochodu, to może jednak skorzystam kiedy indziej. Dobranoc. Cicho zamknął za sobą drzwi i prawie dotarł do swojego pokoju, gdy

z cienia wynurzyły się trzy postacie.

–Najpierw ty, przyjacielu – szepnął Ferenc, nie chcąc najwyraźniej ponownie zakłócać spokoju de Croytora. – A potem panienka. Gdy pojawili się napastnicy, Bowmana od drzwi pokoju dzieliły trzy

kroki. Pierwszy zrobił, zanim Ferenc skończył gadać – ludzie zakładają, że każdy zatrzyma się uprzejmie, by ich wysłuchać, a trzeci – zanim którykolwiek z Cyganów zdążył się ruszyć. Hoval i Koscis czekali na sygnał Ferenc, lecz jego reakcje były mocno opóźnione po bliskim kontakcie z ręką księcia. Bowman zdołał zatrzaskać drzwi i przekręcić klucz, zanim łomotnęło o nie ramię napastnika.

Bowman nie tracił czasu na ocieranie potu czy gratulowanie sobie refleksu. Przebiegł przez apartament, otworzył okno i wyjrzał na zewnątrz. W odległości niespełna dwóch metrów znajdowały się konary rozłożystego drzewa. Cofnął głowę i nasłuchiwał. Ktoś próbował wytrzymałości drzwi i klamki, lecz nagle się rozmyślił. Hałasy ucichły. za to rozległ się tupot nóg. Bowman nie czekał dłużej, przekonał się bo

wiem, że w kontaktach z tymi ludźmi wszelka zwłoka oznacza wzrost zagrożenia.

Musiał wykonać skok, który przypominał prostą akrobację na trapezie. Stanął na parapecie, po czym na w pół wypadł na w pół wyskoczył, chwycił grubą gałąź, wdrapał się na drzewo i po pniu zsunął się na ziemię. Zbiegł już ze skarpy na drogę, która okrążała hotel, gdy usłyszał z tyłu krzyk. Odwrócił się. Księżyc właśnie wychylił się zza chmur i było wyraźnie widać, jak trójka goniących wdrapuje się pod górę. Noże w wyciągniętych rękach nie przeszkadzały im w pościgu.

Bowman miał przed sobą dwie możliwości: albo biec z boczem do góry, albo na dół. W dole rozciągało się pustkowie. W górze znajdowało się Les Baux z wąskimi uliczkami, krętymi alejkami i labiryntem zniszczonej twierdzy. Nie miał więc wyboru.

Przypomniał mu się pewien bokser wagi ciężkiej, który miał zwyczaj mawiać do przeciwnika, naturalnie gdy pechowiec już był na ringu: "możesz pobiegać, ale nie możesz się ukryć". Jedynie w Les Baux mógł i biegać, i kryć się, więc podążył w kierunku ruin.

Wyrwał do przodu z szybkością, na jaką go było stać na tej pochyłości zbocza i przy takim zmęczeniu. Od lat już nie oddawał się podobnym rozrywkom. Spojrzał za siebie. Na szczęście Cyganie również nie byli przyzwyczajeni do takich pościgów, bo nie zbliżyli się do niego ani o metr, ale także się nie oddalili. Jeżeli jednak tylko oszczędzali siły na dalszą wspinaczkę, to Bowman mógł z powodzeniem już zrezygnować z ucieczki.

Po obu stronach drogi prowadzącej do miasteczka -znajdowały się parkingi, lecz teraz były puste, więc nie można było tu się ukryć. Bowman wbiegł przez ozdobną bramę.

Po kolejnych stu metrach, z trudem łapiąc powietrze, dotarł do skrzyżowania. Droga w prawo szła ł~ikiem w stronę murów obronnych i wyglądało na to, że prowadzi w ślepy zaułek; w lewo pięła się ku górze droga wąska, stroma i kręta. Co prawda miał już serdecznie dość tego górskiego maratonu, ale wiedział, że tu może mieć znacznie większe szanse. Obejrzał się i stwierdził, że pogoń znacznie się przybliżyła. Podążająca nadal w milczeniu z nożami w dłoniach trójka Cyganów znalazła się zaledwie trzydzieści metrów za nim. Ruszył więc, jak mógł najszybciej, wąską drogą, desperacko zerkając na boki w poszukiwaniu jakiejś kryjówki. I choć zmęczone płuca i coraz bardziej ciężące ołowiem nogi mówiły mu, że kolejna boczna uliczka może dać schronienie, to rozum zdecydowanie sygnalizował, że prawie na pewno wszystkie prowadzą w ślepe zaułki, podwórka-studnie czy inne pułapki, z których nie zdoła się wydostać.

Teraz po raz pierwszy od chwili podjęcia ucieczki, usłyszał za sobą chrapliwe oddechy Cyganów. Wyglądało na to, że są w równie kiepskiej formie. Rzut oka przez ramię sprowadził go jednak na ziemię – nie było powodów do radości. Słyszał ich po prostu dlatego, że byli już znacznie bliżej. Wprawdzie mieli twarze złane potem, łapali powietrze otwartymi ustami i dość często potykali się, ale znajdowali się zaledwie piętnaście metrów za nim. Mając pogoń tuż za plecami, głupotą było szukanie kryjówki. Gdziekolwiek by skręcił, i tak ścigający go zauważą i pójda jego śladem. Jedyną nadzieję stanowiły ruiny fortecy, górujące nad miasteczkiem. Tylko tam mógł się skryć w skalnym labiryncie.

Dysząc dobiegł do żelaznego ogrodzenia z prętów, które blokowało drogę do ruin, tak że pozostawało jedynie wąskie przejście z prawej strony; tu stała budka biletera przyjmującego od turystów opłaty za zwiedzanie ruin. Bowmanowi przeszło przez myśl, że głupotą jest płacenie za zwiedzanie miejsca, do którego można się dostać prawie z każdej strony, wprawdzie z pewną trudnością, ale za to za darmo. Już chciał

się zatrzymać i zaatakować, wykorzystując wąskie przejście, które zmuszało do przeciskania się pojedynczo i tylko bokiem; to nieco wyrównałoby jego szanse w walce z trzema napastnikami. Na szczęście uświadomił sobie, że gdy on usiłowałby wytrącić broń z ręki pierwszemu Cyganowi, dwaj pozostali mieliby idealną okazję do potraktowania go jako ruchomego celu, a rzut nożem przez pręty ogrodzenia przy tak niewielkiej odległości bez wątpienia byłby celny. Pobiegł więc dalej z coraz większym trudem, zataczał się i potykał, ale było to wszystko, na co mógł się jeszcze zdobyć.

Minął niewielki cmentarzyk, lecz odrzucił makabryczny pomysł zabawy w chowanego między nagrobkami; było ich zbyt mało i były zbyt niskie, by mogły służyć jako osłona. Po kolejnych pięćdziesięciu metrach Bowman zobaczył przed sobą otwarty płaskowyż masywu Les Baux. Jediną drogą ucieczki stąd był skok w dół. Skręcił więc gwałtownie w lewo i wąską ścieżką prowadzącą wokół pozostałości po czymś, co wyglądało na kaplicę, skierował się prosto do ruin właściwej twierdzy. Szybkie spojrzenie do tyłu pozwoliło mu stwierdzić, że pościg jest jakieś czterdzieści metrów za nim. Udało mu się zwiększyć dystans, co nie było dziwne, gdyż w tym wyścigu to przecież on walczył o życie. Księżyc jak na złość oświetlał jasno okolice i Bowman zaklął z bezsilnej wściekłości, obrażając rzesze romantycznych poetów. Bez tej naturalnej iluminacji znacznie łatwiej mógłby się pozbyć pogoni zwłaszcza wśród takich ruin. Ich masa budziła grozę, lecz nigdy nie interesowało go podziwianie budowli leżących w gruzach. Jednak wdrapując się, prze

ślizgując i zjeżdżając po tym rumowisku, musiał zauważyć, że ma ono swój tajemniczy urok miejsca dzikiego i całkowicie opuszczonego. Sterty kamieni dochodziły do piętnastu, a strzaskane filary nawet do trzydziestu metrów. Kolumny wznosiły się nad klifowymi zboczami, wyglądając jakby były ich przedłużeniem. Naturalne kominy przeplatały się z wykutymi przez człowieka schodami, ściany skalne z ruinami budowli. Wapień był poznaczony setkami otworów. Przez niektóre z nich ledwie można by się przecisnąć, a przez inne spokojnie mógłby przejechać piętrowy autobus. Prowadziły do nich dziwne ścieżki, niektóre wykute przez człowieka, inne naturalne. Część z nich była łatwa i równa, a część tak stroma i poszarpana, że zniechęciłaby nawet oszalałą kozicę. Wokoło leżały odłamy skalne o rozmiarach od orzecha kokosowego do jednorodzinnego domku. W bladym świetle księżyca wszystko to tworzyło przerażającą i jednocześnie podziwu godną scenę. Nie było to miejsce, które dobrowolnie nazwałby domem, lecz tej nocy tutaj ważyły się jego losy. A także losy Ferenca, Hovala i Koscisa.

Bowman nie miał żadnych wątpliwości, jak powinien postąpić. Musi zabić swych prześladowców. Nie dlatego jednak, że tak mu każe instynkt samozachowawczy. Nie wynikało to także z kwestii prawnych czy moralnych, ale z prostej logiki i zdrowego rozsądku; jeśli on zginie, to ta trójka morderców dalej będzie torturować i zabijać, musi więc ich unieszkodliwić. Sprawa tak naprawdę była prosta – niektórzy ludzie powinni umrzeć, prawo jest wobec nich bezsilne, dopóki nie popełnią błędu. Nie jest

to wina prawa, gdyż sformułowano je tak, by było sprawiedliwe wobec większości i stworzono odpowiednie zabezpieczenia, by nie skrzywdzić niewinnych. Nie można jednak przewidzieć sprytu kryminalistów, ustanawiając przepisy o zasięgu ogólnospołecznym. A życie udowadnia, że pomysłowość przestępców bywa czasami zaskakująca, podobnie jak ich zdolności do unikania kary. Po raz kolejny przypomniała mu się stara zasada chronienia interesów większości, a przypadek sprawił, że to właśnie on stał się jej przedstawicielem.

Bowman był opanowany i zdecydowany, a strach ustąpił miejsca wściekłości. Aby zrealizować to, co planował, musiał się dostać na sporą wysokość – tam, gdzie prześladowcy nie będą w stanie jednocześnie go zaatakować. Przyjrzał się więc uważnie poszarpanej ścianie, skąpanej w bladym blasku księżyca, i zaczął wspinać się. Nigdy się nie uważał za alpinistę, ale tej nocy naprawdę dobrze mu to szło. Gdyby go sam diabeł nie poruszałby się szybciej. Zerkając od czasu do czasu za siebie, stwierdził, że powoli, lecz stale zwiększa przewagę nad pościgiem; niestety, nie na tyle, by zginąć im z oczu na dłużej niż kilka

sekund. Ścigający zdjęli z twarzy prowizoryczne maski; rzeczywiście, wśród pustki ruin, w środku nocy nie były one potrzebne. Nawet jeśli ktoś by ich spotkał w drodze powrotnej, nie miałyby to znaczenia, gdyż *corpus delicti* już zostałyby usunięte. Mogliby jedynie odpowiadać za to, że weszli na teren ruin bez uiszczenia franka od osoby, lecz z pewnością uznaliby, że tak dobrze wykonana robota jest tego warta.

Bowman zatrzymał się. Nie znając terenu, popełnił błąd. Od paru sekund zdawał sobie sprawę, iż ściany wąskiego żlebu, którym się wspinał, gwałtownie się wznoszą. Nie zaniepokoiło go to, gdyż już dwukrotnie tak się zdarzyło bez przykrych konsekwencji. Jednak tym razem, gdy minął kolejny załom, ujrzał przed sobą pionową ścianę nie nadającą się do wspinaczki bez haków i liny. Z boku skały wyglądały podobnie. I tak znalazł się w pułapce bez wyjścia. Ściana na wprost była co prawda podziurawiona otworami, ale mógłby wykorzystać najwyżej trzy lub cztery z nich, ponieważ tylko tam nie dochodziło światło księżyca, lecz wszystko skrywała zachęcająca ciemność.

Cofnął się i wyrzwał zza skały, choć wiedział, że tylko traci czas. Rzeczywiście, pościg był ze czterdzieści metrów za nim. Na jego widok Cyganie zwolnili. To że Bowman zawrócił, by sprawdzić, jak daleko są, oznaczało, że ma kłopoty; mogli pozwolić sobie na luksus odpoczynku.

Wyznając zasadę, że póki życia, póty nadziei, a poddawać nie należy się nigdy, Bowman przyjrzał się uważniej otworom w skale. Tylko dwa były na tyle duże, by mógł się przez nie przecisnąć. Gdyby zdołał dotrzeć poza zasięg światła i stanąć tak, by za plecami mieć ciemność, szanse w walce z przeciwnikiem uzbrojonym, ale doskonale widocznym na tle otworu wejściowego, byłyby mniej więcej równe. Zupełnie bez powodu wybrał prawy otwór i błyskawicznie wcisnął się do środka.

Szczelina niemal natychmiast zaczęła się zwężać, ale musiał posuwać się naprzód. Gdy już znalazł się w całkowitych ciemnościach, okazało się, że tunel ma nie więcej niż około metra szerokości i tyleż wysokości. W tych warunkach odwrócenie się było fizycznie niemożliwe. Mógł leżeć i czekać, aż przyjdą i posiekają go na kawałki. A nawet i to nie byłoby konieczne – napastnicy mogli się wycofać, zawalić wejście kamieniami i wrócić spokojnie do domu. Klnąc w duchu, Bowman ruszył do przodu na czworakach.

W pierwszej chwili pomyślał, że jasność w głębi tunelu to tylko wytwór wyobraźni, ale gdy dotarło do niego, że ma przed sobą zakręt, za którym jest wyjście, zrozumiał, że nie wszystko jeszcze stracone. Przecisnął się z trudem i w nagrodę ujrzał przed sobą kawałek nieba usianego gwiazdami.

Tunel niespodziewanie zmienił się w jaskinię. Była wprawdzie niska, bo Bowman nie mógł się jeszcze wyprostować, a do tego zaledwie dwa metry od wejścia jej krawędź gwałtownie się urywała, ale była to jednak jaskinia. Podczołgał się do brzegu skały i spojrzał w dół. Natychmiast tego pożałował – poniżej było kilkusetmetrowe pionowe zbocze, u stóp którego rozciągała się równina z rzędami drzew oliwnych, wyglądających z tej odległości jak krzaczki.

Bowman wychylił się jeszcze bardziej i spojrzał w górę – szczyt znajdował się zaledwie sześć metrów wyżej, ale było to sześć metrów gładkiej skały, bez oparcia dla dłoni czy stóp.

Spojrzał w prawo – wreszcie jakaś szansa. Co prawda ta ścieżka zniechęciłaby nawet górskiego kozła, ale zaczynała się zaledwie metr pod otworem jaskini i choć niebezpieczna, prowadziła na sam szczyt. Kozioł mógłby zrezygnować z tej samobójczej szansy, gdyż nie był kozłem ofiarnym, lecz Bowman niestety rum był. Nic więc dziwnego, że nie ociągając się wygramolił się na zewnątrz i wymacawszy stopami ścieżkę, zaczął mozolnie posuwać się nią w górę.

Poruszał się powoli z rozpostartymi ramionami i twarzą przylepioną do skały. Nie szukał dodatkowego oparcia, bo go tam nie było, ale nie będąc alpinistą, nie czuł się pewnie na tej wysokości. Bał się, że gdy spojrzy w dół, odpadnie od ściany i roztrzaska się w oliwnym gaju. Dla wytrawnego alpinisty mógłby to być jedynie miły niedzielny spacer, ale dla Bowmana było to najbardziej przerażające doświadczenie w życiu. Dwukrotnie osunęła mu się noga, wywołując minilawinę. Po dwóch minutach trwających niczym wieczność, wydostał się na szczyt, zlany potem i trzęsący się jak liść na jesiennym wietrze. Z ulgą zwałił się na ziemię. Znalazł się wreszcie na bezpiecznej terra *firma*, gdzie był w stanie skutecznie działać.

Po chwili wyjrzał na dół = nie było tam nikogo. Cyganie mogli się zatrzymać z rozmaitych powodów: wybrali nie ten otwór, obawiali się, że ukrył się w mroku tunelu, cokolwiek. Zamiast tracić czas na bezsensowne rozważania, należało znaleźć

sposób, by zejść na dół. Powinien się pospieszyć z kilku powodów. Po pierwsze, jeśli nie istniała inna droga niż ta, którą tu wszedł, to wiedział, że za żadne skarby nie przejdzie nią jeszcze raz. Woli już tu umrzeć z wycieńczenia i stać się pokarmem dla myszołowów, jeśli jakieś żyją w tych okolicach. Pod drugie, gdyby znalazł jakieś przejście, należało zbadać, czy Cyganie już mu go nie odcięli. A po trzecie, należało się spieszyć, gdyż mogli po prostu zostawić go w spokoju, sądząc, że runął gdzieś ze skały, i pójść rozprawić się z Cecile Dubois, którą najwyraźniej uważali za współwinną.

Przeszedł jakieś dziesięć metrów po płaskim wapiennym wierzchołku, położył się na brzuchu i wyjrzał ponad krawędzią. Odetchnął z ulgą – droga ucieczki istniała.

Dostrzegł strome zbocze, stopniowo przechodzące w obszar pełen olbrzymich głazów, za którym rozciągał się płaskowyż Les Baux. Teren nie był zbyt łatwy, ale możliwy do przebycia.

Gdy wrócił na miejsce, usłyszał głosy, ciche co prawda, ale mógł rozróżnić słowa.

–~ To czyste szaleństwo! – mówił Hoval, a Bowman po raz pierwszy całkowicie się z nim zgadzał.

–I kto to mówi? Góral z Wysokich Tatr? – zdziwił się Ferenc. – Jeśli on tędy przeszedł, to nam też się uda. Wiecie, że jeśli go nie zabijemy, to wszystko diabli wezmą.

Bowman wyjrzał ostrożnie – w wylocie jaskini dostrzegł głowy wszystkich trzech.

–Nie podoba mi się to całe zabijanie – stwierdził Koscis, próbując odwlec decyzję.

–Skrupuły mogłeś mieć wcześniej – parsknął Ferenc. – Rozkazy ojca są wyraźne – nie możemy mu się pokazać na oczy, dopóki ten @acet żyje.

Hoval z niechęcią skinął głową i ostrożnie wygramolił się na ścieżkę. Zastygł nieruchomo i dopiero po chwili rozpoczął powolne przesuwanie się ku szczytowi. Bowman wstał i rozejrzał się; na szczęście wokół leżało kilka sporych kamieni. Wybrał najodpowiedniejszy, ważący ponad dwadzieścia kilogramów, trzymając go na wysokości piersi, podszedł do krawędzi.

Hoval był znacznie lepszym taternikiem niż on, gdyż poruszał się co najmniej dwukrotnie szybciej. Ferenc i Koscis obserwowali swego kompana z niepokojem i najwyraźniej niezbyt się palili do pójścia w jego ślady.

Bowman odczekał, aż Cygan znajdzie się bezpośrednio pod nim, i wypuścił kamień z rąk; nie czuł przy tym nawet cienia żalu – Hoval już wcześniej chciał go zabić, a teraz miał zamiar jeszcze raz spróbować.

Odłam skalny spadł na głowę i ramiona Cygana, który nie wydał żadnego dźwięku, ani wtedy gdy odpadał od ściany, ani gdy leciał ku oliwnym plantacjom. Być może był martwy, zanim zaczął spadać. Na górę nie dotarł także żaden odgłos uderzenia o ziemię ciała czy skały. I Hoval, i kamień po prostu zniknęli bezgłośnie w mroku.

Tymczasem Bowman przyjrzał się pozostałym prześladowcom; ich

twarze wyrażały jedynie osłupienie, bo katastrofa nie dociera natychmiast do ludzkiej świadomości. Pierwszy zrozumiał, co się stało, Ferenc. Z twarzą wykrzywioną wściekłością sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki, wyszarpnął pistolet i kierując lufę ku górze, nacisnął spust. Wiedział, że Bowman tam jest, choć nie mógł go dostrzec. Strzał był wyłącznie próbą rozładowania wściekłości, jaka go ogarnęła. Jednak nawet strzelając na oślep, można czasem trafić, toteż Bowman czym prędzej wycofał się na środek szczytu.

Broń palna stwarzała zupełnie nową sytuację, której nie brał pod uwagę. Wydawało mu się, że Cyganie tak chętnie posługujący się w walce nożem, będą chcieli załatwić go po cichu. Jednak skoro Ferenc miał przy sobie pistolet, liczył się z koniecznością jego użycia. Bowman zdał sobie sprawę, że Cyganie chcą go dopaść i zabić, nie zważając na żadne ryzyko. Sytuacja stała się więc znacznie poważniejsza, niż dotychczas sądził. Ruszył co tchu z boczem w dół. Ferenc i Koscis na pewno zaczęli już odwrót, podejrzewając, że ze szczytu prowadzi jeszcze jakaś droga. Pozostanie na miejscu nie miało dla nich żadnego sensu, gdyż próba wejścia na górę śladami Howała mogła się zakończyć tak samo tragicznie.

Bowman przebył stromiznę w rekordowym tempie, a następnie zaczął biec, sadząc długimi susami, gdyż był to jedyny sposób zachowania równowagi. Udawało mu się to przez trzy czwarte drogi, w końcu jednak potknął się i runął w dół, rozpaczliwie próbując zahamować. Ułatwił mu to pierwszy głaz, w który z całą siłą uderzył prawym kolaniem.

Bowman był pewien, że stracił rzepekę, ponieważ próba powstania skończyła się ciężkim kłapnięciem na ziemię. Za drugim razem było trochę lepiej. Dopiero trzecie podejście zakończyło się sukcesem. Kolano było z pewnością solidnie stłuczone, ale teraz niewiele czuł. Wiedział, że dopiero później przyjdzie silny ból. Znacznie już wolniej pokonał resztę pochyłości, przemykając między głazami. Noga co jakiś czas odmawiała mu posłuszeństwa, jakby miała własną wolę, na szczęście udało mu się nie przewrócić już ani razu.

Biały obłoczek nad głazem tuż przed nim i odgłos strzału były prawie równoczesne. Ferenc doskonale wszystko przewidział. Bowman nawet nie próbował się ukryć, gdyż w tych warunkach Cyganowi wystarczyłoby jedynie podejść i przyłożyć mu lufę do czoła, by mieć pewność, że nie chybi.

Biegł zygzakami między głazami, by w ten sposób uniemożliwić Ferencowi dokładne wycelowanie. Kilka pocisków zagwizdało blisko

niego, a jeden nawet wzbilił chmurkę pyłu przy prawej nodze ściganego, ale zabawa w kotka i myszkę przynosiła rezultaty – Ferenc także musiał kluczyć między głazami i jedynie przypadek mógł sprawić, że kula trafi w cel. W przerwach kanonady wyraźnie było słychać tupot nóg i Bowman zdawał sobie sprawę, że z każdą chwilą pościg jest coraz bliżej. Nic nie mógł na to poradzić, bał się nawet odwrócić, gdyż groziło to upadkiem, a naprawdę nie było większej różnicy, czy śmiertelna kula nadleci z przodu, czy też trafi go w plecy.

Wreszcie wydostał się spomiędzy skał na równy, twardy teren i ruszył, najszybciej jak potrafił, ku wejściu prowadzącemu do miasteczka. Ferenc również znalazł się na otwartej przestrzeni. Teraz miał doskonałą okazję do strzału, ale jej nie wykorzystał. Jedynym wytłumaczeniem było to, że skończyła mu się amunicja. Co prawda mógł mieć zapasowy magazynek, ale ładowanie w biegu nie jest łatwe i najwyraźniej Ferenc też tak sądził.

Kolano bolało coraz bardziej, ale też coraz rzadziej odmawiało posłuszeństwa. Zaryzykował i spojrzął za siebie. Ścigający nadal się zbliżali, choć znacznie wolniej. Bowman wbiegł do miasteczka i zatrzymał się przy rozgałęzieniu dróg. Cyganów jeszcze nie było widać, ale tupot ich nóg był wyraźny. Skręcił w lewo, mając nadzieję, że zmyli to ścigających i pobiegł ku murom obronnym, otaczającym całą miejscowość. Droga kończyła się niewielkim placem, ze starym, kutym w żelazie krzyżem pośrodku. Z lewej strony stał równie stary kościół, naprzeciwko znajdował się niski, kamienny murek, zza którego nic nie było widać. Pomiedzy nimi wznosiła się wysoka skała z wykutymi w niej dziwnymi niszami. Poza tym z placu nie było innej drogi wyjścia poza tą, którą Bowman tu dotarł.

Podbiegł do niskiego murku i wyjrzał. Zobaczył stromą ścianę skalną, opadającą ponad sześćdziesiąt metrów w dół, a u jej podnóża jakieś karłowate drzewka.

Ferenc okazał się sprytniejszy niż Bowman sądził. Gdy był wychylony przez murek, usłyszał zbliżające się kroki, lecz tylko jednego człowieka. Cyganie musieli się rozdzielić i równocześnie sprawdzać obie drogi. Bowman wyprostował się, bezszelestnie przebiegł na drugą stronę i ukrył się w jednej z nisz.

To był Koscis, który zwolnił, gdy znalazł się na placu. Jego ciężki oddech było wyraźnie słychać w nocnej ciszy. Nie spiesząc się minął żelazny krzyż. Zajrzał do wnętrza otwartego kościoła i jakby wiedziony instynktem skierował się prosto ku niszy, w którą Bowman próbował się teraz wcisnąć jak najgłębiej. Skrywał go co prawda cień, ale Koscis,

gdy podejdzie bliżej, z pewnością go zauważy. Cygan nie spieszył się, szedł wolnym

i pewnym siebie krokiem, kciuk miał oparty na czubku rękojeści noża, utrzymanego na wysokości pasa.

Bowman poczekał, aż napastnik zbliżył się do jego kryjówki, i rzucił się na niego, chwytając dłoń z nożem, bardziej dzięki szczęściu niż dobrej ocenie odległości. Obaj zwalili się na ziemię. Bowrnan spróbował wykręcić prawą rękę Koscisa, ale ta była jak ze stali. Czuł, że powoli wysuwa mu się z uścisku, toteż puścił nagle przeciwnika i przetoczył się po bruku, wstając w tym samym momencie co i Koscis. Przez chwilę bez ruchu uważnie się sobie przyglądali. Pierwszy poruszył się Bowman – cofnął się powoli, aż dotknął dłońmi niskiego murku. Teraz już ani nie miał gdzie się ukryć, ani dokąd uciec.

Koscis uśmiechnął się, ale uśmiech ten był całkowicie pozbawiony ciepła. Ponieważ umiał po mistrzowsku posługiwać się nożem, więc rozkoszował się myślą o czekającej go walce. Zmienił chwyt, nie wypuszczając broni z ręki, i ruszył na Bowmana. Ten skoczył ku niemu, skręcając gwałtownie w prawo, ale Koscis znał takie sztuczki; pochylił się w tę samą stronę z ręką przygotowaną do zadania ciosu. Jednak Bowman przewidział ten ruch. Zahamował z całych sił, zaparł się prawą nogą i przyklęknął na lewe kolano, dzięki czemu nóż przeciął powietrze zaledwie centymetr nad jego głową. Jednocześnie prawym ramieniem i barkiem uderzył Cygana od dołu w uda, po czym gwałtownie się uniósł. Cios był tak silny, że Koscis wyleciał do góry i poszybował ponad murkiem w przepaść. Bowman obserwował spadającego Cygana, który cały czas ścisnął w dłoni bezużyteczny już nóż, i słuchał jego cichnącego wrzasku. Po chwili zapanowała cisza.

Przez kilka sekund stał bez ruchu. Lecz nagle uświadomił sobie, że jeśli Ferenc niespodziewanie nie ogłuchł, to musiał usłyszeć ten przeraźliwy krzyk, no i będzie chciał poznać jego przyczynę.

Bowman wybiegł z placu i skierował się w stronę głównej ulicy. Gdy usłyszał zbliżającego się Cygana, skręcił w pierwszą przecznicę. Ukrył się w cieniu i czekał. Po kilku minutach zobaczył F'erenca podążającego ku placykowi z nożem w jednej i pistoletem w drugiej ręce. Nie wiedział, czy broń była nabita, ale nie miało to już znaczenia. Zauważył, że nawet w tak pełnej napięcia chwili Cygan zachował ostrożność, którą podpowiadał mu instynkt samozachowawczy – biegł środkiem drogi, gdzie nie był narażony na niespodziewany atak. Usta wykrzywił mu grymas, będący mieszaniną wściekłości, nienawiści i strachu. Miał wygląd szaleńca.

Rozdział trzeci

Nie każda kobieta obudzona w środku nocy, gdy siedzi z prześcieradłem pod brodą, włosami w nieładzie i błędnym wzrokiem, może wyglądać równie atrakcyjnie jak w balowej kreacji. Cecile Dubois potrafiła. Zamrugła, co prawda w inny sposób niż partnerka w tańcu, po czym przyjrzała się Bowmanowi krytycznie. Nic dziwnego.

Wspinaczka, łażenie po ruinach i inne akrobacje z upadkiem włącznie spowodowały, że tak Bowman, jak i jego garnitur znacznie stracili na świetności. Bowman dopiero teraz mógł się sobie przyjrzeć i musiał przyznać, że wygląda okropnie – ubranie było całe upaprane i podarte. Czekał na reakcję dziewczyny, przygotowany na złośliwość czy cynizm, ale ponownie musiał przyznać, że Cecile nie była przeciętną kobietą.

–Sądziłam, że o tej porze będzie już pan w innym departamencie – stwierdziła spokojnie.

–Niemał byłem już na tamtym świecie – przymknął drzwi, pozostawiając niewielką szczelinę. – Ale wróciłem. Po samochód i po ciebie.

–Po mnie?

–Zwłaszcza po ciebie. Ubierz się szybko. Twoje życie nie będzie warte funta kłaków, jeśli tu zostaniesz.

–Moje życie? Dlaczego moje...

–Wstajemy, ubieramy się i pakujemy – oznajmił podchodząc do łóżka.

W jego zachowaniu było tyle stanowczości, że bez dalszych pytań i protestów skinęła głową. Bowman wrócił do drzwi i wyrzwał przez szparę. W duchu przyznał, że panna Dubois obaliła właśnie kolejny mit. Była piękna, ale nie była głupia – szybko podejmowała decyzje i godziła się z tym; co uważała za nieuniknione, nie tracąc czasu na głupie uwagi w stylu: “jeśli uważa pan, że będę się ubierać, kiedy pan się na mnie gapi, to...” i takie tam podobne. Nie żeby miał coś przeciwko

gapieniu się na nią, lecz w tej chwili najbardziej interesował go Ferenc. Swoją drogą; ciekawe, co go zatrzymało; powinien już tu być i donieść tatusiowi o napotkaniu nieoczekiwanych trudności uniemożliwiających wykonanie zleconego zadania. Naturalnie, mogło też tak być, że nadal go szukał po ciemnych uliczkach Les Baux z obłądem w oku, ściskając w jednej dłoni nóż, a w drugiej pistolet.

–Jestem gotowa – oświadczyła Cecile.

Odwrócił się zaskoczony. Rzeczywiście była gotowa, nawet zdążyła się uczesać, a walizka leżała na łóżku.

–I spakowana? – upewnił się, nie wierząc własnym oczom.

–Wieczorem, to nasza ostatnia noc tutaj – zawahała się. – Proszę posłuchać, nie mogę tak po prostu wyjechać bez...

–Chodzi o Lilę? Zostaw wiadomość, że skontaktujesz się z nią na poste restante w

Saintes-Maries. Tylko się pospiesz. Wrócę za chwilę, muszę się spakować.

Poszedł do swego pokoju. Przy drzwiach zatrzymał się na moment. Południowy wiatr szumiał w koronach drzew i pluskała fontanna – były to jedyne dźwięki, jakie słyszał. Wszedł i zaczął w pośpiechu upychać w walizce rzeczy jak popadło. Gdy wrócił do pokoju Cecile, zastał ją nadal piszącą coś pośpiesznie.

–Poste restante, Saintes-Maries to wszystko, co masz podać przyjaciółce. Historię twojego życia już zna, jak przypuszczam.

Gdy podniosła głowę, zobaczył na jej nosie okulary, ale to go nie zaskoczyło. Popatrzyła na niego jak na nieszkodliwego ale uprzykrzonego robaka na ścianie i wróciła do pisania. Po dwudziestu sekundach złożyła podpis ozdobiony zawijasem, zbędnym gdy czas naglił, schowała okulary do futerału i skinęła głową na znak, że jest gotowa. Złapał jej walizkę i oboje opuścili pokój, gasząc światło i zamykając drzwi na klucz. Bowman wziął swój bagaż, poczekał aż Cecile wsunie kartkę pod drzwi pokoju przyjaciółki i razem wyszli na zewnątrz. Cicho przedostali się przez taras i ścieżkę prowadzącą do drogi na tyłach hotelu. Cecile trzymała się blisko i cały czas milczała. Bowman już zaczął sobie w duchu gratulować doskonałych metod wychowawczych, gdy zdecydowanym ruchem złapała go za ramię i zmusiła do zatrzymania się. Spojrzał na nią z wyrzutem, ale nie odniosło to żadnego skutku, podobnie jak zmarszczenie brwi. Pomyślał, że to wina jej krótkowzroczności i poczekał na wyjaśnienie.

–Jesteśmy tu bezpieczni? – spytała. – Chwilowo tak.

–Więc proszę postawić te walizy.

Postawił, dochodząc do wniosku, że trzeba zmienić metody wychowawcze.

–Dalej nie pójdę – oświadczyła stanowczo. – Byłam grzeczną dziewczynką i zrobiłam, co pan chciał, ponieważ istniała, i przyznaję, że istnieje, jedna szansa na sto, iż nie jest pan szaleńcem. Jednak pozostaje dziewięćdziesiąt dziewięć procent i dlatego domagam się wyjaśnienia. Tu i teraz.

Bowman doszedł do smutnego wniosku, że jej rodzice także nie odnieśli większych sukcesów w wychowaniu córki. Natomiast w jednej sprawie czyjeś wysiłki zostały uwieńczone powodzeniem – jeśli bowiem Cecile była wściekła lub przestraszona, to nie okazywała tego w żaden sposób.

**–Jesteś w poważnych tarapatach, w które nieświadomie cię wpakowałem – wyjaśnił.
– Teraz jestem odpowiedzialny za wydostanie cię z tego.**

–Ja jestem w tarapatach?

–Oboje w to wdepnęliśmy. Trzech typków z tego cygańskiego obozu oświadczyło, że zamierzają mnie załatwić. Potem zaś ciebie. Ponieważ przyznali mi pierwszeństwo, gonili mnie do Les Baux, potem przez miasteczko i ruiny.

Przyjrzała mu się podejrzliwie, bez cienia strachu czy troski, której się spodziewał.

–Jeśli pana ścigali...

–Zgubiłem ich. Syn ich kacyka, miły młodzian imieniem Ferenc, być może nadal mnie szuka z nożem w jednej, a pistoletem w drugiej ręce. Jak się w końcu zniechęci, to wróci do tatusia i kolejna grupa przetrząśnie nasze pokoje. Mój i twój.

–Dlaczego mój? Co ja takiego zrobiłam?

–Byłaś ze mną cały wieczór i widzieli, że udzieliłaś mi schronienia parę godzin temu.

–Ależ... to śmieszne! I tylko dlatego wzięliśmy nogi za pas... – potrząsnęła głową. – Myliłam się. Panie Bowman, jest pan w stu procentach szalony.

–Być może – przyznał, że ma prawo tak myśleć. – Przecież wystarczyło zatelefonować.

–I?

–Policja, głuptasie.

–Żadnej policji, bo nie jestem głuptasem. Widzisz, Cecile, zostałam aresztowana za morderstwo.

Powoli potrząsnęła głową z niedowierzaniem, a może niezrozumieniem.

–Nie było tak łatwo ich zgubić – dodał. – Zdarzył się wypadek, a właściwie dwa wypadki.

–Fantazja – szepnęła, ponownie potrząsając głową. – Przerost wyobraźni.

–Zgoda – wziął ją za rękę. – Chodź, pokażę ci ich ciała. Wiedział, że nie uda mu się po ciemku odnaleźć Howała, ale odszukanie ciała Koscisa nie powinno stanowić większego problemu, a do udowodnienia, że mówi prawdę powinien wystarczyć jeden nieboszczyk. Zorientował się jednak, że niczego nie musi udowadniać – w twarzy Cecile, bladej ale spokojnej, coś się zmieniło. Nie miał pojęcia o co chodzi, lecz zmiana była widoczna. Przysunęła się bliżej i ujęła jego drugą rękę. Nie drżała, nie odsunęła się z odrazą. Po prostu podeszła i ujęła jego drugą dłoń

–Dokąd chcesz jechać? – spytała cicho, przechodząc wreszcie na ty. – Riwiera? Szwajcaria?

Miał ochotę ją uściskać, ale postanowił poczekać na odpowiedniejszy moment.

–Saintes-Maries – powiedział cicho. – Dokąd?

–Tam, gdzie wszyscy Cyganie. Tam właśnie chcę pojechać. Nastąpiła długa chwila ciszy, którą przerwał dziwnie bezbarwny głos Cecile.

–By umrzeć w Saintes-Maries.

–By żyć w Saintes-Maries, a raczej by zrobić coś pożytecznego. Wiesz, to taka fanaberia leniwych nicponiów.

Spoglądała na niego bez słowa, ale tego się spodziewał. Należała do osób, które wiedzą, kiedy być cicho. W świetle księżycy można było dostrzec na jej uroczej twarzy cień smutku.

–Chcę się dowiedzieć, dlaczego zginął ten chłopak – ciągnął Bowman. – Chcę się dowiedzieć, dlaczego jego matka i trzy inne Cyganki są śmiertelnie przerażone. Chcę się dowiedzieć, dlaczego trzech Cyganów robiło co mogło, by mnie dziś w nocy zabić. I chcę wiedzieć także, dlaczego są gotowi pójść na takie ryzyko jak zabicie ciebie. Nie chciałabyś się dowiedzieć tego wszystkiego?

Przytaknęła, puszczając jego rękę. Bowman podniósł walizki i poszli dalej, starannie omijając główne wejście do hotelu. Wokół nie było nikogo ani widać, ani słyhać. Żadnej pogoni, tylko spokój i cisza Pól Elizejskich albo raczej porządnego cmentarza. Doszli do szosy biegnącej z północy na południe przez Piekielną Dolinę i skręcili w

prawo.

Po dalszych trzydziestu metrach Bowman z ulgą postawił walizki na trawiastym poboczu.

–Gdzie zaparkowałaś?

–Na końcu parkingu, pośrodku.

–Pięknie. To oznacza przejazd przez cały parking i podjazd. Jaka marka?

–Błękitny Peugeot 504.

–Kluczyki – zażądał wyciągając rękę.

–A to dlaczego? Chyba potrafię wyjechać własnym samo...

–Nie wyjechać, tylko przejechać, *cherie*. Przejechać każdego, kto będzie próbował cię zatrzymać. A mogę cię zapewnić, że będą próbować.

–Przecież śpią...

–O niewinności, niewinności! Siedzą sobie i popijają śliwovicę, czekając na miłą wiadomość o mojej śmierci. Kluczyki!

W jej spojrzeniu była mieszanina irytacji i rozbawienia, ale już bez słowa wyjęła z torebki kluczyki. Wziął je i ruszył w stronę parkingu. Cecile chciała pójść za nim, ale potrząsnął przecząco głową.

–Następnym razem.

–Rozumiem. Nie tworzymy zgranej pary.

–Byłoby lepiej, gdybyśmy tworzyli – powiedział dziwnie poważnie. – Dla twojego i dla mojego dobra. Poza tym chcę, byś stanęła przed ołtarzem bez skaz na urodzie. Poczekaj tu.

Chwilę później Bowman stał przy wejściu na podjazd w najgłębszym cieniu, jaki był w okolicy. Trzy wozy, te które już wcześniej sprawdzał, nadal były oświetlone, ale tylko w jednym było widać jakiś ruch. Był to pojazd Czerdy, a siedzący na schodkach mężczyźni robili właśnie to, o czym przed chwilą mówił do Cecile. Nie był tylko pewien, czy alkohol, którym się raczyli, to rzeczywiście śliwowica. Towarzyszący Czerdzie dwaj Cyganie byli jak on śniadzi, muskularni, wysocy i sądząc z rysów bez wątpienia pochodzenia środkowoeuropejskiego. Bowman nigdy dotąd ich nie spotkał i wcale tego nie żałował. Z fragmentów rozmowy, jakie do niego dotarły wynikało, że jeden nazywa się Maca a drugi Masaine. Już na pierwszy rzut oka było widać, że nie

mają anielskiego usposobienia.

Prawie dokładnie w połowie drogi między Cyganami a kryjówką Bowmana stał sobie dżip Czerdy, zwrócony przodem w stronę wjazdu. Był to jedyny tak strategicznie zaparkowany pojazd. W razie potrzeby

mógł być natychmiast użyty, na przykład do pościgu. Bowman postanowił wykorzystać sytuację. Schylony nisko, podbiegł do samochodu, dbając, by cały czas zasłaniał go przed wzrokiem Cyganów. Przykucnął przy masce i wymacał wentyl powietrza przedniego koła. Odkręcił nakrętkę i wsunął do środka zapalną owiniętą chusteczką, aby stłumić syk uciekającego powietrza. W ciągu kilkunastu sekund spuścił powietrze tak dokładnie, że wóz oparł się obręczą o wewnętrzną stronę opony. Miał nadzieję, że ani Czerda, ani jego towarzysze nie przyglądali się nachalnie dżipowi i żaden z nich nie zauważył dziwnego obniżenia, się części pojazdu o mniej więcej siedem centymetrów. Na szczęście Cyganie mieli inne zmartwienia.

–Coś jest nie tak – stwierdził Czerda. – Coś się nie udało. Wiecie, że nigdy się nie mylę w tych sprawach.

–Ferenc, Koscis i Hoval potrafią zadbać o własną skórę – odezwał się Maca. – Ten cały Bowman może po prostu ma niezły charakter w nogach.

–Nie!

Bowman zaryzykował i wyjrzał spoza dżipa. Zobaczył, że Czerda wstał.

–Za długo ich nie ma. I to o wiele za długo. Chodźcie, musimy ich poszukać.

Cyganie podnieśli się z wyraźną niechęcią, ale nagle wszyscy trzej znieruchomieli nasłuchując. Bowman pierwszy rozpoznał dźwięk, który zwrócił ich uwagę; był to tupot nóg dochodzący od strony patio przy basenie. Na szczycie schodów pojawił się Ferenc. Zbiegł po nich, przeskakując po kilka stopni, i pognął ku oczekującym. Poruszał się z trudem potykając się i zataczając. Jego świszczący oddech, twarz spływająca potem, a także pistolet, który nadal ścisnął w dłoni, świadczyły, że był u kresu wytrzymałości fizycznej i psychicznej.

–Nie żyją, ojcze! – zachrypiał, z trudem łapiąc powietrze. – Koscis i Hoval nie żyją!

–Co ty bredzisz, na litość boską? – zaniepokoił się Czerda.

–Są martwi! Mówię ci, że nie żyją! Znalazłem Koscisa, miał skręcony kark i połamane chyba wszystkie kości. Bóg jedyny wie, gdzie leży Hoval.

Czerda złapał syna za kłapy i potrząsnął nim gwałtownie. – Gadaj z sensem! Kto ich zabił?

–Ten cały Bowman.

–On?... On zabił... A co z Bowmanem? – Uciekł.

–Uciekł?! Ty kretynie! Jeśli Bowmanowi uda się uciec, to Gaiuse Strome zabije nas wszystkich. Piorunem, pokój Bowmana!

–I tej dziewczyny – zachrypiał Ferenc.

–~- Jakiej dziewczyny? – zdziwił się Czerda. – Aaa, tej czarnej? Ferenc przytaknął, łapiąc kolejny haust powietrza i dodał:

–Ukryła go... wcześniej...

–I tej dziewczyny – zawyrokował Czerda. – Biegiem!

Cała czwórka pognąła ku patio, a Bowman z mściwą satysfakcją dopadł drugiego przedniego koła. Ponieważ tym razem nie musiał się kryć i obawiać, że ktoś usłyszy syk powietrza, po prostu odkręcił wentyl i wyrzucił w mrok. Następnie, nadal schylony, przebiegł przez podjazd i wpadł na parking.

Nagle pojawiła się niespodziewana komplikacja. Cecile powiedziała, że to niebieski peugeot. Świetnie. Trudno nie rozpoznać niebieskiego peugeota, ale w ciągu dnia. Teraz była noc, a światło księżyca ledwie przebijało się przez gęsty wiklinowy dach, ocieniający parkujące wozy. W nocy wszystkie koty są czarne, a samochody irytująco podobne. Bez problemu można odróżnić rolls royce'a od mini morrisa, ale w obecnej dobie unifikacji większość samochodów ma podobne kształty i rozmiary. Bowman stwierdził to właśnie z przerażeniem. Biegał od jednego auta do drugiego i przyglądał im się z bliska, lecz bez rezultatu. Nagle doszły do niego stłumione głosy, w których było słyhać wściekłość i zaniepokojenie.

Czym prędzej podbiegł do wejścia na parking. Koło wozu Czerdy zobaczył czterech Cyganów, którzy musieli przed chwilą odkryć, że ptaszki im wyfrunęły. Gestykulowali żywo i spierali się o coś zawzięcie. Najwyraźniej była to narada wojenna, która miała zdecydować, co dalej. Bowman nie zazdrościł im, bo na ich miejscu także nie miałby pojęcia, co zrobić.

Nagle kątem oka dostrzegł coś, co nawet w bladej poświacie księżyca było feerią barw. Owo zjawisko znajdowało się na tarasie i było nader okazałe. Gdy się mu przyjrzał, stwierdził, że jest to pasiasta, dwuczęściowa piżama kryjąca de Croytora, który przechylony przez balustradę obserwował podjazd z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Równie dobrze mogło to być średnie zainteresowanie, lekkie obrzydzenie albo jeszcze coś innego. Interpretację utrudniało duże czerwone jabłko zasłaniające część twarzy księcia. Jedno nie ulegało wątpliwości – nie wyrażała jakichkolwiek gwałtownych uczuć. Bowman zostawił wielkiego księcia w spokoju i

wrócił na parking. Dwa razy sprawdził rejon, o którym mówiła Cecile, i nie znalazł jej samochodu. Przeszedł

więc na zachodnią część parkingu i rzeczywiście – czwarty w pierwszym rzędzie stał peugeot, który dał się otworzyć. Wśliznął się za kierownicę, delikatnie zamknął drzwi i włożył kluczyk w stacyjkę. Kobiety! – pomyślał z pretensją, ale nie miał teraz czasu zastanawiać się na ten temat. Były pilniejsze sprawy.

Wszystkie czynności starał się wykonywać bezszelestnie, choć wydawało się nieprawdopodobne, by zawzięcie dyskutujący Cyganie mogli go usłyszeć. Zwolnił ręczny hamulec, po czym wrzucił pierwszy bieg. Następnie równocześnie przekręcił kluczyk, włączył światła i nacisnął na gaz. Peugeot wyskoczył do przodu z piskiem opon. Bowman skręcił gwałtownie w lewo i skierował się ku bramie w żywopłocie. W blasku lamp dostrzegł, że Cyganie rzucili się w stronę wyjazdu z parkingu. Czerda coś krzyczał, ale poprzez ryk silnika nie sposób było nic usłyszeć, jednak sądząc z gestykulacji, kazał swoim ludziom zatrzymać samochód. Bowman jednak nie był w stanie sobie wyobrazić, jak mieliby to zrobić. Mijając bramę, dostrzegł, iż tylko Ferenc posiada broń palną i że chce jej użyć. Stał w świetle reflektorów i mierzył w przednią szybę. Bowman nie miał wyjścia – skierował samochód prosto na niego. Na twarzy Cygana odmalowało się przerażenie. Natychmiast stracił zainteresowanie pistoletem i zajął się ratowaniem własnej skóry. Desperacko rzucił się w lewo i prawie mu się udało. Ale nie do końca – błotnik peugeota trafił go w udo i Ferenc zniknął jak za podmuchem wiatru, tylko pistolet metalicznie błysnął w świetle reflektorów. Czerda i pozostali zdążyli prysnąć na boki, toteż już bez żadnych przeszkód Bowman wyjechał na drogę i z rykiem silnika pomknął w dół. Ciekaw był, co na to wielci książe. Być może, pomyślał, nawet nie przerwał jedzenia.

Z piskiem opon pokonał zakręt i zatrzymał się, gdy dostrzegł Cecile. Nie wyłączając silnika wysiadł i otworzył drugie drzwi. Dziewczyna podbiegła, taszcząc bagaże.

–Szybko! – Cisnęła w jego stronę walizki. – Nie słyszysz, że jadą za nami?

–Słyszę – odparł uspokajająco. – Ale myślę, że mamy czas. Rzeczywiście, mieli. Z tyłu rozległo się wycie silnika na niskim biegu, gwałtownie cichnące przed zakrętem. Kiedy dżip się pojawił, było widać, że coś niesporo mu szło skręcanie. Czerda gorączkowo kręcił kierownicą, lecz przednie koła miały własne zdanie w kwestii manewrowania. Ze sporym zainteresowaniem Bowman obserwował rozwój wypadków; dżip pojechał dalej prosto, rozwalił barierkę, po czym ściął młode drzewko i z miłym dla ucha łoskotem wylądował w polu.

–No, no – mruknął z naganą Bowman. – Widziałaś, do czego prowadzi brawura za kierownicą?

Nie czekając na odpowiedź, przeszedł przez drogę i wyjrzał. Samochód leżał na

boku, a koła jeszcze się kręciły. Trzej pasażerowie, którzy w czasie lotu wypadli z pojazdu, leżeli jak kłody jeden na drugim pięć metrów dalej. Powoli zaczęli się rozplątywać i niezdarnie podnosić na nogi. Z oczywistych względów nie było wśród nich Ferenca.

Bowman zauważył, że Cecile stoi obok i ogląda skutki wypadku.

–To twoja sprawka – stwierdziła oskarżycielsko – ty im zepsułeś dżipa.

–Drobiazg – przyznał skromnie. – Tylko spuściłem trochę powietrza z opon.

–Przecież... mogli się zabić! Samochód mógł ich zmiażdżyć!

–Marzenia niestety nie zawsze się spełniają, a szkoda – powiedział smutno Bowman i dziewczynie mowę odebrało. – Nie wyglądasz na idiotkę i nie mówisz jak idiotka, więc nie psuj efektu zachowując się jak głupia gęś. Jeśli sądzisz, że nasi przyjaciele mieli zamiar jedynie pooddychać nocnym prowansalskim powietrzem, to dlaczego nie zejdziesz i nie spytasz, jak się czują?

Bez słowa odwróciła się na pięcie i wróciła do samochodu. Bowman poszedł za nią i ruszyli w ponurym milczeniu. Po mniej więcej minucie skręcił na prawo i zatrzymał się na niewielkim parkingu. Zgasił światła, wyłączył silnik i zaciągnął ręczny hamulec. Opodal wznosiła się wapienna ściana, pocięta rozmaitej wielkości otworami, prowadzącymi w głąb mrocznego labiryntu, wykutego przez ludzi.

–Nie masz chyba zamiaru się tu zatrzymywać? – zdziwiła się Cecile.

–Właśnie to zrobiłem.

–Przecież zaraz nas tu znajdą! – jęknęła z rozpaczą. – Lada minuta będą tędy przejeżdżać.

–Jeśli są zdolni do myślenia po tym małym kołowrotku, to będą pewni, że jesteśmy już w połowie drogi do Av•inionu. Poza tym sądzę, że sporo czasu minie, zanim odzyskają dotychczasowy entuzjizm do jazdy nocą.

Wysiedli i przyjrzeni się wejściom do jaskiń. Niepokój – nie, to nie było właściwe określenie dla panującej tu atmosfery. Wiało dosłownie grozą. Bowman teraz już wiedział, co miał na myśli policjant dziś wieczorem w hotelu. Co więcej, podzielał jego uczucia. Był przekonany, że nie tylko urodzeni i wychowani w okolicy mogli mieć fobię na punkcie jaskiń. Nikt zdrowy na umyśle nie wszedłby tam dobrowolnie po zapa

dnieniu zmroku. Bowman uważał siebie za osobnika w pełni władz umysłowych i nie miał najmniejszej ochoty wchodzić do środka. Musiał jednak to zrobić.

Wziął latarkę i polecił Cecile: – Poczekaj tuna mnie!

–Ani mi się śni! – oznajmiła dziwnie stanowczo. – Za nic w świecie nie zostanę tu sama!

–Wewnątrz prawdopodobnie będzie jeszcze gorzej. – Nic mnie to nie obchodzi.

–Cóż, to wolny kraj...

Weszli przez największy otwór, który znajdował się z lewej strony. Swobodnie dałoby się przez niego przesunąć dwupiętrowy dom, i to razem z piwnicami. Światło latarki prześlizgnęło się po ścianach pokrytych graffiti, będących dziełem wielu pokoleń. Bowman wybrał przejście prowadzące w prawo, do jaskini jeszcze większej niż ta, z której wyszli. Zauważył, że Cecile potyka się co krok, choć teren nie jest zbyt wyboisty, a na nogach ma sandałki na płaskim obcasie. Dowodziło to, że z jej wzrokiem nie wszystko jest w porządku. Być może właśnie dlatego zgodziła się mu towarzyszyć.

Następna jaskinia także nie kryła nic ciekawego. Bowman ocenił, że jej wysokość mogły osiągnąć jedynie nietoperze, a skoro nie była dostępna dla niego, to i dla Cyganów. Skierował się ku wejściu do kolejnej jaskini.

–Upiorne miejsce – szepnęła nagle Cecile. – Masz rację, nie jest pociągające.

W milczeniu przeszli kilka kroków. – Panie Bowman...

–Przecież przeszliśmy na ty. Już ci mówiłem, Neil. – Mogę cię wziąć za rękę?

Nie sądził, że w dzisiejszych czasach dziewczyny jeszcze pytają o takie drobiazgi.

–Proszę bardzo. Nie tylko tobie jest potrzebne moralne wsparcie. – To nie to. Nie boję się. Naprawdę. Tylko tak machasz latarką na wszystkie strony, że nie widzę podłogi i co chwila się potykam.

–Aha.

Rzeczywiście, gdy złapała go za ramię, przestała się potykać, drżała jedynie jak w ostrym ataku malarii.

–Czego my właściwie szukamy? – Do licha, doskonale wiesz, czego. – Może... może go ukryli, prawda?

–Może, ale nie pochowali, chyba że mieli ze sobą dynamit. Natomiast mogli go zagrzebać pod kamieniami, których tu sporo, i to byłoby najłatwiejsze, zwłaszcza że nie mieli zbyt wiele czasu.

–Minęliśmy wiele różnych stert i żadna cię nie zainteresowała.

**–Kiedy zobaczymy świeżo usypaną, zorientujesz się w różnicy stwierdził Bowman. –
Dlaczego tu weszłaś, Cecile? Powiedziałaś prawdę mówiąc, że się nie boisz. Ty po
prostu jesteś śmiertelnie przerażona.**

–Wolę być śmiertelnie przerażona tutaj, razem z tobą, niż sama na zewnątrz.

Niewiele brakowało, by zaczęła szczekać zębami.

**–Całkiem rozsądny punkt widzenia – zgodził się jej towarzysz. Przeszli do kolejnej
jaskini, gdzie Bowman po kilku sekundach niespodziewanie się zatrzymał.**

–Co się stało? – szepnęła Cecile.

**–Nie wiem... a właściwie wiem – po raz pierwszy także Bowmanem wstrząsnął
dreszcz.**

–Ty także? – zapytała.

–Ja także. Ale nie o to chodzi. Właśnie poczułem powiew śmierci. – Błagam!

**–To jest właśnie to miejsce! Jeśli ma się moje lata i doświadczenie, wyczuwa się
takie rzeczy.**

–Śmierć? – teraz jej głos także drżał. – Nie można wyczuć śmierci.

–Ja mogę – odparł poważnie i zgasił latarkę.

**–Zapal ją! – w głosie dziewczyny zabrzmiała histeria. – Na litość boską włącz
latarkę! Proszę!**

**Puścił jej rękę, objął ją i mocno przytulił do siebie. Pomyślał, że przy odrobinie
szczęścia uda im się zsynchronizować drzenie, co może nie zapewni im pierwszego
miejsca w telewizyjnym konkursie tańca, ale pomoże się opanować.**

–Zauważyłaś coś odmiennego w tej jaskini? – spytał, gdy nieco przestała drzeć.

–jest jaśniej. Skądś dochodzi tu światło. – Właśnie.

**Przeszli jeszcze parę kroków i zatrzymali się u stóp kamiennego osypiska,
ciągnącego się w górę aż do otworu w sklepieniu, przez który przeświecały gwiazdy.
Wzdłuż całego tego osypiska widać było pas poruszonych odłamków skalnych,
tworzących swego rodzaju ścieżkę. Bowman zapalił latarkę – to rzeczywiście była
ścieżka, którą niedawno**

ktoś musiał schodzić. Przesunął promień na podstawie osypiska i krąg światła znieruchomił na stercie kamieni. Miał on około dwóch i pół metra długości i metr wysokości.

–To, jak widać, jest świeża pryzma – powiedział cicho. – Jak widać – mechanicznie powtórzyła Cecile.

–Odsuń się trochę.

–Nie. Może to dziwne, ale ze mną już wszystko w porządku.

Wcale się temu nie dziwił i wierzył, że dziewczyna mówi prawdę. Człowiek stosunkowo niedawno zszedł z drzewa i nadal najbardziej obawiał się nieznanego. To co znane zawsze jest mniej straszne, a teraz obydwójce doskonale wiedzieli, co mogą odkryć.

Bowman przyklęknął i zaczął odrzucać wapienne odłamy. Zabójcy nie trudzili się zbyt z ukryciem ciała, gdyż wkrótce ukazały się strzępy zakrwawionej koszuli i błysnął srebrny łańcuszek z krzyżykiem. Bowman odpiął go i delikatnie zsunął z szyi zamordowanego, po czym zawiązał w chusteczkę i schował do kieszeni.

Bowman zaparkował samochód w tym samym miejscu, z którego zabrał Cecile, gdy uciekali przed Cyganami.

–Zostań tu, tym razem tak ma być - polecił.

Cecile co prawda nie przytaknęła potulnie, ale także nie sprzeciwiła się, a to był wyraźny postęp. Być może w końcu jego metody wychowawcze zaczynały dawać rezultaty. Z zadowoleniem stwierdził, że dżip nadal leży na polu. Nawet go to nie zdziwiło – do podniesienia wozu był potrzebny dźwig.

Droga na podjazd wydawała się wolna, ale Bowman zdążył już nabrać do Czerdy i jego rozrywkowych kompanów takiego zaufania, jakie ma się do gniazda kobr czy czarnych wdów. Kryjąc się w cieniu, zbliżył się do podjazdu bardzo wolno i ostrożnie. Nagle potracił nogą coś, co metalicznie stuknęło, więc znieruchomił na chwilę. Ponieważ nic się nie działo, pochylił się i znalazł pistolet Ferenc. Po ostatnim spotkaniu z nim mógł przypuszczać, że w najbliższym czasie broń nie będzie potrzebna Cyganowi. Bowman postanowił jednak zwrócić mu jego własność. W wozie Czerdy nadal paliło się światło, zaś inne pojazdy stały ciemne. Bowman najciszej jak potrafił, pokonał stopnie prowadzące do uchylonych drzwi i zajrzał do środka.

Czerda sporo stracił na urodzie: twarz miał posiniaczoną, duży kawał plastra zasłaniał ranę na czole, a lewa ręka była zabandażowana. Jednak wyglądał kwitnąco w porównaniu z synem. Ferenc leżał półprzytomny

na łóżku, jęcząc z bólu, a od czasu do czasu wrzeszcząc, gdy ojciec próbował zerwać z jego czoła przesiąknięte krwią bandaż. Usunięcie resztek opatrunku było tak bolesne, że Cygan prawie oprzytomniał. Bowman zobaczył wielką ranę, przecinającą czoło Cygana, i rozległe siniaki na całej twarzy. Nie przejął się tym zbyt. Gdyby Ferenc osiągnął to, co chciał, to on, Bowman, teraz już nie czułby niczego.

Czerda założył synowi nowy opatrunek i pomógł mu się podnieść. Cygan usiadł, zakrył twarz rękami i jęknął:

–Co się stało? Dlaczego łeb mi pęka?

–Nic ci nie będzie – uspokoił go ojciec. – To tylko skaleczenie i siniaki.

–Ale co się stało?

–Samochód. Pamiętasz?

–Samochód! Ten drań Bowman! – w ustach Ferenca brzmiało to niczym pochwała.

– Czy on... czy...

–Uciekł. Niech go jasna cholera. I przy okazji zniszczył naszego dżipa. Widzisz? – Czerda wskazał na swoje czoło i rękę.

Ferenc bez zainteresowania spojrział na te obrażenia, po czym odwrócił wzrok. Miał inne sprawy na głowie.

–Pistolet... – jęknął. – Gdzie jest mój pistolet? – Tu – powiedział Bowman, wchodząc do wozu.

Broń wycelował w Ferenca, a w lewej dłoni trzymał zakrwawiony krzyżyk. Cygan spojrział na niego wzrokiem skazańca patrzącego na kata. Chciałby znaleźć się na miejscu Bowmana. Czerda, siedzący tyłem do drzwi, odwrócił się i znieruchomiał. Nie wyglądał ani trochę przyjaźniej niż Ferenc. Bowman zrobił dwa kroki i położył krzyżyk na stoliku.

–Jego matka pewnie chciałaby zachować ten drobiazg na pamiątkę, ale radziłbym najpierw zetrzeć krew. – Ponieważ nie było żadnej reakcji ze strony Cyganów, dodał: – Zamierzam cię zabić, Czerda. Nikt ci nigdy nie udowodni, że zamordowałeś tego chłopaka. Ale ja nie potrzebuję dowodów. Wystarczy mi pewność. Na razie masz szczęście; jeszcze trochę pożyjesz, ale potem cię zabiję. Najpierw ciebie, potem Gaiuse'a Strome'a. Powiedz mu to przy pierwszej okazji, dobrze?

–Co wiesz o nim? – powiedział bardzo cicho Czerda.

–Wystarczająco dużo, by zarobił stryczek, podobnie jak i ty. Czerda nagle się uśmiechnął, lecz nie przestał mówić szeptem. – Powiedziałaś, że jeszcze nie teraz.

Lekko przesunął się do przodu.

Bowman skierował wylot lufy dokładnie między oczy Ferenc'a i Czerda znieruchomiał. Bowman wskazał mu głową stołek obok stolika.

–Siadaj, twarzą do syna – polecił.

Czerda posłusznie wykonał polecenie. Bowman zrobił krok w ich stronę, przekonał się, że reakcje Ferenc'a są znacznie spowolnione i zanim ten zdołał krzyknąć, Czerda zwał się na podłogę po silnym ciosie pistoletem w głowę.

Jego syn zaklął z bezsilnej złości po cygańsku, ale nie zdążył ponownie wydać głosu, gdyż Bowman podszedł do niego i uniósł broń. Ferenc upadł na ojca i leżał bez ruchu.

–Co, na litość... – usłyszał Bowman za plecami. Rzucił się gwałtownie w bok, padł na podłogę, przeturlał się dalej i zerwał z wycelowaną bronią. Opuścił ją i powoli się podniósł. W drzwiach stała Cecile blada jak trup i przyglądała mu się szeroko otwartymi oczami.

–Ty idiotko! – warknął wściekły. – O mało cię nie zabiłem! Nigdy więcej nie rób czegoś takiego, rozumiesz? Wejdz do końca i zamknij za sobą drzwi. Dlaczego, do diabła, nie posłuchałaś i nie poczekałaś w samochodzie?

Jak w transie zrobiła, co kazał, po czym spojrzała najpierw na leżących Cyganów, potem na Bowmana.

–Na litość boską, dlaczego ich uderzyłeś? To przecież ranni!

–Bo zabicie ich w tej chwili mi nie odpowiada – odparł zimno i zabrał się za metodyczne i gruntowne przeszukiwanie pomieszczenia. Kiedy przeprowadza się dokładną rewizję jakiegoś lokalu, obojętne

czy jest to cygański wóz czy rezydencja barona, trzeba rozebrać na kawałki wszystko, co się tam znajduje. Tak więc Bowman planowo i metodycznie demolował wóz Czerdy. Łóżka zostały rozwalone, materace pocięte, zresztą nożem Czerdy, a ich zawartość rozrzucona po podłodze, zaś szuflady wyłamane. W kuchni Bowman potłukł wszystkie naczynia, w których można było coś ukryć, opróżnił puszki konserw do zlewu, tam też cisnął rozbite' butelki z winem. Wszystko to, co było w szufladach, znalazło się na podłodze.

Cecile, obserwująca jego występ jak zahipnotyzowana, spytała nagle:

–Kto to jest Gaiuse Strome?

–Pojęcia nie mam – przyznał uczciwie. – Do dziś o nim nawet nie słyszałem.

Jego uwagę zwróciły szuflady komody. Wyjmował je kolejno, opróżniał na podłogę, a zawartość rozrzucał kopniakami. Niestety, były tam tylko ubrania.

–Własność innych ludzi niewiele dla ciebie onaczy, prawda? – Cecile próbowała cokolwiek z tego zrozumieć.

–Jest ubezpieczony – Bowman lekceważąco machnął ręką i zaatakował ostatni mebel.

Było to pięknie rzeźbione, mahoniowe biurko warte fortunę. Ponieważ nie mógł się do niego dostać, wyłamał szuflady za pomocą niezastąpionego noża Czerdy. W pierwszej szufladzie, której zawartość wysypał na podłogę, nie było nic ciekawego, za to w drugiej jego uwagę zwróciła para wełnianych skarpet. Były tu zdecydowanie nie na miejscu. Bliższe oględziny ujawniły w nich paczkę nowiutkich pieniędzy, jeszcze z bankową banderolą. Przeliczył je i gwizdnął z uznaniem.

–Osiemdziesiąt tysięcy franków szwajcarskich w banknotach tysiącfrankowych – oznajmił. – Ciekawe, skąd je wziął nasz przyjaciel Czerda. No, dobrze.

Schował gotówkę do kieszeni i zabrał się za trzecią szufladę.

–Ależ... przecież to kradzież! – Szok jest może zbyt mocnym określeniem, ale z pewnością to nie podziw malował się w pięknych oczach Cecile.

jednakże Bowman nie był w nastroju do prowadzenia dyskusji o moralności.

–Och, zamknij się! – zaproponował. – Zabrałeś pieniądze.

–Może w ten sposób zarabiam na życie – odpalił, wyłamując zamek kolejnej szuflady.

Zdążył ją opróżnić na podłogę, gdy usłyszał jakiś szmer. To Ferenc próbował się pozbierać. Bowman pomógł mu wstać, rąbnął solidnie w szczękę i puścił. Cygan ponownie wylądował na podłodze. Na twarzy Cecile odmalował się wstręt. Prawdopodobnie odebrała staranne wychowanie i uważała, że opera lub balet jest najważniejszą formą wieczornej rozrywki. Zabrał się za kolejną szufladę.

–Nic nie mów – zwrócił się do dziewczyny – to ten leniwy obibok się rozbija. Czy to nie jest zabawne?

–Nie – odparła lodowato. – Ach!

–Co to jest? – nawet najstaranniejsze wychowanie nie ma szans wobec kobiecej ciekawości.

–To – pokazał jej delikatną szkatułkę z drewna różanego, intarsjowaną hebanem i ozdobioną masą perłową.

Szkatułka była niewielka i tak starannie wykonana, że w szczelinę między wieczkiem a resztą nie wchodził nawet czubek noża Czerdy, ostrego jak brzytwa. Cecile zdawało się sprawiać złośliwą satysfakcję, że Bowman napotkał na nieoczekiwaną przeszkodę.

–Mam poszukać klucza? – spytała słodko wskazując panujący w wozie bałagan.

–Nie ma potrzeby – mruknął.

Położył pudełko na podłodze i wskoczył na nie obiema nogami. Spomiędzy szczątków szkatułki wyjął zapieczętowaną kopertę, otworzył ją i wyjął kartkę papieru,

Napisano na niej na maszynie i to dużymi literami przedziwnie bezsensowną kombinację liter, cyfr i słów. Słowa można było zrozumieć, ale całość i tak była bez sensu. Cecile zajrzała mu przez ramię przymrużając oczy – wiedziała, że ma kłopoty ze wzrokiem.

–Co to jest? – spytała po chwili.

–Wygląda jak szyfr. Parę słów można zrozumieć: “poniedziałek, 24 maja, Grau-du-Roi”.

–Grau-du-Roi?

–Port rybacki i lotnisko na wybrzeżu. Dlaczego Cygan tak pieczołowicie przechowuje zaszyfrowaną wiadomość?

Bowman zastanawiał się nad tym dłuższą chwilę, ale nic mu nie przychodziło do głowy. Był przytomny, wciąż trzymał się na nogach, lecz jego umysł miał już dość.

–Głupie pytanie. Wynosimy się stąd.

–Zostawiając dwie takie ładne szuflady nie wyłamane?

–Bezcelowe ruszczenie przedmiotów to wandalizm – pouczył ją, biorąc pod ramię, by się nie zabiła idąc do drzwi, bowiem podłogi praktycznie nie było widać spod szczątków mebli i porozrzucanych rzeczy. Cecile uważnie spojrzała na niego.

–Czy to znaczy, że umiesz łamać szyfry? – spytała. Bowman rozejrzał się z pewną dumą.

–Meble tak, zastawę też, ale szyfrów nie. Idziemy spać.

Zanim zamknął drzwi, przyjrzał się własnemu dziełu: parze nieprzytomnych mężczyzn, leżących wśród resztek doszczętnie zdemolowanego, a kilkanaście minut temu jeszcze całkiem gustownie urządzonego wnętrza cygańskiego wozu. Zamknął drzwi, prawie tego żałując.

Rozdział czwarty

Gdy Bowman się obudził, ptaszki wesoło ćwierkały, a na bezchmurnym błękitnym niebie świeciło słońce. Widok ten podziwiał z okna niebieskiego peugeot'a, który nad ranem zaparkował na poboczu w cieniu kępy drzew. W mroku wydawało się, że będzie to doskonała zasłona od strony drogi. Teraz w dziennym świetle mógł stwierdzić, że był dobrze widoczny dla każdego przypadkowego przechodnia, któremu chciałoby się rozejrzeć na boki. Ponieważ nie było mu na rękę wzbudzanie jakiegokolwiek zainteresowania, zdecydował, że najwyższa pora ruszać.

Z niechęcią pomyślał o budzeniu Cecile, która smacznie spała z głową na jego ramieniu. On sam miał raczej kiepską noc, gdyż starał się nie poruszyć, by nie zbudzić dziewczyny, a do tego nocny wysiłek fizyczny dawał o sobie znać bólem mięśni i ścięgien, które od dawna nie były tak eksploatowane. Opuścił boczną szybę, odetchnął świeżym rześkim powietrzem poranka i zapalił papierosa. Trzask zapalniczki wystarczył, by obudzić Cecile. Dziewczyna wyprostowała się, rozejrzała wokół nieprzytomnym wzrokiem i dopiero po chwili uświadomiła sobie, gdzie się znajduje.

–Cóż, ten hotel jest dość podły – oceniła.

–To właśnie lubię: optymizm i pionierski duch. – Czy ja wyglądam na pioniera?

–Prawdę mówiąc, nie.

–Chcę się wykąpać – oznajmiła.

–Ja też. Jak tylko dojedziemy do najlepszego hotelu w Arles, będzie to możliwe. Słowo harcerza.

–To ty jesteś niepoprawnym optymistą. Wszystkie pokoje, i to nie tylko w najlepszym ale w jakimkolwiek hotelu w okolicy, zostały zarezerwowane dawno temu w związku z tym cygańskim festiwalem.

–Zgadza się. Włącznie z tym, który ja zarezerwowałem dwa miesiące temu.

–Rozumiem -ostentacyjnie przesunęła się na swój fotel, co było czarną niewdzięcznością, ponieważ przez pół nocy nie miała nic przeciwko używaniu jego ramienia jako poduszki. – A więc dwa miesiące temu zarezerwował pan pokój, panie Bowman...

–O, znowu jesteśmy oficjalni? Neil, skoro zapomniałaś.

–Byłam cierpliwa, prawda? Można nawet powiedzieć, że byłam wzorem cierpliwości. Zdaje się, że nie zadawałam zbyt wielu pytań? Prawdę mówiąc, nie zadawałam żadnych pytań.

–Święta racja – przyznał z podziwem. – Cóż z ciebie będzie za żona! Gdy wrócę zmęczony z pracy...

–Chwileczkę! O co tu naprawdę chodzi? Kim ty, do diabła, jesteś? – Uciekającym obibokiem.

–Że co proszę? Uciekającym? Przecież śledzisz Cyganów, którzy... – Jestem mściwym obibokiem.

–Pomogłam ci...

–Zgadza się, i to bardzo.

–Dałam ci swój samochód. Naraziłeś mnie na niebezpieczeństwo... – Wiem i bardzo żałuję, że tak się stało. Nie miałem prawa tego robić. Wsadzę cię w taksówkę, zawiozę na lotnisko Martignane i umieścę w pierwszym samolocie do Anglii. Albo lepiej: jedź tam od razu. Ja złapię jakąś okazję do Arles.

–Szantaż!

–Przepraszam, nie rozumiem. Daję ci możliwość jak najszybszego znalezienia się w bezpiecznym miejscu, a ty to nazywasz szantażem? Czy mam przez to rozumieć, że jesteś gotowa ze mną jechać? Przytaknęła w milczeniu.

–Skąd takie bezgraniczne zaufanie do kogoś, kto ma na rękach krew? No, no – mruknął przyglądając się jej z uwagą. – Nadal nic nie rozumiem... Czyżby urocza panna Dubois miała zamiar się zakochać?

–Możesz być spokojny. Urocza panna Dubois nie ma czasu na takie romantyczne bzdury.

–W takim razie dlaczego chcesz mi towarzyszyć? Diabli wiedzą, jak wielu jeszcze ich jest i gdzie mogą na nas czekać: w ciemnej alejce, w restauracji. Kto wie, ilu Czerda ma kumpli i gdzie pracują. Dlaczego? – Prawdę mówiąc, sama nie wiem.

Bowman wzruszył ramionami i włączył silnik.

–Jeśli ty nie wiesz, to ja tym bardziej – stwierdził.

Tak naprawdę to wiedział. Ona zresztą także wiedziała, tylko nie przypuszczała, że on wie, iż ona wie. Wszystko razem było dość skomplikowane, zwłaszcza o ósmej

rano.

Gdy wyjechali na drogę, Cecile niespodziewanie stwierdziła: – Jest pan sprytniejszy, niż pan wygląda, panie Bowman.

–Znowu? Poza tym to chyba nie jest takie trudne? A tak w ogóle to mam na imię Neil.

–Minutę czy dwie temu zadałam ci pewne pytanie. Jakoś tak wyszło, że nigdy na nie nie otrzymałam odpowiedzi.

–Jakie pytanie?

–Nieważne – westchnęła z rezygnacją. – Sama zapomniałam, o co mi chodziło.

Wielki książę siedział w łóżku w pasiastej piżamie, na szczęście dyskretnie przysłoniętej serwetką rozmiarów średniego obrusa, i spożywał śniadanie w łóżku. Taca, na której mu je przyniesiono, miała imponujące rozmiary, odpowiednie do obfitości posiłku. Właśnie nadział na widelec szczególnie apetycznie wyglądający kawałek ryby, gdy otworzyły się drzwi i wpadła Lila, lekceważąc zwyczaj pukania. Była nie uczesana, jedną ręką trzymała poły szlafroka, zaś w drugiej miała kawałek papieru. Nie trzeba było szczególnej spostrzegawczości, by zauważyć, że jest wytrącona z równowagi.

–Cecile zniknęła! – oznajmiła machając kartką. – Zostawiła to.

–Zniknęła? – książę włożył widelec do ust i przez sekundę rozkoszował się jedzeniem. – Rzeczywiście potrafia tu przyrządzać ryby. Zniknęła, to znaczy wyjechała, jak rozumiem. Dokąd?

–Nie wiem. Zabrała wszystkie swoje rzeczy.

–Pokaż mi to – wziął kartkę od dziewczyny, na której były słowa: “Skontaktuj się ze mną. Poste Restante Saintes-Maries”. – Jak na kobietę wyjątkowa zwięzłość, powiedziałbym. Ten typek, który był z nią wieczorem...

–Bowman? Chyba ma na imię Neil.

–Właśnie. Sprawdź z łaski swojej, czy jeszcze tu jest. I czy stoi wasz samochód.

–Nie pomyślałam o tym.

–Pora jest zbyt wczesna, poza tym nie każdy jest stworzony do myślenia – pocieszył ją książę i ponownie ujął widelec.

Ledwie jednak za dziewczyną zamknęły się drzwi, odłożył go i sięgnął do szuflady

nocnego stolika. Wyjął z niej notes, którego wczoraj używała Lila, występując w roli jego darmowej sekretarki. Porównał zapisane przez nią wywiady z Cyganami z kartką, którą przed chwilą mu wręczyła i westchnął ze smutkiem. Już na pierwszy rzut oka było 64

widać, że oba teksty pisała ta sama osoba. Schował notes. Upuścił kartkę na podłogę i wrócił do ryby, którą błyskawicznie zmiotł z talerza. Uniósł pokrywę z półmiska zawierającego jajka na bekonie i zajął się jego zawartością. Przy tej czynności zastała go Lila. Zdążyła się przebrać w niebieskie mini, to samo, które miała na sobie wieczorem, oraz uczesała włosy.

–Jego też nie ma – poinformowała od drzwi. – Samochodu także. Och, Charles, boję się.

–Mając mnie przy boku, strach jest zbędną emocją. Trzeba się dostać do Saintes-Maries i wszystko się wyjaśni, prawda?

–Chyba tak – powiedziała xuepewnie. – Ale jak się tam dostanę? Mój samochód, to jest nasz samochód...

–Po prostu będziesz mi towarzyszyć, *cherie*. Wielki książę zawsze ma jakiś środek transportu do dyspozycji – przerwał, nasłuchując. No, no, ci Cyganie potrafią być strasznie hałaśliwi. Weź tę tacę, moja droga.

Spełnienie tej prośby wymagało od dziewczyny sporego wysiłku. De Croytor wstał, owinął się w jaskrawy chiński szlafrok i wyszedł na taras. Ponieważ głosy dochodziły z podjazdu, zbliżył się do balustrady i spojrzał w dół. Spora grupa Cyganów zgromadziła się przy drzwiach wozu Czerdy, dobrze widocznych z miejsca, gdzie stał książę. Wszyscy żywo gestykulowali i coś wykrzykiwali. Byli wyraźnie wściekli z jakiegoś powodu.

–Aha – de Croytor zatarł z zadowoleniem rękę. – Co za szczęśliwy zbieg okoliczności. Rzadko się zdarza, żeby człowiek był na miejscu, gdy można podziwiać *rue skążony* cywilizacją folklor. Idziemy!

Pomaszerował w stronę schodów, nie oglądając się za siebie. – Przecież jesteś w piżamie! – Lila złapała go za rękaw.

–No to co? – zdziwił się, – schodząc na patio; wyraźnie lekcewał spojrzenia, nielicznych na szczęście o tej porze, gości spożywających śniadanie.

Książę zatrzymał się na szczycie stopni prowadzących na podjazd i uważnie się rozejrzał. Cyganie opuścili już parking, a ich wozy były gotowe do drogi. Koło karawaningu Czerdy zgromadziło się kilkunastu zdenerwowanych Cyganów.

De Croytor zszedł na dół, przepchnął się przez tłum otaczający wóz i stanął przy wejściu. Zmieszana dziewczyna trzymała się blisko niego, nie bardzo wiedząc, jak ma się zachować. Na stopniach siedział poobijany i obandażowany Czerda w towarzystwie równie jak on poturbowanego Ferenca. Obaj trzymali się za głowy i wyglądali na wykończonych

fizycznie i psychicznie. Kilka kobiet usiłowało jakoś uporządkować wóz. Było to zadanie niewykonalne, gdyż w świetle dziennym rzucało się w oczy, że ktoś zdemolował pomieszczenie z rozmysłem i naprawdę dokładnie – środek pojazdu stanowił po prostu jedną wielką ruinę. Terrorysta mający celne oko i dobrą rękę do rzucania bomb, byłby dumny z takiego efektu.

–No, no, no! – wielki książę potrząsnął głową z mieszaniną niesmaku i rozczarowania. – Do czego też może doprowadzić rodzinna sprzeczka. Niektórzy ludzie nie potrafią, jak widać, się opanować. Ach ta cygańska krew! Wracamy, moja droga. Nie ma tu nic ciekawego dla prawdziwego badacza folkloru. Większość Cyganów już wyjechała, więc i my powinniśmy udać się w drogę.

Ledwie dotarli na górę, de Croytor zawołał chłopca hotelowego. – Mój samochód młodzieńcze, i to zaraz.

–A gdzie jest twój samochód? – zainteresowała się Lila. – To nie ma go tutaj?

–Oczywiście, że tu go nie ma. Dobry Boże, dziewczyno, nie sądzisz chyba, że ci, których zatrudniam, śpią w tych samych hotelach co ja?! Bądź gotowa za kwadrans.

–Za kwadrans? Muszę wziąć kąpiel, zjeść śniadanie, zapłacić rachunek...

–Za kwadrans!

I Lila była gotowa za kwadrans. Podobnie zresztą jak książę, który pojawił się ubrany w szary, dwurzędowy garnitur z flaneli, jasnobrązową koszulę i słomkowy kapelusz ze wstążką w tym samym kolorze. Jednak po raz pierwszy, odkąd się poznali, uwaga dziewczyny skupiła się nie na nim. Z osłupieniem wpatrywała się w pojazd.

–Wielki książę zawsze ma do dyspozycji jakiś środek transportu powtórzyła oszołomiona.

W tym wypadku środkiem transportu był ręcznie wykończony kabriolet marki Rolls-Royce w kolorze ciemnej i jasnej zieleni. Przy otwartych drzwiach stał szofer w liberii o tych samych barwach, choć właściwie należało powiedzieć: "stała szofer". Kierowcą była młoda, zgrabna, kasztanowłosa dziewczyna bezsprzecznie uderzająco ładna. Z uśmiechem przytrzymała drzwi księciu i jego towarzysze, poczekała, aż się

usadowią, po czym siadła za kierownicą i ruszyła. Od wewnątrz wyglądało to nieco niesamowicie, gdyż nagle krajobraz zaczął się przesuwać za oknami w absolutnej ciszy.

Lila z podziwem spojrzała na de Croytora, który właśnie zapalał hawańskie cygaro zapalniczką wyjętą z konsoli, na której było mnóstwo przycisków i lampek.

–Mógłbyś mi wytłumaczyć, dlaczego dziewczyna, i to jeszcze taka dziewczyna, nie może mieszkać w tym samym hotelu co ty? – spytała niespodziewanie z pretensją w głosie.

–Dlatego, że u mnie pracuje. To nie kwestia braku troski o pracowników, to kwestia zasad współżycia. – Wcisnął jeden z guzików i szyba oddzielająca ich od kierowcy bezszelestnie opadła w dół. – Carita, moje dziecko, gdzie dziś spałaś?

–Cóż..., proszę pana, hotele były pełne i... – Gdzie spędziłaś noc?

–W samochodzie.

–No, no! – szyba wróciła na miejsce a książkę dodał wyjaśniająco: – Ale, jak sama widzisz, to bardzo wygodny samochód.

Zanim niebieski peugeot dotarł do Arles, pomiędzy jego pasażerami nastąpiło znaczne ochłodzenie stosunków. Dla zabicia czasu prowadzili dyskusję na temat mody, lecz i tu nie osiągnęli porozumienia. Bowman zatrzymał wóz w cichej alejce przed imponującym, choć nie pierwszej świetności magazynem odzieżowym i wyłączył silnik.

–I co? – spytał patrząc na Cecile.

Nawet nie spojrzała na niego; patrzyła prosto przed siebie, zupełnie jakby wypatrywała czegoś w oddali.

–Przykro mi, ale nic z tego – odparła. – Poza tym myślę, że zwariowałeś.

–No cóż, niech i tak będzie – Bowman pocałował ją w policzek i wysiadł.

Wyjął z bagażnika walizkę i zatrzymał się przed oknem wystawowym, podziwiając oryginalne kostiumy. W szybie wyraźnie widział samochód i Cecile. Sądząc z zaciśniętych w wąską linijkę warg, musiała być wściekła. Po chwili wahania jednak wysiadła i podeszła do niego. – Mam ochotę ci przyłożyć – oznajmiła.

–Ale ja nie. Wyglądasz na dużą i silną dziewczynkę.

–Och, zamknij się, na litość boską, i włóż z powrotem tę walizkę do bagażnika.

Bowman posłusznie spełnił oba polecenia, następnie ujął Cecile pod reke i razem weszli do magazynu.

Dwadzieścia minut później Bowman przyglądał się swemu odbiciu w lustrze z niezadowoleniem. Ubrany był w czarny, zapięty pod szyję i bardzo dopasowany strój, białą koszulę z falbanami, czarny krawat przypominający sznurowadło i czarny kapelusz z szerokim rondem. Teraz mógł się przekonać na własnej skórze, jak się czuje wbita w gorset solistka operowa, próbująca wziąć górne C. Na szczęście z kabiny wyszła Cecile w towarzystwie pulchnej kobiety w średnim wieku, która, jak sądził, była szefową magazynu. Bowman ledwie zwrócił na nią uwagę, gdyż każdy mężczyzna, nie dotknięty całkowitą ślepotą lub kompletnym matołectwem, musiał zapomnieć o bożym świecie na widok Cecile.

Co prawda, Bowman nigdy nie twierdził, że patrzenie na nią nie jest przyjemne, ale tak naprawdę dopiero teraz dotarło do niego, że jest ona piękna do utraty tchu. I to nie dlatego, że miała na sobie doskonale leżący, drogi cygański strój, w którym nawet jeśli brakowało któregoś z kolorów tęczy, to nie od razu można to było zauważyć, ani nie dlatego, że włosy przykrywała jej biała mantylka, choć przyznawał, iż ładna oprawa dodaje kobiecie uroku. Trudno mu było powiedzieć, dlaczego jego serce tak dziwnie się zachowuje, gdy patrzy na tę dziewczynę. Miał jedynie nadzieję, że tego nie widać i że udało mu się zachować zwykłą, nieodgadnioną minę.

–*Madame* wygląda ślicznie – właścicielka ujęła jego myśli w słowa.

–*Madame* jest śliczna – poprawił ją z uczuciem i dodał normalnym tonem. – Ile płacę? We frankach szwajcarskich. Mam nadzieję, że przyjmujecie tę walutę?

–Naturalnie. – Skinieniem przywołała kasjera, który zabrał się za podliczanie, podczas gdy szefowa zajęła się pakowaniem.

–Co ona robi? – zdziwiła się Cecile. – Przecież nie mogę w tym stroju wyjść na ulicę.

–A dlaczego? – zdziwił się Bowman, nadal nie odrywając oczu od dziewczyny. – Wyglądasz nie najgorzej, a poza tym jest święto.

–*Monsieur* ma rację – wtrąciła właścicielka. – Setki młodych kobiet będą tak ubrane. Zawsze tak jest o tej porze roku. To bardzo miła odmiana dla oka.

–I nieźle dla interesu – dodał Bowman patrząc na rachunek, który właśnie mu wręczono. – Dwa tysiące czterysta franków.

Z zabranej Czerdzie gotówki odliczył trzy banknoty i wręczył właścicielce sklepu ze słowami:

–Reszta dla pani.

–Monsieur jest zbyt łaskaw – wykrztusiła.

Sądząc z wyrazu jej twarzy, mieszkańcy Arles nie byli szczególnie hojni.

–Łatwo przyszło, łatwo poszło – stwierdził sentencjonalnie, wyprowadzając Cecile.

Wsiadli do samochodu i skierowali się ku centrum. Po kilku minutach Bowman zatrzymał się na prawie pustym parkingu. Cecile spojrzała zaskoczona, ale zanim zdołała się odezwać, wyjaśnił:

–Moja kosmetyczka – i wysiadł.

Wyjął walizkę z bagażnika, a z niej niewielką czarną torebkę, z którą wrócił do samochodu.

–Nigdzie się bez niej nie ruszam – wyjaśnił.

–Mężczyźni nie używają kosmetyczek – Cecile przyjrzała mu się dziwnie.

–Ja używam. Zresztą zaraz zobaczysz, dlaczego.

Cecile zrozumiała, co miał na myśli, gdy dwadzieścia minut później znaleźli się w recepcji najlepszego hotelu w Arles. Mimo że byli ubrani tak jak po wyjściu ze sklepu, to nie przypominali tamtych osób. Jej skóra była znacznie ciemniejsza tak na twarzy i dekolcie, jak i na rękach, do tego miała zrobiony wyzywający makijaż. Bowman zaś zafundował sobie mahoniową opaleniznę i wąs niczym amant filmowy.

–Pokój czeka, panie Parker – poinformował go recepcjonista, zwracając paszport. – A to pani Parker?

–Nie bądź durniem, mój drogi – uśmiechnął się zapytany i ujął nagle zeszywniałą dłoń dziewczyny.

Chłopiec hotelowy zaprowadził ich do windy, a następnie do pokoju. Gdy wyszedł, Cecile spojrzała na Bowmana z widoczną pretensją.

–Musiałeś tak odpowiedzieć recepcjoniście? – spytała urażona. – Spójrz na swoje dłonie.

–A co w nich złego, poza tym, że przez to twoje mazidło są brudne? – Nie ma obrączki.

–Och!

–Dla ciebie "och", a doświadczony recepcjonista dostrzega takie rzeczy odruchowo. Dlatego spytał. Jego też mogą pytać o różne rzeczy, więc lepiej zwracać

uwagę na szczegóły. Facet bogaty i z kochanką automatycznie znajduje się poza podejrzeniami; jest oczywiste, co mu chodzi po głowie.

–Nie ma potrzeby, żebyś...

–O ptaszkach i pszczołkach pogadamy później. Ważne jest, że nie wydaliśmy mu się podejrzeni. Teraz muszę wyjść, masz więc okazję spokojnie się wykąpać. Tylko nie zmyj farby, bo niewiele jej zostało.

Zaskoczona spojrzała w lustro i jęknęła:

–Jak, na litość boską, mam wziąć kąpiel, nie używając... – Mogę ci pomóc – zaofiarował się ochoczo.

Bez słowa weszła do łazienki i starannie zamknęła za sobą drzwi. Bowman zszedł na dół; zatrzymał się przez chwilę przy budce telefonicznej, drapiąc się ostentacyjnie w czoło. Telefon nie miał tarczy, co oznaczało, że połączeń dokonuje centrala hotelowa. Zdegustowany wyszedł na zewnątrz.

Świeciło słońce i już o tak wczesnej porze Boulevard des Lices był pełen ludzi. Tłum ten stanowili nie turyści czy spacerowicze, lecz miejscowi handlarze, ustawiający swe stoiska na chodnikach. Jezdnia była równie zatłoczona różnymi pojazdami dostawczymi, z których rozładowywano naprawdę bogaty zestaw towarów – od ciężkiego sprzętu rolniczego, poprzez rozmaite rodzaje żywności, mebli i ubrań do kwiatów i pamiątek.

Bowman skręcił w kierunku poczty, znalazł pustą kabinę, wrzucił monetę i podał numer Whitehall w Londynie. Gdy czekał na połączenie, wyjął kartkę, którą znalazł w wozie Czerdy, i rozłożył ją przed sobą.

Przynajmniej setka Cyganów, klęcząc na trawiastej polanie, przyjmowała błogosławieństwo, którego udzielał ksiądz w czarnej sutannie. Po zakończeniu ceremonii duchowny odwrócił się i wszedł do niewielkiego czarnego namiotu, rozpiętego w cieniu drzew. Cyganie rozproszyli się; część spacerowała po okolicy bez wyraźnego celu, część skierowała się ku wozom, parkującym na poboczu drogi. Znajdowali się kilka kilometrów na północny wschód od Arles. W oddali widać było majestatyczną budowlę wiekowego opactwa de Montmajour.

Wśród stojących pojazdów trzy zwracały na siebie uwagę: biało-zielony wóz, w którym mieszkała matka Aleksandra i trzy młode Cyganki, wóz Czerdy, przyholowany przez żółtą ciężarówkę pomocy drogowej, zielony rolla-royce, który teraz miał złożony dach, ponieważ niebo było bezchmurne, a rano wyjątkowo ciepły. Lekki wietrzyk rozwiewał kasztanowe włosy Carity, która chwilowo nie była na służbie, więc zdjęła czapkę. Obok niej stała Lila, zaś wielki książę siedział na tylnym siedzie70

niu, pokrzepiając się jakimś napitkiem wyjętym z barku i z dużym zainteresowaniem obserwował wydarzenia na leśnej polanie.

–Nigdy nie kojarzyłam religii z Cyganami – przyznała Lila.

–Zrozumiałe – stwierdził łaskawie ksiądz. – Ty, moja droga, masz do tego prawo, bo ich nie znasz. Ja natomiast jestem europejskim, ba, nawet światowym autorytetem w dziedzinie ich folkloru. Zapewniam cię, że ehelement religijny potrafi być tu bardzo silny, a pobożność, granicząca czasem z dewocją, zńajduje szczególny wyraz podczas tej pielgrzymki, której celem jest oddanie czci relikwiom Saxy, ich patronki. W ostatnim okresie podróży towarzyszy im ksiądz, by codziennie błogosławić ich... dość. Ten wykład musiał być dla was bardzo nudny.

–Nudny? Skądże, Charles, to wszystko jest fascynujące. Po co ten czarny namiot?

–Ruchomy konfesjonał, choć, jak widać, nie cieszący się zbytnim zainteresowaniem. Cyganie mają własne zasady moralne... No nie, Czerda idzie do spowiedzi! Jest dziewiąta piętnaście – ksiądz spojrział na zegarek. – To mu z pewnością zajmie czas aż do lunchu.

–Nie lubisz go – Lila bardziej stwierdziła niż spytała. – Myślisz, że on...

–Nic nie myślę, bo go nie znam – przerwał jej de Croytor. – Znam się natomiast na ludziach i nie wierzę, iż można się dorobić takiej gęby dobrymi uczynkami i bogobojnym życiem.

Czerda istotnie nie zachowywał się specjalnie bogobojnie, kiedy wszedł do namiotu, który był okrągły i niewielki – miał ze trzy metry średnicy. Jedynym meblem była tu osłonięta materiałem kabina, służąca jako konfesjonał.

–Witam cię, mój synu – rozległ się głęboki i spokojny głos. – Otwórz, Searl – warknął Czerda.

Czarna zasłona się podniosła, ukazując księdza o pociągłej, ascetycznej twarzy, spotykanej u osób, których poświęcenie Bogu granoczyło z fanatyzmem. Oczy przysłaniały mu okulary bez oprawki.

Z całkowitą obojętnością przyjrzał się zmasakrowanej twarzy Czerdy.

–Ludzie mogą nas usłyszeć – stwierdził sucho. – Jestem "monsieur le Cure" albo "ojciec".

–Dla mnie byłeś, jesteś i będziesz Searl – powiedział pogardliwie Czerda. – Simon Searl, ksiądz pozbawiony godności kapłańskiej. Brzmi głupawo, nie?

–Może brzmieć jak chce – mruknął Searl. – Przybywam od Gaiuse'a Strome'a.

Pogarda zniknęła z twarzy Czerdy, ustępując miejsca przerażeniu, które wzrastało, gdy patrzył w pozbawione wyrazu oczy księdza.

–Myślę – odezwał się cicho Searl – że powinieneś wyjaśnić swoje niewiarygodnie kretyńskie prostactwo. I mam nadzieję, że zrobisz to dobrze.

–Muszę wyjść! Muszę!

Tina, młoda ciemnowłosa Cyganka odwróciła się od okna, przez które było widać czarny namiot. Miała bladą twarz i zaczerwienione, zapuchnięte oczy.

–Muszę się przejść i pooddychać świeżym powietrzem. Nie wytrzymam tu dłużej, duszę się!

Pozostałe kobiety, czyli Marie le Hobenaut, jej matka i Sara, nie wyglądały na szczęśliwsze. Prawdę mówiąc, były równie smutne i zrezygnowane jak poprzedniego wieczora, gdy Bowman je obserwował. W wozie w dalszym ciągu panowała atmosfera klęski i rozpacz.

–Będziesz ostrożna? – niespokojnie spytała matka Marii. – Twój ojciec..., musisz myśleć o ojcu.

–W porządku, mamó – odezwała się uspokajająco Maria. – Tina wie i pamięta. Teraz na pewno nie zapomni.

Skinęła przyzwalająco głową i dziewczyna wybiegła na zewnątrz.

–Wiesz, jak bardzo kochała Aleksandra – dodała cicho, gdy Tina zamknęła za sobą drzwi.

–Wiem – odparła głucho jej matka. – Szkoda, że on jej bardziej nie kochał.

Tina przeszła przez korytarzyk i stanęła u szczytu schodków; na dole siedział mężczyzna grubo po trzydziestce. Pierre Lacabro nie przypominał Cygana. Był niski, krępy do granic deformacji, o twarzy szerokiej i chamskiej, wąskich ustach sadysty, świńskich oczkach, i biegnącej od prawej brwi do podbródka bliznie po ranie, która kiedyś nie została zszyta. Większość Cyganów ma rysy może nie szlachetne, ale z całą pewnością nie są one odrażające; Lacabro wyróżniał się wśród nich tak, jak wyróżniałby się w każdym otoczeniu – nawet w portowej speluncie gdzieś na końcu świata. Był potężnie umięśniony i całkowicie pozbawiony poczucia humoru. Spojrzał

na Tinę i obdarzył ją szczerbatym uśmiechem.

–Gdzie się panienka wybiera? – spytał chrapliwym, odpychającym głosem.

–Na spacer – Tina nawet nie próbowała ukryć obrzydzenia. – Potrzebuję świeżego powietrza.

–Maca i Masaine mają wartość. Wiesz o tym? – Myślisz, że ucieknę?

–Jesteś zbyt przerażona, by uciec – twarz ponownie wykrzywił mu uśmiech.

–Nie boję się ciebie – odpała nieoczekiwanie.

–A dlaczego miałabyś się mnie bać? – zdziwił się unosząc dłonie z rozpostartymi palcami. – Piękne dziewczęta nie muszą się bać Pierre'a, jestem dla nich jak ojciec.

Wyjaśnienia Czerdy nie zadowolily Searla, czemu zresztą dał wyraz dosadnie i treściwie.

–A co ze mną? – Czerda przeszedł do obrony. – To ja ucierpiałem. Nie ty i nie Gaiuse Strome. Mówiłem ci już, zniszczył mi wóz, rozbił meble i ukradł moje osiemdziesiąt tysięcy franków.

–Których jeszcze nie zarobiłeś – przypomniał Searl. – To były pieniądze Gaiuse'a Strome'a i będzie chciał je odzyskać. Jeśli ich nie dostanie, to niewiele dałbym za twoją skórę.

–Do diabła! Bowman zniknął! Nie mam pojęcia...

–Znajdziesz go – przerwał mu Searl. – A jak znajdziesz, użyjesz tego...

Wyjął spod sutanny pistolet z tłumikiem i dodał:

–Jeśli go nie znajdziesz, to zaoszczędź nam wszystkim kłopotów i wypróbuj go na sobie.

Czerda w milczeniu wpatrywał się w niego dłuższą chwilę. – Kto to jest Gaiuse Strome? – spytał w końcu.

–Nie wiem.

–Kiedyś byliśmy przyjaciółmi, Searl...

–Przysięgam, że nigdy go nie spotkałem. Instrukcje przekazuje mi listownie albo telefonicznie, a w ostateczności przez pośrednika, i to za każdym razem innego.

–A wiesz może, kto to jest? – Czerda złapał go za ramię i przyciągnął do wejścia.

Uchylił nieco klapę i wskazał wielkiego księcia, który napełniając kielich spoglądał w stronę namiotu z zamyślonym wyrazem twarzy. Czerda pośpiesznie opuścił klapę.

–No? – ponaglił.

–Widziałem go już wcześniej. Bogaty arystokrata, o ile wiem. – Który używa nazwiska Gaiuse Strome?

–Nie wiem. I prawdę mówiąc, nie chcę wiedzieć.

–Widzę go już trzeci raz na pielgrzymce i trzeci rok pracujemy dla Gaiuse'a Strome'a. Zeszłej nocy zadawał dużo pytań, a dziś rano oglądał zniszczenia w moim wozie. Teraz się na nas gapi. Myślę...

–Zajmij się Bowmanem – doradził mu Searl. – Tak będzie zdrowiej dla ciebie. Poza tym zastanów się. Jeśli twój, a raczej nasz, szef chce pozostać nieznany, lepiej to uszanuj. Wiem, że nie lubi, jak ktoś się mu pcha z butami w życiorys. Nie lubi ciekawskich, rozumiesz?

Czerda niechętnie skinął głową, wsunął pistolet za pasek, zasłaniając go wypuszczoną na spodnie koszulą i wyszedł.

Z dziwnym zamyśleniem na twarzy de Croytor obserwował wyjście Czerdy z namiotu.

–Dobry Boże! – mruknął. – Piorunem mu poszło.

–Przepraszam, nie usłyszałam – odezwała się uprzejmie Lila. – Co mówiłeś?

–Nic takiego, moja droga, nic takiego – przeniósł wzrok na Tinę, która wędrowała sobie najwyraźniej bez celu. – Patrzcie państwo, zadziwiająco urocza osóbką. Smutna, co prawda, ale piękna.

–Charles, zaczynam sądzić, że jesteś koneserem pięknych kobiet – stwierdziła Lila.

–Arystokracja zawsze nimi była. Carita, moja miła, do Arles, i to szybko. Czuję się osłabiony.

–Charles! – przestraszyła się Lila. – Źle się czujesz? To pewnie przez to słońce! Podniesiemy dach i...

–Jestem głodny – przerwał jej z wyrzutem de Croytor.

Tina, jak zresztą wszyscy, obserwowała bezgłośnie oddalającego się rolls-royce'a,

po czym rozejrzała się od niechcienia. Lacabro zniknął, po Macy i Masainie nie było śladu. Niby przypadkowo znalazła się przy czarnym namiocie. Nie troszcząc się o to, czy ktoś ją obserwuje, czy nie, odchyliła klapę namiotu i weszła do środka. Zrobiła kilka niepewnych kroków i stanęła.

–Ojcie! – szepnęła rozpaczliwie. – Muszę z ojcem porozmawiać! 74

–Po to tu jestem, moje dziecko – odezwał się zza kotary poważny głos Searla.

–Nie, ojciec nie rozumie – nie odważyła się podnieść głosu. – Mam ojcu straszne rzeczy do powiedzenia.

–Nic nie jest straszne dla sługi bożego. Twoje tajemnice są u mnie zupełnie bezpieczne, moje dziecko.

–Ależ ja nie chcę, by one pozostały bezpieczne u ojca! Chcę, żeby ojciec poszedł na policję!

Zasłona opadła, ukazując zatroskane oblicze Searla, który czym prędzej wstał i współczująco położył jej dłoń na ramieniu.

–Cokolwiek by to było, twoje kłopoty, córko, już się skończyły. Jak się nazywasz, moje dziecko.

–Tina, Tina Daymel.

–Zaufaj więc Bogu, Tino, i opowiedz mi wszystko.

Wewnątrz zielono-białego wozu trzy kobiety siedziały w posępnym milczeniu, od czasu do czasu przerywanym jedynie pochlipywaniem najstarszej z nich.

–Gdzie jest Tina? – spytała w końcu, ocierając chusteczką łzy. Dlaczego tyle czasu jej nie ma?

–Proszę się nie martwić, madame Zigair – odezwała się pocieszająco Sara. – Tina to rozsądna dziewczyna. Nie zrobi nic głupiego.

–Sara ma rację – dodała Marie. – Zwłaszcza po ostatniej nocy... – Wiem, że nie jest głupia. Ale Aleksander...

–Mamo, proszę!

Stara Cyganka skinęła głową i umilkła. W ciszy, jaka zapanowała, wyraźnie było słyhać gwałtowne otwarcie drzwi i po kilku sekundach Tina została wrzucona do wnętrza jak worek kartofli. Padła bezwładnie twarzą na dywan, a w drzwiach stanęli Lacabro i Czerda. Pierwszy się uśmiechał, drugi ledwie powstrzymywał wściekłość.

Tina nie ruszała się, najwyraźniej straciła przytomność. Ubranie było podarte i zakrwawione, a całe plecy pokrywała siatka purpurowych pręg, z których ciekła krew. Takie obrażenia mogła tylko spowodować staranna i fachowa chłosta szpicrutą albo cienkim pejczem.

–Może teraz wreszcie się nauczycie – warknął cicho Czerda i wyszedł.

Przerażone kobiety wpatrywały się w skatowaną dziewczynę i dopiero po dłuższej chwili zabrały się za opatrywanie jej ran.

Rozdział piąty

Rozmowa Bowmana z Londynem przebiegła bez zakłóceń i już po piętnastu minutach wrócił do hotelu. Korytarze były wyłożone puszystymi chodnikami, więc do drzwi pokoju zbliżył się bezgłośnie. Gdy sięgał do klamki, usłyszał wewnątrz głosy, a raczej głos Cecile, jednak tak stłumiony, że nie był w stanie rozróżnić słów. Miał właśnie zamiar przyłożyć ucho do dziurki od klucza, gdy zza zakrętu korytarza wyłoniła się pokojówka z naręczem bielizny. Ruszył więc dalej jak gdyby nigdy nic i wrócił po kilku minutach. W pokoju panowała cisza. Zapukał i wszedł.

Cecile stała przy oknie, a słysząc że wchodzi, odwróciła się z uśmiechem. Starannie wyszczotkowane włosy lśniły w słońcu. Wyglądała atrakcyjnie] niż kiedykolwiek.

–Zachwycająca! – przyznał. – jak ci było beze mnie? Słowo daję, jeśli nasze dzieci odziedziczą urodę po...

–Coś mi się przypomniało – przerwała mu i Bowman dostrzegł, że jej uśmiech był pozbawiony ciepła. – Ten numer z Parkerem w recepcji. Zdaje się, że pokazał pan recepcjoniście swój paszport... panie Bowman?

–Kumpel pożyczył mi swój.

–Naturalnie. Czy mogłoby być inaczej. Ten kumpel to ktoś wpływowy?

–O co chodzi?

–Czym się pan właściwie zajmuje?

–Już ci mówiłem, poza tym mam na imię Neil i nieźle nam szło bez tych oficjalnych form towarzyskich...

–Oczywiście. Zapomniałam. Zawodowy nierób – westchnęła, przerywając mu w pół słowa. – A teraz co, śniadanie?

–Najpierw golenie. Co prawda zniszczy mi to opaleniznę, ale cóż się na to poradzi. Potem, oczywiście, śniadanie.

Bowman zabrał przybory do golenia i zamknął się w łazience. Zanim jednak zabrał się do golenia, rozejrzał się dokładnie. Nie ulegało wątp~a

liwości, że Cecile tu była, ale nie wierzył w cuda. A tylko tak można by wyjaśnić to, że w ciągu kwadransa zdążyła wziąć kąpiel, uzupełnić opaleniznę, która w kąpeli musiałaby się choć częściowo zmyć, nie mówiąc o zrobieniu makijażu i poprawieniu

włosów. Jego zdaniem wystarczyło jej czasu jedynie na to, by umyć zęby, uczesać się i zatelefonować. Jednak wewnątrz wanny było mokre, a więc pomyślała o tym, by odkręcić kurek, natomiast zmięty ręcznik kąpielowy był czysty jak łąka i suchy jak piaski Sahary.

Odświeżony Bowman zajął wraz z Cecile narożny stolik na patio hotelowej restauracji.

Pomimo dość wczesnej pory wiele miejsc było już zajętych przez amatorów śniadania lub porannej kawy. Większość stanowili turyści, ale sporo było także mieszkańców Arles, ubranych w tradycyjne odświętne stroje lub kostiumy cygańskie.

Ledwie usiedli, uwagę ich zwrócił dwubarwny rolls-royce, zaparkowany przy krawężniku. Obok stała dziewczyna w liberii o tych samych barwach co wóz.

–Coś wspaniałego – Cecile nie mogła oderwać pełnego podziwu wzroku od lśniącego pojazdu. – Absolutnie i doskonale wspaniałego! – Rzeczywiście, niebrzydka, ale skoro aż tak się nią zachwycasz, to

przez grzeczność nie będę zaprzeczał. Aż dziw bierze, że potrafi prowadzić taką landarę. Masz trzy strzały, spróbuj trafić, kto jest biednym właścicielem tego czegoś.

Cecile rozejrzała się po patio. Trzy stoły dalej siedzieli wielki książę i Lila. Do ich stołu podszedł kelner dosłownie uginający się pod zastawioną tacą. Nie zdążył się jeszcze wyprostować, gdy de Croytor opróżnił szklankę soku pomarańczowego, przed sekundą stojącą na tacy.

–Już myślałem, że ten poczciewicz w ogóle się nie zjawi – jak zwykle donośnie stwierdził książę.

–Charles, przed kilkunastoma minutami zjadłeś solidne śniadanie – jęknęła Lila.

–A teraz jem drugie śniadanie. I co w tym dziwnego? Podaj mi rogaliki, ma *cherie*.

–Dobry Boże! – jęknęła Cecile. – Książę i Lila!

–A co w tym dziwnego? – spytał Bowman, obserwując z podziwem księcia przenoszącego góry marmolady na rozkrojony rogalik, podczas gdy Lila nalewała obojgu kawę. – Normalne, że tu jest. Gdzie są

Cyganie, tam i ich badacze. I naturalne że w najlepszym hotelu. To mi wygląda na początek wspaniałej znajomości. Czy ona potrafi gotować?

–Czy co? Zabawne, ale jest doskonałą kucharką. Zdobyła Cordon Bleu.

–Święci Pańscy! On ją porwie, jak tylko się dowie. – Ale co ona robi w jego towarzystwie?!

–Podróżuje. Zostawiłaś jej wiadomość o Saintes-Maries, więc chce się tam dostać. Logiczne, prawda? Nie ma samochodu, bo my go pożyczyliśmy, a on ma. Mogę się założyć o każde pieniądze, że ten rolls jest jego. W dodatku wygląda na to, że dobrze im jest razem, choć diabli wiedzą, co ona widzi w tej górze mięsa. Spójrz na jego ręce – pracują ze skutecznością pasa transmisyjnego... Mam nadzieję, że nigdy nie znajdę się razem z nim w jednej szalupie ratunkowej, gdy skończą się zapasy.

–Myślę, że na swój sposób jest przystojny. – Orangutan też. Na swój sposób.

–Nie lubisz go, prawda? – Z jakichś powodów ucieszyło ją to odkrycie. – I to dlatego, że nazwał cię...

–Nie ufam mu. On jest... sztuczny. Założę się, że nie tylko nie jest specjalistą od cygańskiego folkloru, ale w życiu nie napisał i nie napisze nawet jednego zdania o Cyganach. Jeśli jest tak ważny i znany, jak twierdzi, to dlaczego żadne z nas nigdy o nim nie słyszało? I po cholere przyjeżdża tu trzy lata z rzędu? Raz wystarczyłoby nawet takiemu folklorystycznemu ignorantowi jak ja.

–Może lubi Cyganów.

–Może. Tylko ciekawe, dlaczego.

Cecile spojrzała na niego z namysłem i spytała znacznie ciszej: – Sądysz, że to Gaiuse Strome?

–Nic takiego nie powiedziałem. Poza tym raczej nie wymawiaj publicznie tego nazwiska, jeśli masz ochotę jeszcze trochę pożyć.

–Nie rozumiem...

–Skąd wiesz, że wśród obecnych tu przebierańców nie ma prawdziwego Cygana pracującego dla Czerdy?

–Przepraszam, nie pomyślałam o tym. To było niezbyt mądre.

–I owszem – przyznał Bowman, nie spuszczać wzroku ze stolika księcia.

Lila podniosła się i mówiła coś stojąc, na co księżę majestatycznie kiwnął dłonią. Dziewczyna przeszła przez patio, weszła do restauracji i skierowała się do recepcji. Bowman obserwował ją z zamyślonym wyrazem twarzy, aż nie zniknęła mu z oczu.

–Jest piękna, prawda? – spytała cicho Cecile.

–Co proszę? Aaa, tak naturalnie. Niestety, nie mogę ożenić się z wami obiema, ponieważ istnieją kretyńskie przepisy o bigamii... – nadal z zamyśloną twarzą spojrzał na wielkiego księcia i przeniósł wzrok na Cecile. – Idź powróżyć naszemu grubemu przyjacielowi, skarbie. Najlepiej z dłoni.

–Co?!

–Mówię o księciu. Idź mu...

–Nie sądzę, żeby to było zabawne!

–Ja też nie. I nie przyszło mi to do głowy, dopóki była z nim Lila, natychmiast by cię poznała. Natomiast księżę nie powinien. Ledwie cię wczoraj raczył zauważyć. A w tym przebraniu to zupełnie wykluczone. Zresztą i tak istnieje znikoma szansa na to, że oderwie wzrok od talerza.

–Nie!

–Proszę cię, Cecile. – Nie!

–Przypomnij sobie jaskinie. Też nie miałem dowodów. – Przestań!

–Więc jak będzie?

–A co niby mam zrobić?

–Zachowuj się jak Cyganka i opowiadaj bzdury, potem powiedz, że ma ważne plany na najbliższą przyszłość i że jeśli mu się uda i tu przerwij. Odmów dalszego wróżenia i odejdz. Wywołaj wrażenie, iż nie ma przyszłości i obserwuj jego reakcję.

–Więc ty faktycznie podejrzewasz... – Nic nie podejrzewam.

Niechętnie odsunęła krzesło i wstała.

–Módl się za mnie do Sary – mruknęła. – Sary?

–To święta patronka Cyganów, czyż nie?

Bowman obserwował ją ukradkiem, nie chcąc, by ktoś zauważył jego zainteresowanie. Cecile uprzejmie ustąpiła z drogi księdzu o ascetycznej twarzy. Przeprosili się wzajemnie półgłosem. Searl wyglądał jak prawdziwy sługa boży, któremu spokojnie można powierzyć nawet życie. Ksiądz poszedł swoją drogą, zaś Cecile podeszła do stolika de Croytora, który akurat odstawił filiżankę z kawą i prawdopodobnie tylko dlatego ją zauważył.

–O co chodzi? – spytał z właściwą sobie wielkopańską irytacją. – Dzień dobry panu.

–Tak, tak, dzień dobry – ponownie złapał filiżankę. – O co chodzi?

–Powróżyć, panie?

–Nie widzisz, że jestem zajęty? Odejdź! – Tylko dziesięć franków, panie.

–Nie mam dziesięciu franków – odstawił filiżankę i po raz pierwszy uważnie się jej przyjrzał. – Ale, na Jowisza, gdybyś była blondynką...

Cecile uśmiechnęła się i wykorzystując ów podziw, ujęła jego dłoń. – Ma pan przed sobą długie życie – oznajmiła.

–Nic dziwnego, jestem zdrów jak ryba. – I pochodzi pan ze szlacheckiego rodu... – Każdy dureń może to dostrzec.

–Ma pan przyjazne usposobienie...

–Nie wtedy, kiedy umieram z głodu – stęknął wrywając jej dłoń, którą natychmiast pochwycił pół rogalika i podniósł go do ust.

Do stolika zbliżała się Lila, toteż drugą połową rogalika wskazał jej Cyganekę i polecił:

–Zabierz ode mnie tą młodą zarazę, jeśli łaska. Denerwuje mnie. – Nie wyglądasz na zdenerwowanego, Charles.

–A skąd wiesz, co się dzieje z moim trawieniem?

Lila zwróciła się ku Cecile z uśmiechem na poły przepraszającym, na poły przyjacielskim, który zniknął, gdy spostrzegła, z kim ma do czynienia. Błyskawicznie się jednak opanowała i spytała:

–Może mnie powrózysz? – uśmiech wrócił, a ton głosu stał się pojednawczy, lecz nie protekcyjny. Miał to być delikatny przytyk do gburowatości księcia, na którym naturalnie nie wywarł żadnego wrażenia.

–Ale gdzieś z daleka, jeśli łaska – stwierdził stanowczo. – Zdecydowanie z dala.

Dziewczęta odeszły, odprowadzone uważnym spojrzeniem de Croytora. Książę przeniósł następnie wzrok na Bowmana, który gdy to zauważył, odwrócił oczy. De Croytor popatrzył w tę samą stronę i wydało mu się, że Bowman przygląda się wysokiemu chudemu księdzu, który pił kawę przy jednym ze stolików. Był to duchowny, który błogosławił Cyganów koło opactwa de Montmajour. W dodatku nie ulegało wątpliwości, że obiektem jego uważnej obserwacji jest nie kto inny jak sam wielki książę.

Bowman rzucił okiem na stół, przy którym usiadły obie dziewczyny. Cecile trzymała dłoń przyjaciółki, tłumacząc jej coś zawzięcie. Lila 80

wyglądała na zakłopotaną. Niespodziewanie wsunęła coś w dłoń Cecile. Bowman nagle stracił dla nich zainteresowanie, ponieważ kątem oka dostrzegł coś bardziej interesującego.

Patio wychodziło na Boulevard des Lices, na którym kończono ustawiać stragany. Wypełniający chodniki tłum stanowili głównie turyści i miejscowi, odświętnie wystrojeni. Osoba w zwykłym garniturze wyglądała dziwacznie i nie na miejscu. Obwieszeni aparatami fotograficznymi turyści, mimo że zwykle po przekroczeniu granic własnego kraju ubierają się z rozbrajającą nonszalancją, tutaj ginęli w barwnym tłumie. Trzy rodzaje kostiumów przyciągały wzrok: kolorowe stroje dziewcząt z Arles, Cyganów z wielu krajów i *guardians* – pastuchów z Camargue.

Bowman rozejrzał się dokoła uważnie i nagle błysnęły mu w tłumie tycjanowskie włosy. To rzeczywiście była Marie le Hobenaut, idąca szybkim krokiem.

–Przykro mi, ale czeka cię kolejne zadanie – powitał wracającą Cecile.

–Nie chcesz usłyszeć... a moje śniadanie?

–Może poczekać. Cyganka w twoim wieku, o tycjanowskich włosach, w zielono-czarnej sukni. Idź za nią i sprawdź, dokąd pójdzie. Diabelnie jej się spieszy, więc nie trać czasu.

–Tak jest, proszę pana – spojrzała na niego kpiąco i wyszła. Bowman nie popatrzył za nią; rozglądał się ze znudzeniem po patio. Simon Searl wstał, zanim dziewczyna dotarła do stopni prowadzących na ulicę...Bowman odczekał chwilę, po czym zostawił na stole należność aa kawę i podążył za nim. Wielki książę obserwował odejście obu mężczyzn.

W wielobarwnym tłumie czarna sutanna Searla rzucała się w oczy z daleka, toteż Bowman śledził go bez trudu. Dodatkowym ułatwieniem było to, że sługa boży nie zwracał uwagi na mijających go ludzi, ani nie oglądał się za siebie. Bowman zbliżył się więc do niego, tak aby spokojnie obserwować Cecile; od czasu do czasu mógł dostrzec także Marie le Hobenaut. Przesunął się jeszcze bardziej w stronę Searla i

czekał na odpowiedni moment.

Okazja nadarzyła się niemal od razu. Przy straganach rybnych grupa Cyganów próbowała sprzedać konie, które swe najlepsze lata miały już za sobą. Bowman był o jakieś półtora metra za księdzem, gdy potracił śniadego młodzieńca z cienkim wąsikiem, ubranego w eleganckie, obcisłe czarne ubranie i także sombrero. Obaj przeprosili się odruchowo i wyminęli, lecz zaledwie po dwóch krokach mężczyzna obejrzał się za Bowmanem, który prawie zniknął mu już z oczu.

Searl zatrzymał się, widząc wyjątkowo żwawego ogiera, który niespokojnie parskał i rzucał łbem. W pewnej chwili wysunął się do przodu, blokując przejście. Searl czym prędzej się cofnął, z czego natychmiast skorzystał Bowman. Kopnął go od tyłu w kolano. Searl jęknął i pochylił się, a Bowman, zasłonięty z obu stron przez konie, trzasnął go kantem dłoni w podstawę czaszki. Mężczyzna bez słowa zwałił się na ziemię.

–Uważaj na te przeklęte konie! – krzyknął Bowman.

Czym prędzej kilku Cyganów rzuciło się, by odciągnąć je na boki, i wokół leżącego księdza zrobiło się nagle wolne miejsce.

–Co się stało? – spytał najbliższy.

–A jak myślisz? To bydlę powinno zostać uśpione, a nie wystawione na sprzedaż. Kopnął księdza w brzuch, więc nie stójcie jak słupy! Wezwijcie doktora.

Najbardziej rozgarnięty z Cyganów rzucił się biegiem w dół ulicy, a pozostali skupili się przy nieprzytomnym człowieku, dzięki czemu Bowman mógł się dyskretnie wycofać. Jednak niezupełnie mu się to udało, gdyż obserwował go ten sam śniady młodzieniec, na którego wpadł kilka minut temu. Na pozór był on zajęty studiowaniem swoich paznokci.

Bowman kończył właśnie śniadanie, gdy wróciła Cecile. – Jest mi gorąco – oświadczyła – i zgłodniałam. Bowman natychmiast zamówił drugi zestaw śniadaniowy. – No i co?

–Weszła do apteki po bandaże, dużo bandaży, oraz maść i środki opatrunkowe. Wykupiła pół apteki, po czym wróciła do wozu stojącego na placu niedaleko stąd...

–Zielono-białego?

–Tak. Przy drzwiach czekały na nią dwie kobiety i wszystkie razem weszły szybko do środka.

–Dwie kobiety? – zdziwił się Bowman.

–Jedna starsza i jedna młoda z kasztanowymi włosami. – Matka Marii i Sara...
Biedna Tina.

–Co chcesz przez to powiedzieć?

–Tak sobie głośno myślę – wskazał głową na pobliski stolik. Spójrz, co za papużki nierozłączki.

Idąc za jego wzrokiem Cecile dostrzegła wielkiego księcia. Na jego twarzy malowało się zadowolenie człowieka, który właśnie uniknął 82

śmierci głodowej. Uśmiechał się pobłażliwie do Lili, która trzymając dłoń na jego dłoni, tłumaczyła coś z przejęciem.

–Twoja przyjaciółka jest może, nie daj Bóg, nieco słaba na umyśle albo coś w tym rodzaju? – spytał poważnie Bowman.

–Nie bardziej niż ja – parsknęła dziewczyna, mierząc go niezbyt życzliwym spojrzeniem.

–Hmm, tak... Naturalnie, poznała cię. Co jej powiedziałaś? – Tylko to, że musiałeś uciekać, bo chcieli cię zabić.

–Nie zastanowiło jej, dlaczego ze mną tu przyjechałaś? – Bo tak mi się podobało, co jej zresztą powiedziałam.

–A powiedziałaś jej też o moich podejrzeniach dotyczących de Croytora?

–Cóż...

–Nieważne. Miała ci coś do powiedzenia? – Bowman był wyjątkowo dociekliwy.

–Niewiele. Tyle tylko, że rano zatrzymali się, by obserwować cygańskiobrzątek.

–Jaki znów obrządek?

–Religijny... no wiesz, mszę.

–Z księdzem? – wiadomość ta, nie wiadomo dlaczego zaniepokoiła go.

–Tak twierdzi Lila.

–Dokończ śniadanie – polecił wstając. – Zaraz wrócę.

–Myślałam, że... że będziesz chciał wiedzieć, co mówił ksiązę i jak zareagował na moją osobę. Przecież po to właśnie mnie do niego wysłałeś!

–No tak – Bowman wyraźnie był myślami gdzie indziej. – Później. Podniósł się i wszedł do hotelu. Cecile popatrzyła za nim zaintrygowana.

–Wysoki, mówisz. Dobrze zbudowany i szybki, czy tak, El Brocador? – Czerda potarł poranioną twarz, wspominając kogoś, kto odpowiadał temu opisowi, i spojrzął na czterech mężczyzn, siedzących przy stole w jego wozie. Byli to: El Brocador, czyli śniady młodzieniec, którego potrafił Bowman, Ferenc, Pierre Lacabro i wciąż oszołomiony i blady Simon Searl, który cały czas rozcierał sobie kark i nogę.

–Miał ciemniejszą cerę, niż mówiłeś, i wąsy – dodał El Brocador. – Opaleniznę i zarost można kupić w sklepie. Jednak takiej smykałki do załatwiania ludzi nie da się ukryć.

–Może go wkrótce spotkam – w głosie Lacabra zabrzmiała nadzieja.

–Ja bym się tam zbytnio nie spieszył na twoim miejscu – zgasił jego zapal Czerda. – I mówisz Searl, że go w ogóle nie widziałeś?

–Nikogo nie widziałem. Ktoś mnie kopnął od tyłu, a drugiego ciosu nawet nie poczułem.

–Po cholere w ogóle polazłeś do hotelu? – zdenerwował się Czerda. – Bo chciałem się dokładniej przyjrzeć temu księciu de Croytor. Czerda, to przecież ty mnie nim zainteresowałeś. Chciałem usłyszeć jego głos i zobaczyć, z kim się spotyka, kto...

–Jest z tą Angielką i myślę, że jest niegroźny.

–Sprytny człowiek tak właśnie się zachowuje – mruknął Searl.

–Sprytny człowiek nie zachowuje się tak jak ty – warknął Czerda. – Teraz Bowman cię zna i wie, że w wozie madame Zigair jest ktoś ciężko ranny. Jeśli wielki książę jest tym, za kogo go uważasz, to teraz musi zdawać sobie sprawę, że podejrzewasz go o to, że jest Gaiuse'em Strome'em. A jeśli nim jest, to nie spodoba mu się nic z tego, co powiedziałem.

Mina Searla dobitnie świadczyła, że się z tym zgadza.

–Trzeba pozbyć się Bowmana i to jeszcze dziś – dodał Czerda. – Tylko należy to zrobić ostrożnie i cicho. Najlepiej, żeby wszystko wyglądało na nieszczęśliwy wypadek. Diabli wiedzą, czy on nie ma tu gdzieś przyjaciół.

–Powiedziałem ci, jak to można urządzić – wtrącił El Brocador.

–I to jest dobry sposób. Spróbujemy dziś po południu. Lacabro, jesteś jedynym z nas, którego on nie zna. Jedź do hotelu i obserwuj go. Jak się gdzieś ruszy, to ty za nim. Nie możemy go teraz zgubić.

–Z przyjemnością – uśmiechnął się Lacabro. – Tylko żadnej przemocy – ostrzegł Czerda.

–Dobra, już dobra – Lacabro nagle posmutniał. – Tylko że ja nie mam pojęcia, jak on wygląda. Ciemnych i masywnych będzie w Arles parę setek...

–Myślę, że widziałem go w hotelu. Jeśli to ten sam, o którym mówił El Brocador, to będzie z dziewczyną przebraną za Cyganekę – wyjaśnił Searl. – Jej nie przeoczysz: ładna, młoda, ciemna, ubrana w zieleń i złoto z czterema złotymi bransoletkami na

lewym przegubie.

Cecile właśnie odsunęła pusty talerz, gdy Bowman wrócił do stolika. – Nie spieszyłeś się – zauważyła.

–I się nie objąłem. Byłem na zakupach. – Nie widziałam, żebyś wychodził.

–Ten hotel ma tylne wyjście – wyjaśnił. – I co teraz?

–Teraz mam pewną nie cierpiącą zwłoki sprawę do załatwienia. – Na przykład siedzenie tutaj.

–Zanim się nią zajmę, muszę załatwić inną, jeszcze bardziej nie cierpiącą zwłoki, która wymaga siedzenia tutaj. Wiesz, że w Arles przebywają bardzo wścibscy Chińczycy?

–O czym ty mówisz, na litość boską?

–Oparze siedzącej w pobliżu naszego Romea i Julii. Tylko im się teraz nie przyglądaj. Facet, jak na Chińczyka, jest postawny, około czterdziestki; trudno określić wiek Azjatów. Kobieta to pół-Azjatka, młodsza od niego i bardzo przystojna. Oboje mają okulary przeciwsłoneczne – lustrzanki, przez które z zewnątrz nic nie widać.

Cecile uniosła filiżankę z kawą i obojętnie rozejrzała się po patio. – Teraz ich widzę – przyznała po chwili.

–Nigdy nie ufaj ludziom, noszącym takie okulary. Chińczyk wyraźnie zwraca uwagę na księcia.

–To z powodu jego wyglądu.

–Możliwe – mruknął Bowman. Spojrzał na Chińczyków, potem na wielkiego księcia i na końcu znów przyjrzał się chińskiej parze. – Możemy iść.

–A ta... nie cierpiąca zwłoki sprawa? – spytała zaskoczona Cecile. – Ta pierwsza, mam na myśli...

–Załatwiona. Przyprawdżę wóz przed wejście – oznajmił Bowman i wyszedł.

Obserwujący ich odejście wielki książę łaskawie poinformował dziewczynę:

–Za mniej więcej godzinę spotkamy się z naszym tematem. – Z kim?

–Z Cyganami, drogie dziecko. Najpierw jednak muszę ułożyć kolejny rozdział mojej książki.

–Mam przynieść papier i pióro? – Nie ma potrzeby, moja droga.

–Chcesz mi powiedzieć, że to wszystko robisz w pamięci? To niemożliwe, Charles.

Poklepał ją uspokajająco po ręce i uśmiechnął się z wyrozumiałością. 85

–Możesz mi natomiast zamówić z litr piwa. Robi się nieznośnie gorąco.

Lila bez słowa poszła poszukać kelnera. De Croytor odprowadził ją wzrokiem i zauważył, że mijając Cygankę, która wcześniej wróżyła jej z ręki, uśmiechnęła się i zamieniła z nią parę słów. Odwrócił się w stronę Chińczyków siedzących przy sąsiednim stoliku i przyjrzał się im uważnie. Po chwili zobaczył Cecile wsiadającą do białego samochodu, którym Bowman podjechał przed wejście do hotelu, a za moment dostrzegł inny pojazd, ruszający w kilka sekund po ich odjeździe.

Cecile ze zdumieniem rozglądała się po wnętrzu białej simci. – A to skąd się wzięło? – spytała w końcu.

–Istnieje taki wynalazek, który zwie się telefon – wyjaśnił spokojnie Bowman. – Załatwiłem wypożyczenie auta, gdy ty jadłaś śniadanie. A właściwie załatwiłem dwa.

–Dwa co?

–Dwa samochody. Nigdy nie wiadomo, kiedy takie coś może człowiekowi odmówić posłuszeństwa.

–Ale... w tak błyskawicznym tempie?

–Garaż jest niedaleko hotelu; przysłali kogoś, żeby sprawdził – zaszeleścił plikiem banknotów zabranych Czerdzie. – To zależy wyłącznie od wysokości kaucji.

–Jesteś po prostu amoralny – w głosie Cecile zabrzmiał prawie podziw.

–O co znowu chodzi?

–O to, że szastasz cudzymi pieniędzmi.

–Życie jest po to, by go używać, a pieniądze po to, by je wydawać – stwierdził sentencjonalnie Bowman. – Przynajmniej nikt nie może mi zarzucić, że mam węża w kieszeni.

–Jesteś beznadziejnym przypadkiem – stwierdziła. – A po co nam ten samochód, tak na marginesie?

–A po co strój, który tak wdzięcznie nosisz?

–Który co...? Aha, naturalnie. Peugeot jest im znany... nie pomyślałam o tym – przyznała, obrzucając go zdziwionym spojrzeniem, gdy skręcił przy drogowskazie za

napisem "Nimes". – Czy wiesz dokąd jedziesz?

–Tak na sto procent to nie bardzo. Szukam miejsca, w którym można by spokojnie pogawędzić.

–Ze mną? 86

–Nie bój się, na rozmowy z tobą będę miał całą resztę życia. Kiedy jeszcze byliśmy na patio, przez dobre dziesięć minut obserwował nas poobijany Cygan w poobijanym renaulcie. Jedzie mniej więcej sto metrów za nami, i to od chwili opuszczenia hotelu. Mam ochotę porozmawiać z nim.

–Och!

–Właśnie "Och!". Zastanawia mnie, jakim cudem pomagierzy Gaiuse'a Strome'a namierzyli nas tak szybko – odparł Bowman, obrzucając ją uważnym spojrzeniem. – Spoglądasz na mnie w szczególny sposób, jeśli można to tak nazwać.

–Myślę.

–Nad czym?

–Skoro nas śledzą, to po co traciłeś czas na zmianę samochodu?

–Kiedy wynajmowałem ten wóz, nie wiedziałem, że nas śledzą wyjaśniał cierpliwie.

–A teraz znowu masz zamiar narazić mnie na niebezpieczeństwo? Choćby nawet potencjalne.

–Mam nadzieję, że nie. Jeśli stanie się inaczej, to przepraszam. Choć, z drugiej strony, jeśli rozpoznali mnie, to rozpoznali także czarującą Cygankę, z którą jadłem śniadanie. Nie zapominaj, że ten ksiądz, którego spotkał nieszczęśliwy wypadek w szczęśliwym momencie, śledził właśnie ciebie. Wolałabyś zostać i mieć z nimi do czynienia w pojedynkę?

–Proponujesz niezbyt atrakcyjny wybór – stwierdziła z pretensją w głosie.

–Bo niewiele mam do zaoferowania – odparł, spoglądając w lusterko.

Poobijany renault był o mniej niż sto metrów za nimi. Cecile obejrzała się i zaproponowała:

–Dlaczego nie zatrzymasz się teraz i nie pogawędzisz, jak to określiłeś? Tutaj nie odważy się na nic. Zbyt wiele osób się kręci dokoła.

–Zdecydowanie zbyt wiele – przyznał. – Kiedy będę z nim gawędził, nie chcę nikogo

widzieć w odległości kilometra.

Cecile wzdrygnęła się, ale nie powiedziała ani słowa. Bowman natomiast przejechał przez Rodan i skierował się do Trinquetaille, następnie skręcił w lewo do Albaron i ponownie w lewo na drogę prowadzącą na południe wzdłuż prawego brzegu rzeki. Tu zwolnił i po chwili zatrzymał wóz. Kierowca renaulta zrobił to samo, trzymając się w dyskretnej, jak zapewne sądził, odległości. Bowman uśmiechnął się i ruszył. Renault zrobił to samo.

Półtora kilometra dalej na płaskiej równinie Camargue Bowman zatrzymał się ponownie. Renault także. Bowman wysiadł, otworzył bagaż

, wyjął ze skrzynki narzędzie, które wsunął pod marynarkę, zamknął bagażnik i wrócił do samochodu. Narzędzie położył na podłodze przy siedzeniu.

–Co to takiego? – Cecile wyglądała na zaniepokojoną.

–Łyżka do opon to wielofunkcyjny przedmiot – wyjaśnił enigmatycznie i ruszył.

Po paru minutach droga zaczęła się pięć pod górę, z początku łagodnie, potem bardziej stromo, a po gwałtownym, ostrym skręcie w lewo prawie bezpośrednio pod nimi, gdyż zaledwie sześć metrów dalej połyskiwały ciemne wody Rodanu. Bowman ostro zahamował, chwycił z podłogi łyżkę do opon i wyskoczył, nim wóz całkowicie stanął. Szybko ruszył w stronę, z której przyjechali, tak że przebył ponad połowę drogi, kiedy zza zakrętu wyłonił się renault. Trzymając jedną rękę za plecami, dopadł drzwi gwałtownie hamującego pojazdu i otworzył je jednym szarpnięciem, nim renault się zatrzymał. Pierre Lacabro spojrzał z nienawiścią, a na jego brutalnej twarzy widać było dziką zawziętość.

–Zaczynam podejrzewać, przyjacielu, że mnie śledzisz – zagaił niezbyt agresywnie Bowman.

Zamiast odpowiedzi Lacabro wykorzystał to, że miał jedną rękę na kierownicy a drugą na framudze drzwi i opierając się na nich, wyprysnął z wozu z szybkością zaskakującą u kogoś o takiej masie. Bowman dokładnie tego oczekiwał, toteż odskoczył i trzasnął łyżką w lewe ramię przelatującego obok mężczyznę. Uderzeniu towarzyszył zadziwiająco głośny trzask pękającej kości i wrzask bólu, które zlały się w jeden dźwięk.

–Kto cię wysłał? – spytał Bowman.

Lacabro, zwijając się z bólu na ziemi i ściskając złamaną kończynę, wymamrotał po cygańsku coś niezrozumiałego.

–Posłuchaj no, przyjacielu, mam do czynienia z mordercami i wiem o tym. Co ważniejsze, umiem z nimi postępować – odezwał się przyjaźnie Bowman. – Złamałem ci tylko jedną kość, sądzę że przedramienia. Mogę kolejno łamać istne, dbając naturalnie o to, byś nie stracił przytomności, dopóki nie powiesz mi kilku rzeczy. Na początek chcę wiedzieć, dlaczego te cztery kobiety w zielono-białym wozie są śmiertelnie przerażone. Mogę cię zapewnić, że mam dużo czasu, pewną wprawę w łamaniu kości i niewyczerpaną cierpliwość, by doczekać się odpowiedzi na te

pytania.

RS1

Tymczasem Cecile wysiadła z samochodu i stanęła w pobliżu blada jak trup, wpatrując się z przerażeniem w Bowmana.

–Ty naprawdę...

–Zamknij się! – Bowman warknął wściekle, odwracając na chwilę wzrok od Cygana, po czym dodał spokojniej: – Dalej, przyjacielu, opowiedz mi o tych kobietach.

Lacabro wymamrotał coś, co brzmiało jak kolejna porcja epitetów, przetoczył się na bok i podparł na prawym łokciu. Cecile krzyknęła. Lacabro trzymał w dłoni pistolet, lecz szok i ból opóźniły jego refleks. Wrzasnął przeraźliwie, gdy łyżka do opon trafiła go w twarz. Wypuścił broń, która poleciała szerokim łukiem w bok, i złapał się za zakrwawione oblicze.

–Teraz straciłeś nos, jeśli się nie mylę – stwierdził obojętnie Bowman. – Ta ciemnowłosa dziewczyna o imieniu Tina została poważnie zraniona, prawda? Jak się czuje? Co się jej przytrafiło? Kto to jej zrobił?

Lacabro odsunął dłoń, co pozwoliło stwierdzić, że nos nie został złamany, choć poważnie krwawił; wypluł tylko kilka zębów. Jego gęba nigdy nie robiła miłego wrażenia, a teraz stała się wręcz odrażająca. Ponownie warknął coś obraźliwego, spoglądając wściekle na Bowmana.

–To ty – powiedział dziwnie wolno Bowman. – Tak, Tina to twoja sprawka. Jesteś jednym z głównych pomagierów Czerdy, może najgłówniejszym. Zastanawiam się, przyjacielu, czy to przypadkiem nie ty zabiłeś Aleksandra w tym skalnym labiryncie...

Lacabro stanął niepewnie na nogach. Wyglądał bardzo kiepsko, oczy zaczęły mu uciekać w głąb czaszki, toteż Bowman podszedł bliżej. Był to błąd, z którego zbyt późno zdał sobie sprawę. Okazało się, że Cygan ma niesamowitą odporność na ból i błyskawiczną zdolność regeneracji sił, typową dla zwierząt. Skoczył ku Bowmanowi i wyprowadził potężny prawy sierpowy, którym trafił go w szczękę, co prawda raczej przypadkowo. Jednak był to tak silny cios; że Bowman zatoczył się do tyłu. Stracił przy tym równowagę i zwałił się na trawiasty pas gruntu, niespełna metr od pionowej skarpy biegnącej wprost do Rodanu. Lacabro odwrócił się i pobiegł po broń, która wylądowała niedaleko Cecile. Szok, jaki przeżyła dziewczyna, obserwując błyskawiczny rozwój wypadków, dosłownie ją sparaliżował.

Oszołomiony Bowman podparł się na łokciu i oglądał wydarzenia jak na zwolnionym filmie: nieruchomą dziewczynę, u stóp której leżał pistolet, i Lacabra rzucającego się w jej stronę. Pomyślał, że Cecile nie widzi broni, choć nie można nie dostrzec czegoś tak dużego jak pistolet z odległości około pół metra. Gdyby tak było, to nie miałyby

poruszać się bez białej laski. Nagle dziewczyna udowodniła, że z jej oczami wszystko jest w porządku. Schyliła się, złapała broń i pięknym łukiem posłała ją do Rodanu. Następnie wykazała zadziwiający rozsądek, gdyż padła plackiem na ziemię, widząc wyraz twarzy Cygana. Pomimo wściekłości pamiętał on jednak, że głównym zagrożeniem jest Bowman, zostawił więc w spokoju Cecile, choć pozbawiła go przewagi, jaką daje broń, i schylony ruszył biegiem ku Bowmanowi.

Ten zdołał już trochę dojść do siebie i podniósł się z ziemi. Widząc atakującego Cygana, zrobił szybki unik i poczęstował go solidnym kopniakiem. Szczęśliwym dla Bowmana trafem napastnik wylądował na zranionym przedramieniu, co wywołało ryk bólu i zatrzymało go na chwilę. Nadludzkim wysiłkiem Lacabro zdołał jednak ponownie zaatakować. Tym razem Bowman nie uskoczył; lecz rzucił się ku niemu. Jego prawy sierpowy bez trudu wylądował na szczęce Cygana, który nie mógł ranną ręką się osłonić. Cios był tak silny, że Lacabro zatoczył się i zrobił kilka kroków do tyłu. Zapomniał jednak, że za nim jest urwisko, a poniżej płynie Rodan. Przez kilka sekund balansował, starając się utrzymać równowagę, ale wysiłek na nic się nie zdał – siła ciężenia wzięła górę i Pierre Lacabro runął do rzeki. Plusk, jaki towarzyszył zetknięciu się jego ciała z wodą, rozległ się nienaturalnie głośno w ciszy, która zapanowała przy drodze.

Bowman wyrzwał ostrożnie znad osypującej się krawędzi, lecz nie dostrzegł nawet śladu przeciwnika. Jeśli stracił przytomność przy uderzeniu w wodę, to poszedł na dno jak kamień. Bowman wcale się nie palił do szukania Cygana. Miał pewność, że jeśli Lacabro jest przytomny, postara się wyrazić swą wdzięczność, próbując utopić lekkomyślnego ratownika.

Wrócił do renaulta i pobieżnie go przeszukał. Tak jak się spodziewał, nie znalazł niczego interesującego. Zapуścił więc silnik i skręcił tak, by maska samochodu była skierowana w stronę rzeki, po czym wcisnął gaz i wyskoczył. Pojazd dojechał do krawędzi, przeokoziółkował i wpadł do wody wywołując fontannę sięgającą około dziesięciu metrów.

Opadająca woda zalała Lacabra, który na wpół siedział, na wpół leżał na wąskiej łasze piasku i kamieni, osłoniętej nawisem zbocza i niewidocznej z góry. Ubranie miał przemoczone, a prawą dłoń ścisnął lewy nadgarstek. Zakrwawiona twarz wyrażała ból i niedowierzanie. Widać było, że jak na jeden dzień ma już zdecydowanie dość wszelkich akcji.

Cecile siedziała na ziemi, gdy podszedł Bowman i wyciągnął do niej rękę.

–Zniszczysz tę piękną suknię, jeśli nie wstaniesz.

–Pewnie masz rację – powiedziała zadziwiająco spokojnym głosem i wstała, opierając się na jego wyciągniętej dłoni. – Nie ma go? – Powiedzmy, że nie mogę go znaleźć.

–To nie... to nie była uczciwa walka.

–I o to nam obu chodziło, tyle że to ja wygrałem, a raczej moja nieuczciwość. Uważasz, że byłoby znacznie uczciwiej, gdyby naszpikował mnie ołowiem?

–Ale... czy on umie pływać?

–A skąd, u diabła, mam to wiedzieć?

Gdy ujechali z kilometr w kompletnej ciszy, Bowman przyjrzał się podejrzliwie Cecile. Była blada jak płótno, ręce jej drżały, a kiedy się odezwała, jej głos był zadziwiająco słaby; ocenił, że to skutki szoku, który przeżyła.

–Kim ty jesteś? – spytała. – Nieważne.

–Ja... uratowałam ci dziś życie.

–No cóż, dziękuję. Ale powinnaś użyć tego pistoletu we właściwym celu, czyli albo go zastrzelić, albo zmusić, by się nie ruszał.

Nastąpiła dłuższa chwila ciszy, zakończona czymś w rodzaju chlipnięcia i jęku:

–Nigdy z niczego nie strzelałam. Pojęcia nie mam, jak to się robi. – Rozumiem i przepraszam. Przepraszam za wszystko, Cecile, a najbardziej za to, że wciągnąłem cię w tę sprawę. Cholera, powinienem wiedzieć, że to się tak skończy!

–Dlaczego się bezsensownie obwiniasz? – pociągnęła nosem. Musiałeś się w nocy gdzieś ukryć, a mój pokój...

Przerwała, spojrzała na niego uważnie i spróbowała zapalić papierosa. Ręce jednak tak jej się trzęsły, że Bowman zrobił to za nią. Gdy dotarli do hotelu, dłonie Cecile nadal jeszcze drżały.

Rozdział szósty

Bowman zaparkował przed wejściem do hotelu. Jakieś pięć metrów dalej przy stoliku na patio siedziała samotnie Lila. Na pierwszy rzut oka trudno było określić, czy była bardziej zła czy zmartwiona – z pewnością jednak nie była szczęśliwa.

–Chłopak ją rzucił – stwierdził Bowman. – Spotkajmy się za kwadrans w alejce przy tylnym wyjściu z hotelu. Staraj się nie rzucać w oczy i czekaj na niebieskiego citroena. Najbezpieczniej będzie teraz w hotelu. Postaraj się nie przebywać na patio.

–Mogę z nią porozmawiać? – spytała Cecile, nie komentując poleceń.

–Naturalnie, ale wewnątrz.

–Ale jeśli nas zobaczą razem...

–To bez znaczenia. Chcesz jej opowiedzieć, jaki jestem paskudny? – Nie – uśmiechnęła się niepewnie.

–Aha! Więc zamierzasz poinformować ją o naszych zaręczynach? – Też nie – uśmiech stał się bardziej wyraźny.

–Mogłabyś się na coś zdecydować.

Niespodziewanie położyła mu dłoń na ramieniu i oznajmiła: – Myślę, że w gruncie rzeczy jesteś miły i łagodny.

–Wątpię, czy ten facet w Rodanie podzieliłby twoją opinię – stwierdził sucho.

Uśmiech zniknął.

Cecile wysiadła bez słowa i ze zmarszczonym czołem obserwowała odjeżdżający samochód. Gdy zniknął, weszła na patio, spojrzała na przyjaciółkę i skinęła głową w stronę wnętrza hotelu. Poszły tam razem, prowadząc ożywioną rozmowę.

–Jesteś pewna? – spytała Cecile. – Charles rozpoznał Bowmana? Lila skinęła głową.

–Jak?

–Nie mam pojęcia. Ale on jest strasznie bystrym obserwatorem.

–I kimś więcej niż słynnym znawcą cygańskiego folkloru i producentem win?

–Tak sędzę.

–Nie ufa Bowmanowi?

–To raczej łagodnie powiedziane.

–No to mamy pata. Chyba tak to się nazywa w szachach. Wiesz, co Bowman myśli o nim, i obawiam się, że się z nim zgadzam. Załatwił dzisiaj następnego oprycha...

' – Co zrobił?!

–Wrzucił go do Rodanu. Sama widziałam. Powiedział, że... – To dlatego wyglądałaś jak duch, gdy cię zobaczyłam.

–Czuję się nie najlepiej. Powiedział, że już zabił dwóch i ja mu wierzę. Sama widziałam, jak rozprawiał się z tymi bandytami. Nie jest z nimi w zмовie. Różne rzeczy się robi, by zyskać wiarygodność, ale udawanie trupa to byłaby przesada.

–To wszystko stanowczo mi się nie podoba – przyznała Lila. – Nie mogę połapać się, o co tu chodzi i nie wiem, jak postępować. No i co ' mamy teraz robić?

–Wiem tyle co i ty. Robić to co nam kazano, to chyba najrozsądniejsze, prawda?

–Chyba masz rację – Lila westchnęła ciężko i na jej twarzy znów pojawiło się przygnębienie.

Cecile spojrzała na nią podejrzliwie. – Gdzie Charles? – spytała.

–Odjechał z tą swoją szoferową, jak ją czasami nazywa – odparła ponuro Lila. – Kazał mi tu czekać.

–Lila! – w głosie Cecile brzmiało oskarżenie. – To niemożliwe, żebyś...

–A dlaczego nie? Co złego jest w Charlesie?

–Nic – Cecile szybko się wycofała. – Zupełnie nic. Dobra, muszę lecieć. Za dwie minuty mamy się spotkać, a pan Bowman bardzo nie lubi czekać.

–Kiedy sobie pomyślę o tej paniencie w liberii...

–Wygląda na uroczą i całkowicie niegroźną – przerwała jej Cecile.

–Też tak sądziłam. Ale to było godzinę temu!

Wielki książę nie był jednak z panienką w liberii. Nie był nawet w jej pobliżu. Na placu, na którym parkowały cygańskie wozy, nie

było śladu ani Carity, ani rolls-royce'a, a z pewnością trudno byłoby ich nie zauważyć. Natomiast de Croytor był obecny i jak zwykle rzucał się w oczy. Stał z notesem w ręku niedaleko zielono-białego wozu, pogrążony w dyskusji z Simonem Searlem. W pobliżu znajdował się Czerda, ale nie brał bezpośredniego udziału w rozmowie. Searl, sądząc z ledwo dostrzegalnych oznak uczuć na jego ascetycznej twarzy, nie był nią zachwycony.

–Jestem ojcu niezmiernie zobowiązany. Niezmiernie – de Croytor był u szczytu swej książęcej łaskawości. – Trudno mi opisać wrażenie, jakie wywarło na mnie nabożeństwo odprawione dziś rano. Kazanie, które ojciec wygłosił, było wzruszające. Mogę powiedzieć, że rozszerzyłem swoją wiedzę. Ale, ale... czyżby coś było nie w porządku z ojca nogą?

–Lekkie nadwerężenie, nic więcej.

Nadwerężenie było widać przede wszystkim na twarzy i słycać w głosie Searla – nadwerężenie cierpliwości.

–Należy zwracać uwagę na najłżejsze nawet kontuzje. Mogą z nich wynikać całkiem poważne komplikacje. Tak, w rzeczy samej, bardzo poważne. – De Croytor wyjął z oka monokl i przyjrzał się uważnie rozmówcy. – Czy ja ojca już gdzieś nie widziałem... poza opactwem naturalnie... Tak, oczywiście! Koło hotelu dziś w południe. Dziwne, ale nie przypominam sobie, żeby ojciec wtedy kulał... No tak, z drugiej strony moje oczy nie są już takie jak dawniej... Serdeczne dzięki i proszę uważać na nogę. Doradzałbym nadzwyczajną ostrożność. Dla pańskiego dobra.

Książkę założył monokl, notes schował do wewnętrznej kieszeni i oddalił się majestatycznie. Czerda spojrział na Searla.

Twarz Cygana, częściowo zakryta bandażem, nie wyrażała żadnych uczuć. Searl nerwowo oblizwał wyschnięte wargi, obrócił się bez słowa i odszedł.

Człowiek w niebieskim citroenie, zaparkowanym w pobliżu hotelu, nawet uważnemu obserwatorowi nie przypominał Bowmana. Był ubrany w ekstrawagancką błękitno-białą koszulę, haftowaną czarną kamizelkę, moleskinowe spodnie i wysokie buty, oczy zasłaniały mu okulary przeciwsłoneczne, a na głowie nosił białe sombrero. Cerę miał teraz jaśniejszą, a wąs bujniejszy, ale rzeczywiście to był Bowman. Obok niego na siedzeniu leżała niewielka torba. Przednie drzwi po stronie pasażera otworzyły się i do wnętrza zajrzała Cecile nieco zaskoczona i niepewna. 94

–Nie gryzę – zachęcił ją Bowman.

–Dobry Boże! – jęknęła wsiadając. – Co... czym ty jesteś?

–*Guardian*, tutejszy kowboj w odświętnym stroju. Pełno ich dokoła. Mówiłem ci, że byłem na zakupach. Teraz twoja kolej.

–Poncho, naturalnie.

Gdy ruszyli w stronę tego samego magazynu odzieżowego, który odwiedzili rankiem, przyjrzała mu się z podejrzliwością, która wchodziła już jej w nałóg.

Właścicielka, jak poprzednio, rozpływała się w pochwałach nad Cecile, tym razem ubranej w odświętny strój młodej mieszkanki Arles. Była to długa, wyszywana suknia z czarnego materiału z białym, koronkowym stanikiem i kapeluszem w formie toczka z tegoż co suknia materiału. Siedział on na rudej peruce, która zakrywała naturalne włosy dziewczyny.

–*Madame* wygląda... fantastycznie! – oznajmiła z ekstazą właścicielka.

–W takim razie *madame* pasuje do rachunku – odparł z rezygnacją Bowman, wyciągając pieniądze Czerdy.

Cecile wsiadła i z przyjemnością

pogładziła materiał sukni. –

Przyznaję, ładne – oceniła. –

Lubisz ubierać dziewczęta?

–Jedynie wtedy, gdy płacą za to kryminaliści. Ale nie o to teraz chodzi. Pewna czarnowłosa Cyganka była dziś widziana w moim towarzystwie. W całej Europie nie znajdziesz firmy ubezpieczeniowej, która chciałaby wystawić jej polisę.

–Rozumiem – uśmiechnęła się słabo. – I wszystko to dla dobra twojej przyszłej żony?

–Naturalnie. A niby z jakiego innego powodu?

–Na przykład takiego, że szczerze mówiąc, nie możesz sobie w tej chwili pozwolić na utratę pomocnika.

–Nigdy mi to nie przyszło do głowy – stwierdził ze śmiertelną powagą, podjeżdżając do placu, na którym obozował cygański tabor. Zatrzymał wóz, wziął torbę i wysiadł. Odwrócił się i nagle wpadł na

pokaźnego osobnika, który właśnie przechodził chodnikiem. Mężczyzna przyjrzał mu się zaskoczony przez monokl – wielki książę nie był przyzwyczajony, by ktoś nań wpadał.

–Proszę o wybaczenie – powiedział Bowman.

95

Książę spojrział na niego z wyraźnym wstrętem i odparł wyniośle: – Udzielone.

Bowman uśmiechnął się przepaszająco, ujął pod ramię Cecile, która zdążyła już wysiąść i odeszli. Gdy oddalili się na bezpieczną odległość, Cecile stwierdziła oskarżycielskim szeptem:

–Zrobiłeś to specjalnie.

–I co z tego? Jeśli on nas nie rozpoznał, to kto to potrafi? O, a cóż to takiego?

Pytanie to wywołał wjazd na plac czarnej furgonetki bez żadnych napisów na burtach. Pojazd stanął, kierowca spytał o coś najbliższego Cygana, który wskazał na drugą stronę placu, i wóz ruszył, by zaparkować przy pojeździe Czerdy. Ten akurat rozmawiał z Ferencem stojąc przed wejściem.

Kierowca z pomocnikiem wysiedli, obeszli furgon, otworzyli drzwi i z pewnym trudem wyciągnęli z wnętrza pojazdu nosze. Znajdował się na nich Pierre Lacabro z lewym ramieniem w gipsie, ręką na temblaku i obandażowaną głową. Wściekły błysk w prawym oku, bo lewe zasłaniała opuchlizna, jasno dowodził, że żyje. Zaskoczony Czerda wraz z równie zdziwionym Ferencem rzucili się pomóc nieść kompana, a obok pojawił się, co było do przewidzenia, wielki książę. Pochylił się nad rannym, przyjrzał się mu i wyprostował z poważną miną.

–No, no – potrząsnął głową ze smutkiem. – Nikt dziś nie jest bezpieczny na drodze. Czy ten nieszczęśnik to pan Koscis?

Pytanie było adresowane do Czerdy i z jakichś powodów wyprowadziło go z równowagi.

–Nie! – warknął, próbując się opanować.

–Cieszę się, że to słyszę. Przykro mi naturalnie z powodu tego biedaka, ale lubię pana Koscisa. Tak na marginesie, jak go pan zobaczy, proszę mu przekazać, że z przyjemnością z nim porozmawiam, jeśli naturalnie będzie mu to odpowiadało.

–Powtórzę, jak go znajdę – warknął Czerda i chwycił za nosze, by pomóc wnieść rannego do swego wozu.

Wielki książę odwrócił się i omal nie zderzył się z parą Azjatów z hotelu. Książę skłonił się uprzejmie. Bowman dosłownie chłonał całą scenę, nie mogąc oderwać wzroku najpierw od Czerdy, na którego twarzy złość walczyła z podejrzliwością, potem od de Croytora, a na koniec od chińskiej pary.

–Jak widać, umie pływać – powiedział szeptem do Cecile. – Lepiej nie okazujmy zbytniego zainteresowania. Wiesz, co chcę zrobić. Przyrzekam, że nie będę ryzykował.

Odprowadził dziewczynę na bok i obojętnym krokiem zbliżył się do zielono-białego wozu. Boczne okna były zasłonięte, ale uchylone, toteż zadowolony przeszedł na drugą stronę placu, gdzie do kępy drzew uwiązano kilkanaście koni. Rozejrzał się ostrożnie, czy ktoś go nie obserwuje, lecz większość zainteresowania skupiał na sobie ranny, który został już wniesiony do karawangu Czerdy. Uspokojony wyjął z torby garść walcowatych przedmiotów, owiniętych w brązowy papier. Każdy był zaopatrzony w killcucentymetrowy błękitny lont – stare, pocziwe petardy...

Wewnątrz wozu Czerda, Ferenc, Searl i El Brocador skupili się wokół zabandażowanego Lacabra. Miał nieszczęśliwą minę, i to nie tylko z powodu fizycznych cierpień; pomimo tak wielkich obrażeń nie spotkał się z troską i sympatią, a choćby ze współczuciem.

–Ty durniu! – zdenerwował się Czerda. – Mówiłem ci, ty przeklęty idioto, żadnej przemocy!

–Powinieneś to raczej powiedzieć Bowmanowi – zauważył El Brocador. – Bowman spodziewał się, że ktoś go będzie śledził i czekał na to. Kto zawiadomi Gaiuse'a Strome'a?

–A niby kto, jak nie nasz “księżulo”? – parsknął Czerda. – Choć przyznaję, Searl, że ci nie zazdrozczę.

Sądząc po minie Searla, on też sobie nie zazdrościł.

–To może się okazać niekonieczne – stwierdził niezbyt uradowany. – jeśli Gaiuse Strome to ten, którego podejrzewamy, to już wie o wszystkim.

–Wie? – zdziwił się Czerda. – Co wie? Nie wie, że Lacabro pracuje dla mnie, a więc i dla niego. Nie wie, że to nie wypadek drogowy, a sprawka Bowmana. Nie wie, że znowu udało nam się zgubić ślad Bowmana, który natomiast ma doskonałe informacje o naszych posunięciach. Jeśli uważasz, że nie ma czego wyjaśniać, to zgłupiałeś do reszty, Simon. Ferenc, zbierz ludzi. Wyjazd za pół godziny. Powiedz im, że będziemy nocować w Vaccarós. Co się dzieje do cholery?

Do ich uszu dobiegły nagle odgłosy eksplozji, po którym rozległy się krzyki mężczyzn i rzenie przestraszonych koni, a po chwili policyjny gwizdek; za moment kolejna seria wybuchów targnęła powietrzem.

Czerda i pozostali rzucili się do drzwi. W ciągu trzydziestu sekund wszyscy obecni na placu spoglądali ku jego północno-wschodniej części, gdzie grupa Cyganów i guardians, a wśród nich oczywiście i Bowman, próbowała uspokoić rżące, wierzgające i oszalałe zwierzęta, którym pod kopytami eksplodowały ostatnie petardy.

Tylko jedna osoba nie interesowała się tym zamieszaniem. Cecile stała na palcach, przytulona do ściany zielono-białego wozu, i starała się zajrzeć przez częściowo zasłonięte okno. Wewnątrz panował półmrok, toteż gdy jej wzrok oswoił się z ciemnościami, ledwie powstrzymała się od okrzyku przerażenia. Na łóżku leżała na brzuchu ciemnowłosa dziewczyna o plecach zmasakrowanych batem. Rany lśniły od rozmaitych maści gojących, ale nie były zabandażowane. Sądząc z niewielkich poruszeń, którym towarzyszyły jęki bólu, ranna nie spała.

Cecile ostrożnie opuściła zasłonę i cofnęła się od okna. Przeszła obojętnie obok trzech Cyganek, skupionych na stopniach wozu i obserwujących wraz z innymi zamieszanie na drugim końcu placu. Nogi drżały pod nią a przed oczami cały czas miała obraz pleców skatowanej dziewczyny. Zbliżyła się do Bowmana, który właśnie skończył uspokajać jednego ze spanikowanych koni. Odprowadził go na bok, ujął Cecile pod ramię i oboje skierowali się ku uliczce, gdzie zaparkowali citroena. Bowmanowi wystarczyło jedno spojrzenie na twarz dziewczyny. – Nie spodobało ci się to, co zobaczyłaś, prawda? – spytał.

–Naucz mnie, jak się strzela – oznajmiła stanowczo. – Mam słaby wzrok, ale zawsze można podejść bliżej.

–Aż tak źle?

–Aż tak źle. Dziewczyna, drobna, prawie dziecko, zbita tak, że prawie nie ma skóry na plecach. To biedactwo musi okropnie cierpieć. – I nie żal ci już tego typka, którego wrzuciłem do Rodanu?

–Chciałabym go spotkać z pistoletem w ręku.

–Żadnej broni palnej. Sam jej nie noszę. Natomiast doskonale rozumiem, o co ci chodzi.

–A przyjąłeś to wszystko z takim spokojem?

–Trudno być wściekłym przez dłuższy czas. To, czego ty dowiedziałaś się teraz, ja wiem od dawna. Nie byłem pewien, co konkretnie jej zrobili, ale spodziewałem się czegoś takiego. Podobnie jak Aleksander zdesperowana próbowała przekazać jakąś wiadomość i to jej się nie udało. Dali jej więc nauczkę, mając nadzieję, że wystarczy jej i pozostałym kobietom. Sądzę, że mieli rację.

–Jaką wiadomość?

–Gdybym wiedział, to w ciągu dziesięciu minut te nieszczęsne Cyganki opuściłyby wóz i były nareszcie bezpieczne.

–Jeśli mi nie chcesz powiedzieć, to nie mów. – Posłuchaj, Cecile...

–W porządku. To bez znaczenia – zatrzymała się niespodziewanie. – Wiesz, że dziś chciałam uciec? Kiedy wracaliśmy znad Rodanu?

–Nie dziwi mnie to.

–Ale już nie chcę. I nie będę chciała. Masz pecha – teraz jesteś na mnie skazany.

–Nie chciałbym być skazany na nikogo innego. Przyjrzała mu się zaskoczona.

–Powiedziałeś to bez uśmiechu – stwierdziła.

–Powiedziałem to bez uśmiechu – zgodził się Bowman.

Doszli do citroena i obejrzeni się w stronę placu, na którym panował teraz wzmożony ruch. Ferenc chodził od wozu do wozu i jak można się domyślać, wydawał polecenia, gdyż właściciele karawaningów natychmiast rozpoczynali przygotowania do odjazdu.

–Dlaczego się zbierają? – zdziwiła się Cecile. – Z powodu paru petard?

–Z powodu naszego przyjaciela, który wykąpał się w Rodanie. I z powodu mojej skromnej osoby.

–Ciebie?

–Ponieważ Lacabro się nie utopił, podejrzewają, że nie dam im spokoju. Interesuje ich, co też mogę wiedzieć. Nie orientują się, jak teraz wyglądam, lecz są pewni, że zmieniłem kostium. Wiedzą jednak doskonale, że nie dostaną mnie w Arles, gdyż nie mają pojęcia, gdzie jestem, ani w jakim hotelu się zatrzymam. Muszą mnie zidentyfikować. A to będzie im najłatwiej zrobić z dala od ludzi. Dlatego dzisiejszą noc spędzą w szczerym polu, gdzieś w Camargue, mając nadzieję, że uda się im mnie rozpoznać. Są przekonani, że będę tam, gdzie ich tabor.

–Przemowy to twoja mocna strona, prawda? – w zielonych oczach nie było złościwości.

–Lata wprawy.

–I raczej trudno powiedzieć, że sam siebie nie doceniasz, czyż nie tak?

–Zgadza się. Jak myślisz, czy oni mają na mój temat podobną opinię? –
Przepraszam – dotknęła przelotnie jego dłoni. – Kiedy się boję, staję się złośliwa.

–Ja też. To normalne. Wyruszamy, jak tylko się spakujesz i starym sposobem Pinkertona będziemy ich śledzić, jadąc przodem. Jazda za nimi jest niebezpieczna, bo Cyganie z pewnością zostawią za sobą paru ludzi, którzy będą sprawdzać przejeżdżające samochody. Na południu o tej porze ruch będzie niewielki, ponieważ

dziś jest festiwal w Arles i przez najbliższe czterdzieści osiem godzin większość turystów tu zostanie, a dopiero potem pojedą do Saintes-Maries.

–Przecież nie rozpoznają nas w tych strojach.

— Z pewnością nie, ale też nie będą musieli. Będą szukać wozu, którym podróżuje samotna para i który ma tablice rejestracyjne z Arles. gdyż musi być wypożyczony. Przebranie tylko ich upewni, bo wiedzą, że w tych stronach mogą to być stroje cygańskie lub *guardians*. Będą szukali osób o cechach charakterystycznych, których nie da się ukryć. W twoim wypadku będzie to: smukła figura, wystające kości policzkowe i zielone oczy, w moim – figura, no na pewno nie smukła, oraz blizny na twarzy. Jak sądzisz, ile par odpowiadających temu opisowi będzie dziś po południu na drodze do Vaccares?

–Jedna – zadrżała. – Jesteś dokładny.

–Oni także będą. A więc jedziemy przed nimi. Jeśli ich zgubimy, to zawrócimy i poszukamy. Samochody jadące z południa nie powinny ich interesować, a przynajmniej taką mam nadzieję. Lepiej jednak będzie, jak nie będziesz zdejmować okularów przeciwsłonecznych; te twoje zielone oczy mogą nas zdradzić.

Bowman zaparkował około pięćdziesięciu metrów od patio na najbliższym wolnym miejscu, jakie znalazł.

–Spakuj się – poleciał Cecile. – Masz piętnaście minut. Za dziesięć minut wracam do hotelu.

–Gdyż najpierw masz do załatwienia jakąś nie cierpiącą zwłoki sprawę?

–Właśnie.

–Powiedz mi może, o co chodzi? – Nie.

–Zabawne. A myślałam, że teraz już masz do mnie zaufanie.

–Oczywiście! Jak miałbym nie ufać dziewczynie, która ma zamiar wyjść za mnie...

–Nie zasługuję na takie traktowanie.

–Rzeczywiście. Ufam ci, Cecile. Bez zastrzeżeń.

–Rozumiem – skinęła głową, jakby ją to zadowoliło. – Ale boisz się, że siłą można mnie zmusić do mówienia.

Bowman długą chwilę przyglądał się jej w milczeniu, po czym spytał: – Czy przypadkiem nie zdarzyło mi się powiedzieć, że nie jesteś hm... tak bystra, na jaką wyglądasz?

–Kilkakrotnie nazwałeś mnie idiotką, jeśli o to ci chodzi. – Czy mogę mieć nadzieję, że mi wybaczysz?

–Pomyślę nad tym – uśmiechnęła się i wysiadła.

Bowman poczekał, aż wejdzie na patio, potem wysiadł i poszedł na 100

pocztę. Czekał tam na niego na poste restante telegram, który otworzył po powrocie do samochodu. Był napisany po angielsku i nie szyfrowany. Treść miał następującą:

“Znaczenie niejasne stop dosłownie: najważniejsze by ładunek został dostarczony Aigues-Mortes lub Grau du Roi do poniedziałku 24 maja nienaruszony i powtarzam i incognito stop jeśli tylko jedno wykonalne nie dostarczać stop dodatkowe możliwe koszty nieistotne stop bez podpisu”.

Przeczytał to dwukrotnie i pokiwał głową; dla niego rozszyfrowana wiadomość nie była niejasna. Teraz już prawie wszystko wiedział. Podarł telegram, a kawałki spalił w popielniczce samochodowej i roztarł spalone strzępki na popiół. Rozglądał się co jakiś czas, czy to dziwne zajęcie nie zwróciło czyjeś uwagi, ale niczego nie zauważył. We wstecznym lusterku dostrzegł rolls-royce'a wielkiego księcia, który zatrzymał się na czerwonym świetle jakieś trzysta metrów z tyłu. Nawet rolls musiał przestrzegać przepisów ruchu drogowego, co prawdopodobnie denerwowało jego właściciela, który spoglądając przez okno, z pewnością zauważył nadchodzącą parę Azjatów.

Bowman opuścił okno, podarł kopertę na kawałki i wyrzucił do rynsztoka, mając nadzieję, że mieszkańcy Arles nie będą mu tego mieli za złe. Następnie wysiadł i wszedł na patio, po drodze mijając parę Chińczyków, którzy przyjrzeni mu się obojętnie przez lustrzane szkła. Bowman spojrział na nich tylko przelotnie.

Wielki książę czekając na zmianę świateł nie przejawiał jednak najmniejszych oznak zdenerwowania. Był zajęty zapisywaniem czegoś w notesie. Nie był to jednakże ten sam notes, w którym gromadził swą stale wzrastającą wiedzę o cygańskim folklorze. Po chwili, najwyraźniej zadowolony z własnej pracy, schował notes, zapalił ogromne hawańskie cygaro i nacisnął przycisk, który opuszczał szybę dzielącą go od kierowcy. Carita spojrzała we wsteczne lusterko.

–Sądzę, że nie muszę pytać, czy spełniłaś moje polecenia. – Co do joty, książę.

–A odpowiedź?

–Za pięćdziesiąt minut, jeśli dopisze szczęście, jeśli nie – w dwie i pół godziny.

–Gdzie?

–W czterech egzemplarzach: na poste restante w Arles, Saintes-Maries, Aigues-Mortes i Grau-du-Roi. Mam nadzieję, że jest pan zadowolony. 101

–Znakomicie – de Croytor uśmiechnął się z satysfakcją. – Czasami zastanawiam się, co bym bez ciebie zrobił.

Szyba podjechała w górę. Zapaliło się zielone światło i rolls bezgłośnie ruszył do przodu. De Croytor, rozparty wygodnie na siedzeniu, palił cygaro i spoglądał na otaczający go świat z właściwą mu wyższością. Nagle, czymś zaintrygowany, pochylił się gwałtownie o całe pięć centymetrów, co świadczyło o niebywałym wręcz zainteresowaniu, i nacisnął przycisk opuszczający szybę.

–Carita, zaparkuj za tym niebieskim citroenem – polecił.

Rolls powoli się zatrzymał, zaś książę zrobił coś niesłychanego – osobiście otworzył drzwi i wysiadł. Nie spiesząc się zbytnio, zrobił parę kroków, stanął i popatrzył na skrawki żółtego papieru telegraficznego leżące w rynsztoku, a potem na Chińczyka, który powoli podnosił się, trzymając w ręce resztki koperty.

–Czy pan coś zgubił? – odezwał się uprzejmie wielki książę. Może w czymś pomóc?

–Jest pan bardzo uprzejmy – angielszczyzna Chińczyka była nienaganna. – Nic się nie stało, żona po prostu zgubiła kolczyk. Ale, jak się okazuje, nie tutaj.

–Przykro mi – powiedział de Croytor i udał się w stronę patio. Mijając stolik, przy którym siedziała Azjatka, skłonił się lekko, nie zwalniając kroku. Zdążył jednak zauważyć, że bez wątpienia była pół-Azjatką i piękną kobietą, choć nie blondynką, a oprócz tego; że miała oba kolczyki. Książę, zadowolony z siebie, podszedł do stolika, przy którym siedziała Lila i bacznie się jej przyjrzał.

–Jesteś nieszczęśliwa, moja droga – stwierdził. – Nie jestem.

–Ależ jesteś. Mam nieomylny instynkt w takich sprawach. Z jakichś niezrozumiałych powodów odnosisz się do mnie z pewną rezerwą. Do mnie! Księcia de Croytor! – ujął jej dłoń. – Zadzwoń do swego ojca, a mego przyjaciela, hrabiego Delafont i to zaraz. On rozproszy twoje wątpliwości, masz na to moje książęce słowo.

–Charles, proszę...

–Tak już lepiej. Przygotuj się więc do natychmiastowego wyjazdu. Sprawa jest pilna, gdyż Cyganie właśnie odjeżdżają, a przynajmniej ci, którzy nas interesują. Musimy jechać za nimi. – Widząc, że Lila wstaje, złapał ją za rękę. – “Natychmiast” moja droga jest pojęciem względnym. W tym wypadku wynosi około godziny. Musimy najpierw coś przegryźć, zanim udamy się na niegościnnie pustkowie Camargue.

Rozdział siódmy

Dla nowo przybyłego Camargue rzeczywiście wygląda na niegościnnie pustkowie, nad którym rozciąga się niebo, zdające się nie mieć horyzontu. Teren jest płaski i nijaki, sprawiający wrażenie opuszczonego przez wszystko co żywe. Przez całe lato wisi nad nim bezlitosne słońce zawieszona na stalowobłękitnym niebie. Takie jest pierwsze wrażenie, jeżeli jednak nowo przybyły zostanie dłużej, odkryje, że jak większość pierwszych wrażeń jest ono mylące i fałszywe. Rzeczywiście, można się zgodzić, że to niegościnnie kraj, ale nie jest on wrogi człowiekowi ani martwy. Nie jest też tak posępnie przygnębiający i monotony, jak pustynia czy syberyjska tundra. Istnieje na nim woda, a żadna ziemia nie jest martwa, gdy ma wodę. Są tu duże, małe i średnie jeziora, moczary oraz bagna, czasami nie głębsze niż po kostki, a czasami zdolne pochłonąć kamienicę. Są też i barwy – wiecznie zmieniające się błękity i szarości wód poruszanych wiatrem, spłowiała żółć bagien i prawie czerni wysmukłych cyprysów, ciemna zieleń sosen, zaś jasna pastwisk, odcinająca się od brązu jałowej ziemi i słonych równin aż spękanych od słońca, które zajmują większość łądu. Poza tym jest tu życie: mnóstwo ptaków, małe stada czarnych krów i bardzo rzadko białych koni. Farmy i rancho są położone z dala od dróg, najczęściej tak dobrze ukryte wśród drzew, że trudno je dostrzec. Jedno natomiast wrażenie pozostaje niezmiennie – jest to nie kończąca się równina. Camargue przypomina gładkie jak stół morze w słoneczny letni dzień.

Dla Cecile, obserwującej okolice z okien Citroëna jadącego z Arles do Saintes-Maries, krajobraz przedstawiał takie właśnie przygnębiająco płaskie pustkowie, wywołujące depresję. Od czasu do czasu spoglądała na Bowmana, który wydawał się odprężony, by nie powiedzieć radosny, a jeśli nawet ciążyła mu przelana ostatnio krew, to nadzwyczaj dobrze to ukrywał. Cecile przyszło do głowy, że chyba już o wszystkim zapomniał i ta myśl jeszcze bardziej ją przygnębiała. Ponownie rzuciła okiem na ponurą okolicę i odwróciła się do Bowmana.

–Tu naprawdę żyją ludzie? – - spytała z niedowierzaniem.

–Żyją, kochają i umierają. Miejmy nadzieję, że nas to nie spotka. To ostatnie naturalnie.

–Och, przestań. A gdzie ci wszyscy kowboje, *guardians*, jak ich nazywasz?

–Myślę, że w baraż. Dziś jest przecież święto. Szkoda, że tym razem nie dla nas.

–Sam mówiłeś, że dla ciebie życie jest jednym, długim świętem. – Powiedziałem – dla nas.

–To miłe – przyznała, spoglądając na niego z namysłem. – Możesz mi tak od razu, bez zastanawiania się powiedzieć, kiedy ostatnio byłeś na urlopie?

–Tak od razu to nie.

Cecile pokiwała głową i ponownie rozejrzała się po okolicy. Z lewej strony, w odległości mniej więcej kilometra, było widać spore zabudowania i to całkiem przyjemnie wyglądające.

–W koficu jakiś ślad życia – westchnęła z ulgą. – Co to takiego? - *Mas*, tutejsza odmiana farmy, skrzyżowana z hotelem, restauracją i szkołą jazdy konnej. Nazywa się *Mas de Lavignolle*.

–Więc już tu byłeś?

–Sama niedawno coś mówiłaś o urlopie – powiedział przepaszająco.

–No tak – westchnęła i zajęła się kontemplowaniem krajobrazu za oknem.

Nagle pochyliła się gwałtownie – za farmą rosła kępa sosen a za nimi ukazał się widok, świadczący dość dobitnie o istnieniu życia w Camargue. Kilkanaście cygańskich pojazdów i mniej więcej setka samochodów parkowały jak popadło na poboczu po prawej stronie drogi. Po lewej, na polu rzadko porośniętym trawą, stały rzędy kolorowych namiotów. Były różnej wielkości, czasem zaledwie płócienne dachy w zależności od tego, jaką pełniły rolę: barów, kiosków spożywczych, strzelnic, loterii czy sklepów. Kręciło się wokół nich kilkaset osób najwyraźniej doskonale spędzających tu czas. Bowman zwolnił, żeby przepuścić pieszych.

–Cóż to takiego? – zadziwiła się Cecile.

–Wiejski odpust, a co ma być? Arles nie jest jedynym miejscem w Camargue, a

niektórzy twierdzą, że nie jest nawet jego częścią, gdzie dziś jest festyn. Większość miasteczek czy większych farm ma własne imprezy i rozrywki, a jak widać, Mas de Lavignolle jest jednym z nich.

–No, no ależ jesteśmy dobrze poinformowani – przyznała z ironicznym uznaniem i wskazała na owalny plac, ogrodzony oblepionymi błotem konarami. – A to co takiego?

–To jest stara i tradycyjnie wykonana arena do walki byków, gdzie będzie miała miejsce największa atrakcja dzisiejszego popołudnia. `

–Jedziemy dalej – stwierdziła Cecile z niesmakiem.

Pojechali. Ale po mniej niż piętnastu minutach Bowman zatrzymał wóz na poboczu. Wsiadł i przeciągnął się.

–Dwie mile prostej drogi – wyjaśnił, widząc pytające spojrzenie dziewczyny. – Cygański tabor podróżuje z szybkością trzydziestu mil na godzinę, mamy więc cztery minuty.

–A ogarnięty paniką Bowman może *być* w drodze już w piętnaście sekund?

. – Nawet szybciej, chyba że nie dopilem szampana. Ale dość gadania, pora na lunch.

Szesnaście kilometrów na północ tą samą drogą wolno posuwał się cygański tabor wzniesając ogromną chmurę pyłu. Kolorowe wozy, zawsze przyciągające wzrok, teraz, poprzez kontrast z otoczeniem, wyglądały bardziej egzotycznie niż kiedykolwiek.

Pojazdy prowadził żółty ciągnik pomocy drogowej, wynajęty przez Czerdę do holowania jego wozu.

Był to jedyny nie pokryty kurzem pojazd w całej kolumnie. Prowadził go Czerda, a w kabinie znajdowali się jeszcze Searl i El Brocador, któremu przywódca Cyganów przyglądał się z wyraźnym podziwem.

–Do diabła, El Brocador – przyznał – wolę mieć ciebie przy sobie niż tuzin takich niedozobionych klechów.

–Nie jestem stworzony do działania – zaprotestował Searl – i nigdy tak nie twierdziłem.

–Za to twierdziłeś, że masz mózg – parsknął Czerda. – Zrobili ci lobotamię w seminarium, czy potem zdurniałeś do reszty?

**–Nie bądź dla niego taki ostry – El Brocador starał się załagodzić sytuację. –
Wszyscy wiemy, że jest pod wielką presją. Poza tym, jak sam mówi, działanie nie jest
jego specjalnością, a do tego nie zna Arles. Ja się tam urodziłem i czuję się jak u
siebie. Znam dobrze wszystkie sklepy, które handlują cygańskimi kostiumami czy
ubiorami *guardians*. Nie jest ich zresztą tak wiele, jak można by sądzić. Ludzie,
których użyłem do pomocy, to tubylcy, a że za pierwszym razem trafiłem do**

tego sklepu co i Bowman, to już kwestia szczęścia i odrobina logiki – był duży i leżał na uboczu.

–Mam nadzieję, że nie musiałeś użyć zbyt wiele, hm... perswazji? – taka powściągliwość wypowiedzi zdecydowanie nie pasowała do Czerdy.

–Jeśli masz na myśli przemoc, to w ogóle. Nie lubię przemocy, o czym wiesz, chyba że w ostateczności. W dodatku jestem zbyt znany w Arles, by zaryzykować coś takiego. Poza tym nie musiałem, nikt by nie musiał, kto zna starą Bouvier. Za dziesięć franków wrzuciłaby swoją matkę do Rodanu. Ja dałem jej pięćdziesiąt – uśmiechnął się El Brocador. – Tak się starała, że omal sobie języka nie przygryzła przy pytlowaniu.

–Niebiesko-biała koszula, biały kapelusz i czarna kamizelka – rozmarzył się Czerda. – Łatwiej go będzie znaleźć niż błazna na pogrzebie.

–Tylko najpierw musimy się z nim spotkać.

–Będzie tam – Czerda wskazał kciukiem za siebie. – Jak długo oni są z nami, on będzie nam towarzyszył. Wszyscy to wiemy, on sam najlepiej. O to się nie martw, bylebyś zrobił, co do ciebie należy.

–Nie ma strachu – pewność siebie El Brocadora ani jotę nie ustępowała pewności siebie Czerdy. – Wszyscy wiedzą, jak głupi potrafią być Anglicy. To, że kolejny idiota chce się popisać przed tłumem, nikogo nie zdziwi, a dziesiątki świadków będą widziały, że robiliśmy, co tylko było możliwe, żeby durnia powstrzymać, ale nam się nie udało.

–Byk będzie miał zaostrome rogi, tak jak uzgodniliśmy?

–Sam tego dopilnowałem – El Brocador spojrzął na zegarek. – Nie możemy się trochę pospieszyć? Wiesz, że za dwadzieścia minut mam umówione spotkanie.

–Nie bój nic – uspokoił go Czerda – za dziesięć minut będziemy w Mas de Lavignolle.

Rolls-royce posuwał się wolno, w sporej odległości za taborem, by chmura pyłu wzbijanego przez cygańską kawalkadę zdążyła opaść. Dach był opuszczony, zaś wielki książę siedział w cieniu parasola, który trzymała nad nim Lila.

–Dobrze ci się spało? – spytała w pewnym momencie.

–Spało? Nigdy nie śpię po południu. Po prostu miałem zamknięte oczy. To mi pomaga w myśleniu, a sporo spraw mam teraz na głowie. ine

–Nie wiedziałam – jedną z pierwszych i podstawowych rzeczy, którą szybko odkryła, by móc spokojnie przebywać w towarzystwie de Croytora była dyplomacja, toteż pospiesznie zmieniła temat. – Dlaczego jedziemy za kilkunastoma wozami, skoro kilkadziesiąt innych zostało w Arles?

–Mówiłem ci już, że właśnie te najbardziej mnie interesują. – Ale dlaczego...

–Bo specjalizuję się w zwyczajach Cyganów rumuńskich i węgierskich, gdzie najlepiej przechowano tradycyjne obrzędy – odparł tonem skutecznie kończącym dalszą dyskusję na ten temat.

–Boję się o Cecile...

–Panna Dubois wyjechała przed nami i jeśli się nie mylę jest przed nami, a nawet przed taborem – ton głosu księcia całkowicie wykluczał możliwość pomyłki. – Muszę też przyznać, że była ubrana w dość gustowny kostium, jaki noszą tutejsze panienki w dni świąteczne.

–Masz na myśli strój cygański?

–Ubiór odświętny – powtórzył zdecydowanie. – Strój cygański miała na sobie wcześniej, ale gdy wyjeżdżała, był to kostium noszony z okazji święta. Znam się trochę na strojach i mogę za to ręczyć.

–Ale dlaczego miałyby się przebierać... – A skąd ja mam wiedzieć?

–Widziałeś, jak odjeżdżała? – Nie.

–Więc skąd...

–Carita z pewnością zna się na damskich strojach znacznie lepiej niż ja. Poza tym jest bardzo spostrzegawcza. Twoja przyjaciółka odjechała z typkiem w stroju *guardians*. Ciekawe, co stało się z indywiduum zwanym Bowman? Przyznaję, że twoja przyjaciółka ma wybitny talent do zawierania podejrzanych znajomości.

–A ja? – spytała niespodziewanie słodko Lila.

–*Touche!* Zasłużyłem na to. Przepraszam, nie chciałem obrażać twojej przyjaciółki. – Wskazał dłonią na lewo, gdzie połyskiwała stalowo wąska linia wody i zmienił temat: – Co to takiego, moja droga?

v Lila spojrzała we wskazanym kierunku i odparła chłodno: n

–Nie mam pojęcia.

–Wielki książę nigdy nie przeprosza dwa razy. – Morze?

–Właśnie. I koniec podróży dla tych wszystkich Cyganów, którzy przebyli setki, a czasami tysiące kilometrów z całej Europy. I;tang de Vaccares.

–tang?

–Jezioro. Jezioro Vaccares, będące najsłynniejszym rezerwatem dzikiej zwierzyny w Europie Zachodniej.

–Ty naprawdę dużo wiesz, Charles.

–Naprawdę dużo wiem – zgodził się de Croytor bez uśmiechu. Bowman dopił szampana, spakował resztki posiłku do wiklinowego kosza i wstawił go do bagażnika.

–Było doskonale – pochwaliła Cecile. – Miło, że o tym pomyślałeś. – Podziękuj Czerdzie, on za wszystko zapłacił – odparł Bowman spoglądając na północ.

Na drodze, jak okiem sięgnąć, nie było nawet śladu jakiegokolwiek ruchu.

–Cóż, wracamy do Mas de Lavignolle. Musieli się tam zatrzymać – zdecydował. – Niech żyją walki byków.

–Nienawidzę corridy!

–Ta ci się spodoba, zaręczam – obiecał, nie wdając się w wyjaśnienia.

Bowman zauważył, że w Mas de Lavignolle choć znacznie zwiększyła się liczba pojazdów, dziwnie zmniejszyła się liczba ludzi od czasu ich poprzedniego przejazdu. Ciekawostka ta wyjaśniła się, gdy zgasił silnik – od strony drogi dobiegały śmiechy i okrzyki zachęty wielu osób. Chwilowo to jednak zlekceważył i nie wysiadając z samochodu, rozejrzał się uważnie. Nie musiał zresztą długo szukać.

–Jak należało się spodziewać, Czerda z kumplami i resztą taboru jest tutaj – oznajmił. – To znaczy, na razie dostrzegłem ich wozy, ale można się domyślać, że ich właściciele są w pobliżu.

Postukał nerwowo w kierownicę i dodał po chwili:

–jak należało się spodziewać... ciekawe, dlaczego ja się tego nie spodziewałem... ciekawe, dlaczego.

–Dlaczego co?

–Dlaczego się tu zatrzymali.

–O co ci chodzi? Przecież spodziewałeś się, że tu ich znajdziesz. Dlatego właśnie zawróciłeś, prawda?

–Zawróciłem z powodu niezgodności czasowej. Zbyt długo ich nie było, więc należało przypuszczać, że gdzieś się zatrzymali. To jest najbliższe miejsce, gdzie mogli to zrobić, ale prawdę mówiąc nie sądzi

łem, że przystaną gdziekolwiek, gdzie są ludzie. Spodziewałem się obozowiska w polu, przy którymś z jezior na południu, gdzie byłiby we własnym gronie. Zamiast tego cały tabor zatrzymał się tutaj.

–I co z tego? – spytała Cecile, gdy Bowman przez chwilę nie przejawiał chęci do dalszej rozmowy.

–Pamiętasz, jak tłumaczyłem ci w Arles, dlaczego moim zdaniem tak szybko wyjeżdżają?

–Pamiętam, choć przyznaję, że było to nieco zagmatwane.

–Może dlatego, że sam się w tym zaplątałem. Gdzieś musi być błąd w moim rozumowaniu. Tylko gdzie?

–Przepraszam, nie rozumiem.

–Nie sądzę, żebym przeceniał znaczenie mojej skromnej osoby, zwłaszcza z ich punktu widzenia – powiedział wolno Bowman. – Jestem przekonany, że cholernie im zależy, żeby zabić mnie tak szybko, jak tylko się da. Kiedy masz coś zrobić szybko, nie spędzasz miłego popołudnia na oglądaniu walki byków, tylko starasz się wykonać tę pilną robotę. Obozując na pustkowiu, wciągasz takiego Bowmana w pułapkę; możesz wtedy z łatwością go wykryć i wykończyć, gdyż poza nim znasz wszystkich obecnych. Nie zatrzymujesz się więc na lokalnym odpuszcie, gdzie oprócz niego jest z tysiąc osób, których nie znasz. Tutaj nie można go znaleźć... Chyba, że wiesz coś, o czym on nie wie, coś, dzięki czemu masz pewność, że znajdziesz go nawet w takim tłumie. Jasno się wyrażam?

–Tym razem wyjątkowo tak – szepnęła. – Jesteś stuprocentowo przekonany, że tutaj cię złapią. Pozostaje więc do zrobienia tylko jedno. – Tylko jedno – zgodził się Bowman sięgając do klamki. – Należy wysiąść i przekonać się, czy mam rację.

–Neil – złapała go za rękę z zadziwiającą jak na nią siłą.

–No nareszcie! Trudno by ci było mówić do mnie panie Bowman przy dzieciach, czyż nie? To było dobre w czasach nieboszczki królowej Wiktorii.

–Neil – w zielonych oczach było błaganie graniczące z desperacją i przez moment zrobiło mu się głupio. – Proszę, nie idź tam. Coś strasznego się tu stanie. Wiem to na pewno! Nie wiem co, ale przeczuwam coś strasznego. Odjedźmy stąd, i to zaraz. Natychmiast. Proszę!

–Przykro mi – szepnął odwracając wzrok; wyraz jej twarzy mógł przekupić anioła, a za takiego stanowczo się nie uważał. – Muszę im w końcu stawić czoło i dowiedzieć się prawdy. Może to mieć miejsce i tutaj. Do konfrontacji dojść musi, a tu mam znacznie lepsze szanse niż gdzieś nad samotnym jeziorkiem na południu.

–Powiedziałaś: “muszę”?

–Tak – Bowman nadal spoglądał prosto przed siebie. – Są cztery powody i wszystkie znajdują się w zielono-białym wozie.

Ponieważ Cecile nic nie powiedziała, ciągnął dalej:

–Albo choćby z powodu jednej tylko Tiny. Gdyby ktokolwiek zrobił coś takiego tobie, zabiłbym go. Nie zastanawiając się, po prostu bym go zabił. Wierzysz mi?

–Myślę, że tak – odparła cicho. – Nie, wiem, że tak byś zrobił. – A to mogłaś być ty – dodał. – Powiedz mi, czy wyszłabyś za kogoś, kto ją tam zostawił i uciekł?

–Nie – odparła poważnie.

–Aha – stwierdził już zupełnie innym tonem. – Wobec tego czy mam zrozumieć to tak, że jeśli nie ucieknę i nie zostawię Tiny... Przerwał i spojrzał na Cecile. Uśmiechała się, ale jej oczy były za

mglone, jakby nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać. Gdy się odezwała, głos jej się lekko łamał, co mogło świadczyć o wzruszeniu albo tłumionym śmiechu.

–Jesteś całkowicie, ale to całkowicie, beznadziejny!

–Powtarzasz się – oznajmił otwierając drzwi. – Długo nie zabawię. – Nie zabawimy długo – poprawiła go, także wysiadając.

–Nie zamierzasz...

–Zamierzam. Ochrona niewinnego dziewczęcia jest słuszną sprawą, ale nie należy wpadać w przesadę. Co może mi się przytrafić w parusetosobowym tłumie? Poza tym sam powiedziałaś, że nie są w stanie nas rozpoznać.

–Jeśli złapią cię ze mną...

–Jeśli ciebie złapią, to mnie tam nie będzie, ponieważ skoro nie mogą cię

rozpoznać, to jedynym tego sposobem jest nakrycie cię w czasie robienia czegoś, czego nie powinienesz robić. Jak na przykład włamywanie się do któregoś pojazdu.

–W biały dzień? Czy masz mnie za kompletnego idiotę?!

–Tego akurat nie jestem pewna – przyznała, biorąc go za rękę. – Jestem natomiast pewna tego, co ci powiedziałam w Arles: jesteś na mnie skazany, kolego.

–Dożywotnio? – Zobaczymy.

Bowman zamrugał zaskoczony i przyjrzał się jej podejrzliwie.

–Uszczęśliwiasz mnie – oznajmił. – Kiedy byłem mały i bardzo czegoś chciałem, a moja matka mówiła: “zobaczymy”, wiedziałem, że to dostanę. Kobięce umysły funkcjonują podobnie, prawda?

Cecile uśmiechnęła się tajemniczo i odparła niewzruszona:

–Zaryzykuję powtórzenie się po raz trzeci: Neilu Bowmanie, jesteś znacznie sprytniejszy, niż na to wyglądasz.

–Moja matka też tak twierdziła!

Cecile i Bowman zapłacili za bilety i wspięli się na najwyższy rząd siedzeń okalających arenę. Amfiteatralną widownię wypełniało szczerze kilkaset osób obojga płci, barwnie ubranych. Byli tam Cyganie oraz *guardians*, a także niewielka liczba mieszkańców Arles w odświętnych strojach. Większość stanowili turyści i miejscowa ludność. Tylko nieliczni byli normalnie ubrani.

Pomiędzy trybunami a wysypaną piaskiem areną znajdowała się wolna przestrzeń, o szerokości ponad metr, która okalała całą arenę i była oddzielona od niej drewnianym płotem ponad metrowej wysokości. Był to *callejón*, miejsce gdzie salwowali się ucieczką miejscowi razafeur, jeśli znaleźli się podczas walki w opałach.

Na środku areny niewielki, lecz wyjątkowo agresywny czarny byk z Camargue robił, co mógł, by dopaść białą ubraną postać, która doskonale wymierzonymi piruetami i uskokami unikała szarż coraz bardziej rozwścieczonego zwierzęcia. Zachwycona widownia biła brawo i zachęcała okrzykami do dalszych popisów.

–Proszę! – Cecile zapomniała na chwilę o obawach, przypatrując się przedstawieniu roziskrzonym wzrokiem. – To jest uczciwa korrida! – Wolałabyś, żeby krwawił człowiek a nie byk? – uzupełnił Bowman.

–Naturalnie – dziewczyna bawiła się prawie doskonale. – Chociaż nie wiem... on nie ma szpady.

–Szpady, różna i inne takie są specjalnością hiszpańskiej korridy, której celem jest zabicie byka na arenie. Prowansalska *cours libre*, którą obserwujesz, nie prowadzi zazwyczaj do niczyjej śmierci, choć czasami *razateur*, czyli walczący z bykiem, zostaje poturbowany. Widzisz ten czerwony pompon przywiązany pomiędzy rogami byka? Ma być ściągnięty najpierw, a potem oba kawałki taśmy i dwa białe frędzle wiszące na czubkach rogów.

–Czy to nie jest niebezpieczne?

–Nie wybrałbym takiego sposobu zarabiania na życie – przyznał Bowman, unosząc wzrok znad trzymanego w dłoni programu i uważnie się rozglądając.

–Coś się stało? – zaniepokoiła się Cecile.

Bowman nie odpowiedział natychmiast. Spoglądał na arenę, gdzie biało ubrany *razateur* poruszał się błyskawicznie, lecz z gracją tancerza.

Nagle odskoczył, by uniknąć ciosu szarżującego byka, przechylił się pod niewiarygodnym kątem i zręcznym ruchem zerwał czerwony pompon pomiędzy rogów, z których jeden niemal otarł się o jego pierś.

–No, no – mruknął Bowman – a więc to jest El Brocador. – El co?

–Brocador. Ten facet na arenie. – Znasz go?

–Nie zostaliśmy sobie przedstawieni, jeśli o to ci chodzi. Trzeba przyznać, że jest niezły.

El Brocador był więcej niż niezły – był doskonały. Poruszał się ze znakomitym wyczuciem odległości między nim i rogami byka, a wszystkie zwroty i uniki wykonywał od niechcienia, z zadziwiającą wprost zręcznością i opanowaniem. W czterech kolejnych akcjach zdjął obie taśmy i oba białe frędzle, po czym lekceważąc obecność zwierzęcia, skłonił się głęboko widowni, podbiegł lekko do płotu i przeskoczył na teren *callejón*. Byk rzucił się w jego stronę z dużą szybkością i tuż za jego plecami rąbnął w barierę, rozbijając najwyższą deskę, po czym stanął oszołomiony. Tłum oszalał, oklaskom, gwizdom i wiwatom nie było końca.

Tylko czterej mężczyźni nie przejawiali należytego entuzjazmu, a nawet w ogóle nie zwracali uwagi na to, co się dzieje na arenie. Bowman, który niezbyt interesował się walką, zauważył ich bez trudu natychmiast po zajęciu miejsca. Byli to Czerda, Ferenc, Searl i Masaine. Nie zwracali uwagi na to, co się dzieje na arenie, bowiem cały czas obserwowali widownię.

–Rozczarowana? – spytał odwracając się ku Cecile. – Proszę?

–Bardzo powolny byk.

–Jesteś nieznośny. A to co takiego?

W callejón pojawiło się trzech błaznów w za dużych, kolorowych ubraniach, z pomalowanymi twarzami ozdobionymi wielkimi, czerwonymi nosami i w zabawnych kapeluszach. Jeden miał akordeon, na którym zaczął grać, a jego towarzysze, przewracając się i potykając, wspięli się na płot, a następnie pospadali na arenę. Gdy pozbierali się z piasku, zabrali się za marynarski taniec w rytm melodii wygrywanej na harmonii.

W tym czasie otwarto *toril*, tj. wrota dla zwierząt, i na arenie pojawił się kolejny, wypoczęty, czarny byk. Nie był zbyt duży, ale nadrabiał to z nawiązką cholerycznym temperamentem, ledwie bowiem dostrzegł obu tancerzy, pochylił łeb i runął do ataku. Szarżował kolejno na kaź

dego, gdyż się xozdzielili, ale na próżno – błazny unikały go, nie gubiąc rytmu, nie myląc kroku i zachowując się tak, jakby nie zdawały sobie sprawy z jego obecności. Byli to bez wątplenia *razateur* o największych umiejętnościach i doświadczeniu.

Muzyka na chwilę ucichła, zaś byk skoncentrował atak na jednym z błaznów. Ten wreszcie raczył go dostrzec i z wrzaskiem rzucił się do ucieczki. Publiczność skwitowała to salwą śmiechu. Rozzłoszczony błazen zatrzymał się, by pogrozić jej pięścią. Obejrzał się przez ramię i widząc byka za sobą, ruszył biegiem, wzywając pomocy. Źle obliczył i zamiast przeskoczyć płot, wyrznął w niego, mając byka tuż za plecami. Gdy wydawało się, że już za chwilę zwierzę go dopadnie, w ostatnim momencie wymknął się bokiem, pozostawiając na jednym z rogów kolorowe spodnie.

Tylko w białych kalesonach do kolan popędził przed siebie, drąc się wniebogłosy, a byk pognął za nim jeszcze bardziej rozwścieczony, ciągnąc spodnie po ziemi. Widownia dostała konwulsji ze śmiechu.

Jedynie czterej Cyganie zachowali spokój. W dalszym ciągu nie interesowali się tym, co się dzieje na arenie, lecz teraz ruszyli ze swoich miejsc i zaczęli powolną wędrówkę przez tłum, uważnie przyglądając się mijanym osobom. Z takim samym zainteresowaniem obserwował ich Bowman.

Akordeonista w *callejón* zaczął grać "Opowieści lasku wiedeńskiego", a oba błazny rozpoczęły walca na środku areny. Jak należało się spodziewać, byk natychmiast pognął ku nim. Był już tuż-tuż, gdy się rozdzielili, tańcząc teraz solo, i po wykonaniu piruetu znów złączyli się w parę za naszym zadem. Widownia oszalała, a Cecile tak się śmiała, że musiała chusteczką ocierać łzy. Na twarzy Bowmana nie było śladu uśmiechu. Czerda znajdował się jakieś sześć metrów od niego, więc nie miał się czym cieszyć.

–Czy to nie wspaniałe? – spytała niespodziewanie Cecile. – Wspaniałe. Poczekaj tu.

Natychmiast spoważniała. – Dokąd się...

–Ufasz mi? – przerwał jej w pół słowa. – Ufam.

–Wrócę niedługo.

Nie spiesząc się Bowman ruszył ku wyjściu. Minał w niewielkiej odległości Czerdę, który nadal przyglądał się widzom z natarczywością wywołującą ich zdziwienie, a nawet niezadowolenie. Kilka kroków od wejścia obojętnie przeszedł obok pary Chińczyków, uprzejmie bijącej

brawo. Byli to ci sami, których już spotkał w Arles. Wyglądali niezwykle dystyngowanie. Przez moment zastanawiał się, czym też się zajmują i w którym z europejskich krajów mieszkają, gdyż nie sądził, że przybyli z Chin na wakacje. Była to tylko przelotna myśl, gdyż inne sprawy teraz go zajmowały.

Okrzyżował arenę, przeszedł z dwieście jardów na południe wzdłuż drogi, którą następnie przekroczył i zawrócił na północ kierując się w stronę karawaningu Czerdy. Cygańskie wozy stały porządnie, w dwóch rzędach, z dala od drogi i wyglądały na całkowicie opuszczone. Ani przy pojeździe Czerdy, ani przy zielono-białym wozie nie było widać wartownika, ale Bowmanowi tym razem nie chodziło o żaden z nich. Ten, który go interesował, był pilnowany – na stołku u szczytu schodów wejściowych siedział sobie Cygan Maca z butelką piwa w ręce.

Bowman podszedł do niego powoli, co widząc Maca opuścił butelkę i skrzywił się ostrzegawczo. Bowman to zlekceważył, podszedł bliżej i dokładnie sobie obejrzał tak Cygana, jak i pojazd. Nie spieszył się zbytnio. Maca wykonał znaczący ruch kciukiem, który nakazywał, by Bowman się wyniósł do wszystkich diabłów. Mimo to pozostał on na miejscu.

–Zjeżdżaj! – warknął wreszcie Maca.

–Cygańska świnia – odparł uprzejmie Bowman.

Maca najwyraźniej nie wierzył własnym uszom, gdyż przez kilka sekund siedział nieruchomo z wyrazem osłupienia na twarzy. W końcu coś musiało do niego dotrzeć, bo z grymasem wściekłości chwycił butelkę za szyjkę, wstał i zeskoczył ze schodów. Bowman był szybszy i uderzył Cygana, zanim zdążył wylądować na ziemi. Połączenie impetu zeskoku z ciosem Bowmana miało taki skutek, że Maca zatoczył się i spojrzał nieprzytomnym wzrokiem. Bowman poprawił uderzenie z równą co poprzednio siłą i złapał nieprzytomnego już Cygana, nim zdążył grzmotnąć o ziemię. Odciągnął go na bok, tak aby nie rzucał się nikomu w oczy.

Rozejrzał się, ale wokół panowała cisza i spokój. Jeśli nawet ktoś zauważył tę wymianę poglądów, to musiał być osobą dyskretną i nie ogłosił tego publicznie. Bowman okrążył pojazd dwukrotnie, ale w cieniu nie czaił się drugi wartownik, nie zauważył też niczego podejrzanego, toteż wbiegł na schody i ostrożnie zajrzał do wnętrza. Korytarz był pusty, a drzwi prowadzące do sypialni zamknięte na dwie solidne zasuwki. Odsunął je i wszedł.

Przez chwilę nic nie widział. Wewnątrz panowały ciemności, ponieważ okna były szczelnie zasłonięte ciężkimi kotarami. Gdy zorientował się, gdzie jest najbliższe okno, podszedł do niego i odsunął story.

W sypialni znajdowały się trzy łóżka, co dostrzegł już ostatniej nocy. Leżeli na nich, jak wówczas, trzech mężczyźni. Tyle że wtedy było to zrozumiałe – łóżka służą do spania, a najwłaściwszą do tego porą jest noc. Mimo że teraz było wczesne popołudnie, Bowman nie był specjalnie zaskoczony, że pośłania są zajęte. Prawdę mówiąc, spodziewał się tego.

Wszyscy trzej nie spali, toteż unieśli się na łokciach i oślepieni dziennym światłem, gwałtownie mrugali. Bowman bez słowa podszedł do leżącego najniżej i ujął jego prawą rękę. Była przykuta kajdankami do pierścienia przymocowanego do przedniej ściany wozu, podobnie jak mężczyzny zajmującego środkowe łóżko. Zaoszczędził więc sobie trudu sprawdzania trzeciego, cofnął się o dwa kroki i przyjrzał się więźniom uważnie, po czym powiedział:

–Hrabia le Hobenaut, mąż Marii le Hobenaut, pan Tangevec, mąż Sary Tangevec, trzeciego z panów nie znam. Z kim mam przyjemność? Pytanie było skierowane do dystyngowanego wyglądającego mężczyzny w średnim wieku, który zajmował dolne pośłanie.

–Nazywam się Daymel. – Jest pan ojcem Tiny?

–Tak – przyznał zapytany z miną świadcząca, iż ma pytającego za kata, nie za wybawcę. – Kim pan jest, na litość boską?

–Nazywam się Bowman. Neil Bowman i przybyłem, by was stąd zabrać.

–Nie wiem, kim pan jest – odezwał się leżący na środkowym łóżku, także niezbyt uszczęśliwiony pojawieniem się Bowmana. – I prawdę mówiąc, nie obchodzi mnie to. Niech się pan stąd wynosi, na miłość boską, i to zaraz, gdyż inaczej to będzie śmierć dla nas wszystkich.

–Jest pan hrabią le Hobenaut? – upewnił się Bowman. – Doskonale. Słyszał pan, co się przytrafiło pańskiemu szwagrowi, Aleksandrowi? – A co miało mu się przytrafić? – spytał Hobenaut z dziwną mieszaniną podejrzliwości i rezygnacji w głosie.

–Nie żyje. Czerda go zabił.

–Co za bzdury pan wygaduje? Aleksander nie żyje? Przecież Czerda dał nam słowo...

— Wierzy mu pan? – przerwał zdziwiony Bowman. – Naturalnie. Czerda ma zbyt wiele do stracenia...

–Wy też mu wierzycie? – Bowman przerwał mu ponownie, a widząc potakujące skinienia pozostałych więźniów, dodał: – Człowiek, który wierzy mordercy jest głupcem. Wy wszyscy nimi jesteście. Aleksander jest martwy – znalazłem jego grób i jego ciało. Jeśli uważacie,

że kłamię, powiedzcie Czerdzie, że chcecie się zobaczyć z chłopakiem. Może pan, panie Daymel, przy okazji poprosić go, by przyszła pańska córka.

–Ona nie... nie...

–Nie jest martwa, jeśli o to panu chodzi. Nie ma tylko skóry na plecach, gdyż skatowano ją szpicrutą. Dlaczego? Z tego samego powodu, z którego zginął Aleksander: oboje próbowali komuś coś przekazać, jakąś wiadomość. Co to była za wiadomość?

–Błagam pana, Bowman – le Hobenaut był niemal przerażony. Proszę nas zostawić.

–Dlaczego się o nie tak boicie? I dlaczego one tak się boją o was? I proszę się nie powtarzać: nie odejdę stąd, dopóki się nie dowiem tego, co chcę wiedzieć.

–Tego akurat już nigdy się nie dowiesz – rozległ się z tyłu głos Czerdy.

Bowman odwrócił się powoli, ponieważ teraz pośpiech i tak by mu nic nie dał. Po wstrząsie, jaki przeżył, na jego twarzy nie było śladu. Za to Czerda stojący w drzwiach z wyposażonym w tłumik pistoletem ani Masaine z nożem w ręku tuż za nim nawet nie próbowali ukrywać przepelniającego ich uczucia zadowolenia; obaj uśmiechali się złowrogo. Czerda skinął głową i Masaine sprawdził kajdanki więźniów.

–Nie grzebał przy nich – zameldował Masaine.

–Pewnie był zajęty wyjaśnianiem, jaki z niego cwaniak – Czerda dosłownie promieniował zadowoleniem. – A w rzeczywistości złapanie cię było dziecinnie proste. Jesteś głupi, Bowman: sześćset szwajcarskich funtów napiwku zwraca uwagę sprzedawcy. Powiem ci w zaufaniu, że ledwie się powstrzymałem, by ci się nie roześmiać w nos na trybunach, gdy udawałem, że cię szukam. Ale to zepsułoby całą zabawę, prawda? A tak na marginesie, byłeś rozpoznany, zanim wszedłeś na trybuny, ty durniu!

–Mogłeś powiedzieć o tym Macy – mruknął Bowman.

–Mogłem, ale Maca niestety nie jest zbyt dobrym aktorem – w głosie Czerdy zabrzmiał szczery żal. – Nie sądzę, żeby potrafił przekonująco udawać, że się bije na serio. Gdybyśmy natomiast nie zostawili strażnika, mógłbyś zacząć coś podejrzewać. No, koniec zabawy. Osiemdziesiąt tysięcy franków, Bowman.

–Nie noszę takich głupich groszy przy sobie.

–Dawaj moje pieniądze! – Czerda przestał się uśmiechać i wyciągnął lewą rękę.

Bowman przyjrzał mu się z namysłem.

–Skąd ktoś taki jak ty ma osiemdziesiąt tysięcy franków... – mruknął.

Czerda niespodziewanie się uśmiechnął, zrobił krok i wbił tłumik pistoletu w splot słoneczny Bowmana, po czym z satysfakcją obserwował, jak ten zgiął się z bólu.

–Wolałbym dać ci w pysk – wyjaśnił Cygan – tak jak ty mnie, ale chwilowo wolę, żebyś nie miał ran na twarzy. Forsa, Bowman!

–Zgubiłem – wycharczał Bowman, prostując się z trudem. – Co zrobiłeś?

–Miałem dziurawą kieszeń.

Czerda już się nie uśmiechał – był wściekły. Z ledwością powstrzymał się od uderzenia Bowmana kolbą i warknął:

–Znajdziesz je w ciągu dziesięciu minut. Przekonasz się.

Zielony rolls-royce zwolnił, zbliżając się do Mas de Lavignolle. Księżę, nadal osłaniany przez Lilę parasolem, obserwował uważnie okolicę. – Tabor Czerdy – mruknął – dziwne. Co też w Mas de Lavignolle

może być interesującego dla naszego przyjaciela Czerdy? Człowiek taki jak on nie robi niczego bez powodu, zresztą niewątpliwie z przyjemnością się ze mną podzieli tymi powodami... Co się stało, moja droga? – Popatrz – zawołała Lila. – Spójrz tam.

Idąc wzrokiem za jej ręką, de Croytor dostrzegł, jak do wozu Czerdy wchodzi Cecile, prowadzona z jednej strony przez Searla, z drugiej przez E1 Brocadora. Gdy zamknęły się za nimi drzwi, księżę opuścił szybę i poleciał Caricie:

–Zatrzymaj się – po czym zwrócił się do Lili: – Jesteś pewna, że to Cecile? Suknia podobna, ale te kostiumy niewiele się dla mnie różnią, zwłaszcza od tyłu.

–To ona – Lila nie miała cienia wątpliwości.

–*Razateur* i ksiądz. Musisz przyznać, że twoja przyjaciółka ma wybitny talent do zawierania niezwykłych znajomości. Masz ze sobą notes? – Mam ze sobą co?

–Musimy to zbadać. – Zamierzasz zbadać...

–Tylko proszę bez greckiego chóru! Prawdziwego folklorystę interesuje wszystko.

–Przecież nie możesz tak po prostu wpaść...

–Nonsens. Jestem księżę de Croytor. Poza tym ja nigdy nie wpadam, ja zawsze wkraczam.

Bowman domyślał się, że ból w dołku jest niczym w porównaniu z tym, co go wkrótce czeka. Radosny błysk w oku Czerdy nie wróżył mu nic dobrego na najbliższą

przyszłość.

ino

Rozejrzał się po wnętrzu pojazdu. Na twarzach więźniów malowała się pełna rezygnacji rozpacz ludzi, którzy już pogodzili się z porażką. Czerda i Masaine uśmiechali się w pełnym błogości oczekiwaniu, El Brocador był poważnie zamyślony, lecz czujny, zaś spojrzenie Simona Searla wyjaśniało, dlaczego został pozbawiony praw kapłańskich. Cecile wyglądała na lekko oszołomioną, nieco przestraszoną i trochę złą, ale nic nie wskazywało, że może wpaść w histerię, czemu zresztą trudno byłoby się dziwić.

–Teraz rozumiesz, dlaczego powiedziałem, że znajdziesz tę forszę w ciągu paru minut? – przerwał milczenie Czerda.

–Teraz rozumiem. Znajdziesz ją w...

–Jaką forszę? – zdziwiła się Cecile. – Czego chce to... to bydłę? – Swoich osiemdziesięciu tysięcy franków minus naturalnie wydatki, do których byłem zmuszony. Trudno mu się dziwić, prawda?

–Nic mu nie mów!

–Czy nie rozumiesz, z jakim typem mamy do czynienia – westchnął Bowman. – Jeżeli cię posłucham, to w ciągu dziesięciu sekund będziesz tak miała wykręconą do tyłu rękę, że dotkniesz własnego ucha i będziesz wyła z bólu. Jeśli przy tej okazji złamię ci kość albo zerwę jakieś ścięgno, będzie to zwykły wypadek przy pracy.

–Ależ ja zemdleję i...

–Daj spokój – Bowman spojrzał na Czerdę, omijając wzrokiem Cecile. – ~ Są w depozycie na stacji kolejowej w Arles.

–Klucz?

–Na kółku, schowany w samochodzie. Pokażę ci, gdzie.

–Doskonale – ucieszył się Czerda. – Searl jest pewnie zawiedziony, ale zadawanie bólu młodym dziewczętom nie sprawia mi przyjemności, choć przyznaję, że nie zawahałbym się, gdybym musiał. Zresztą możesz się jeszcze o tym przekonać.

–Nie rozumiem – stwierdził Bowman.

–Zrozumiesz. Jesteś niebezpieczny. Wyrządziłeś już nam wielkie szkody i dlatego należy cię zlikwidować. Zginiesz dziś po południu w ciągu godziny, i to w taki

sposób, że nawet cień podejrzenia nie padnie na nas.

Był to najbardziej lakoniczny wyrok śmierci, jaki Bowman kiedykolwiek słyszał, a pewność siebie i spokój w głosie Czerdy przejmowały dreszczem.

–Teraz rozumiesz, dlaczego nie mogłem ci dać w pysk, choć miałem na to wielką ochotę – dodał Czerda. – Na arenę musisz trafić z nie uszkodzoną twarzą.

–Na arenę?

–Na arenę, mój drogi.

–Zgłupiałeś do reszty. Jak niby mnie zmusisz, żebym tam wszedł? Czerda nawet się nie odezwał, ani nie zrobił najmniejszego ruchu; Searl i Masaine złapali błyskawicznie Cecile i przygięli ją do postania. Masaine przytrzymał dziewczynę, a Searl złapał za kołnierz sukni i gwałtownym szarpnięciem rozdarł ją do pasa. Następnie, spoglądając z uśmiechem na Bowmana, wyjął z fałd sutanny nieco przerobioną szpicrutę – do około czterdziestocentymetrowego, oplecionego skórą uchwytu były przymocowane trzy czarne rzemienie. Bowman rzucił okiem na Czerdę i stwierdził, że ten uważnie mu się przypatruje. Broń, od początku wycelowana w Bowmana, nie drgnęła ani o centymetr.

–Wydaje mi się, że jednak wejdiesz na arenę – stwierdził Cygan. – Tak, chyba masz rację – odparł powoli Bowman.

Searl schował szpicrutę z miną rozpieszczonego bachora, któremu odebrano zabawkę. Masaine puścił Cecile, a ta niepewnie usiadła i spojrzała na Bowmana. Twarz miała bardzo bladą, zaś w oczach szaleństwo. Bowman pomyślał, że w tej chwili była zdolna do użycia broni, gdyby tylko ktoś jej pokazał, jak się to robi. Tymczasem na zewnątrz rozległy się ciężkie kroki i do wozu wkroczył wielki książę z nieco oszołomioną Lilą. De Croytor opanowanym gestem umieścił w oku monokl i rozejrzał się po wnętrzu wozu.

–A, Czerda, przyjacielu, dobrze że cię tu zastałem. – Dostrzegł broń w dłoni Cygana i dodał: – Nie celuj we mnie, celuj w niego, nie wiesz, że to jest wasz wróg?

Czerda posłusznie odwrócił z powrotem pistolet i spojrzał niepewnie na wielkiego księcia.

–Czego pan chce? – spytał tonem, który miał świadczyć o pewności siebie, ale książę zupełnie się tym nie przejął. – ~ Dlaczego...

–Cicho! – polecił groźnie de Croytor. – Teraz ja mówię. Jesteście bandą niekompetentnych i tępych półgłówków. Zmusiliście mnie do złamania podstawowej zasady, jaką kieruję się w życiu – zmusiliście mnie, abym się ujawnił! Więcej inteligencji mają szympansy w zoo. Straciłem przez was masę czasu i pieniędzy, nie wspominając już o nerwach. Mam wielką ochotę zrezygnować z waszych usług, i to definitywnie. A to znaczy, z was samych także. Co tu wyprawiacie?

–Skąd się pan tu wziął? – Czerda wybałuszył oczy. – Przecież... przecież Searl

powiedział, że pan...

–Searlem zajmę się później – obiecał de Croytor tonem, od którego mężczyźnie w sutannie zrobiło się nagle zimno.

Czerda był całkowicie wytrącony z równowagi, co u niego było wręcz niespotykane. El Brocador spoglądał z zakłopotaniem, zaś Masaine zdecydowanie zaprzestał samodzielnego myślenia. Lila stała bez ruchu, nie mogąc wprost wydobyć głosu. A wielki książę ciągnął dalej:

–Nie pytałem kretyńce, co robicie w Mas de Lavignolle – sprecyzował z pogardą. – Pytałem, co robicie tutaj, w tym konkretnym wozie. – Bowman ukradł pieniądze, które pan mi dał – przyznał z ociąganiem Czerda. – Właśnie...

–Co zrobił? – twarz księcia stała się nagle purpurowa.

–Ukradł pańskie pieniądze – wyjaśnił nieszczęśliwym tonem Czerda. – Wszystkie.

–Wszystkie?!

–Osiemdziesiąt tysięcy franków. Właśnie dowiedzieliśmy się, gdzie są. Miał nam dać klucz do skrytki, gdy pan wszedł.

–Mam nadzieję, że dla swego dobra znajdziesz te pieniądze – mruknął książę i odwrócił się, słysząc powolne kroki.

Do wnętrza wszedł Maca, a właściwie wtoczył się po ścianie, trzymając się oburącz za obolałą twarz.

–On jest pijany! – warknął de Croytor. – Co robi pijany facet w twojej grupie, Czerda?! Hej, ty, stań no prosto!

Maca nawet nie zwrócił uwagi na wielkiego księcia, ponieważ interesował go wyłącznie Bowman. Wpatrując się w niego z nienawiścią, powiedział do Czerdy:

–To on! Przyszedł i...

–Milcz! – ton de Croytora prawdopodobnie obłaskawiłby bengalskiego tygrysa. – Dobry Boże! Czerda, otoczyłeś się bandą najgłupszych i najbezużyteczniejszych pomagierów, jakich w życiu widziałem.

Rozejrzał się po wozie, nie zwracając uwagi na więźniów. Zbliżył się do Cecile, przyjrzał się jej i stwierdził:

–To, jak widzę, jest asystentka Bowmana. Dlaczego tu się znalazła? – Bowman nie chciał współpracować... – wykrztusił Czerda.

–Zakładniczka! Doskonale. Tu macie następną – niespodziewanie złapał za ramię Lilę i pchnął ją ku łóżku, na którym siedziała Cecile. Dziewczyna prawie upadła. Gdy usiadła, na jej twarzy oprócz przerażenia malowało się osłupienie.

–Charles!

–Cicho bądź!

–Ależ... mój ojciec... sam powiedziałaś...

–Straszna z ciebie gąska – powiedział de Croytor z lekceważeniem. – Prawdziwy księżę de Croytor, do którego na szczęście jestem 121

podobny, faktycznie jest dobrym znajomym twego ojca. Obecnie przebywa on gdzieś nad górną Amazonką, prawdopodobnie w rękach łowców głów czy innej cholery zamieszkującej Matto Grosso. Ja na szczęście nie jestem księciem de Croytor.

–Wiemy o tym, panie Strome – Searl popisał się swymi wazeliniarskimi umiejętnościami.

Wielki księżę ponownie zaskoczył wszystkich szybkością. Odwrócił się do Searla i wymierzył mu taki policzek, że ten wrzasnął i zatoczył się na ścianę wozu.

Zapanowała martwa cisza.

–Nie mam nazwiska – powiedział cicho księżę. – A ten, o kim mówiłeś, nie istnieje.

–Przepraszam – wyjąkał Searl, trzymając się za twarz. – Ja... – Milcz!

De Croytor zwrócił się do Czerdy:

–Bowman miał ci coś pokazać czy dać?

–Dać. I jest jeszcze drobiazg, którego muszę dopilnować. – Tylko szybko, jeśli łaska.

–Tak, proszę pana.

–Poczekam tu na ciebie, Czerda, bo musimy poważnie porozmawiać. Prawda, mój przyjacielu?

Zapytany skinął głową z nieszczęśliwą miną, kazał Masaine pilnować dziewcząt i zasłoniwszy broń kurtką, wraz z Searlem i Brocadorern wyprowadził Bowmana na zewnątrz. Masaine usiadł wygodnie w fotelu z nożem w ręce, a Maca, mruczając coś pod nosem wyszedł, wciąż trzymając się za posiniaczoną twarz. Lila z rozpaczą w

oczach odwróciła się do księcia:

–Charles, jak mogłeś...

–Gapa! – uciął de Croytor.

Dziewczyna spojrzała na niego załamana. Łzy zaczęły płynąć jej po policzkach. Cecile objęła ją i rzuciła piorunujące spojrzenie księciu, ale ten pozostał niewzruszony.

–Stój! – polecił Czerda.

Zatrzymali się wszyscy. W plecy idącego przodem Bowmana boleśnie wbił się tłumik pistoletu trzymanego przez Czerdę. Citroen stał trzy metry dalej.

–Gdzie jest klucz? – spytał Czerda. – Zaraz ci go dam.

–Niczego mi nie będziesz dawał. Możesz tam mieć ukrytą broń albo diabli wiedzą co. Gdzie jest klucz?

–Na breloku, przyklejony pod siedzeniem kierowcy z tyłu po lewej stronie.

–Searl – poleciał Czerda i eks-ksiądz posłusznie ruszył do samochodu.

–Niewielu ludziom ufasz – mruknął Czerda. – A powinienem?

–Jaki numer ma skrytka? – Sześćdziesiąt pięć.

–To są kluczyki od samochodu – powiedział Searl wysiadając. – Ten żółty nie jest od samochodu – zwrócił mu uwagę Bowman. Czerda wziął cały pęk od Searla i dokładnie obejrzał.

–Żółty nie jest – przyznał i odczepił go. – Sześćdziesiąt pięć. Cóż, pierwszy raz powiedziałaś prawdę. W czym są pieniądze?

–Brezent zawinięty w brązowy papier zalakowany woskiem. Na papierze jest napisane moje nazwisko.

–Doskonale – mruknął Czerda, rozglądając się wokół.

Maca siedział na stopniach jednej z przyczep. Czerda skinął na niego. Cygan podszedł z ociąganiem i spojrzał spode łba na Bowmana. – Młody Josć ma skuter. Tak? – spytał go Czerda.

–Ma. Jest na widowni, mogę go przyprowadzić.

–Nie ma potrzeby. Tu masz klucz – jest do skrytki na stacji kolejowej w Arles. Skrytka ma numer sześćdziesiąt pięć. Daj mu go i powiedz, żeby przywiózł znajdującą się wewnątrz paczkę zawiniętą w brązowy papier. Ma jej strzec jak oka w głowie, bo to bardzo cenna paczka, i oddać ją tylko mnie. Gdyby mnie tutaj nie było, to ma się pytać, gdzie jestem i osobiście mi ją dostarczyć. Nikomu innemu. Jasne?

Maca skinął głową i poszedł szukać Josć, a Czerda stwierdził po chwili namysłu:

–Myślę, że czas już na arenę.

Przeszli przez drogę, kierując się ku budynkom, których używano jako garderoby dla biorących udział w występach.

W pomieszczeniu, do którego weszli, wisiały kostiumy matadorów *i razateur* oraz

kilka strojów kłownów.

–Ubieraj się – Czerda wskazał jeden z błazeńskich przyodziewków.

123

–W to? – zdziwił się Bowman. – A dlaczego, u diabła, mam to włożyć?

–Bo cię o to grzecznie proszę – wyjaśnił Czerda. – Zapomniałeś, że niezdrowo jest mnie denerwować? A raczej denerwować Searla? Bowman posłusznie wykonał polecenie i bez specjalnego zaskocze

nia obserwował, jak El Brocador i Searl również się przebierają, a następnie wszyscy łącznie z Czerdą zakładają papierowe maski. Bardzo im zależało na anonimowości, i trudno się dziwić, skoro wkrótce mieli stać się współodpowiedzialni za morderstwo. Czerda kawałkiem czerwonego materiału zasłonił broń, po czym wszyscy czterej ruszyli ku arenie.

Kiedy znaleźli się przy wejściu do *callejón*, Bowman ku swemu zaskoczeniu stwierdził, że trójka błaznów nadal jest na arenie, wywołując salwy śmiechu. Tyle się wydarzyło, odkąd opuścił widownię, że dopiero teraz uświadomił sobie, jak niewiele czasu to wszystko trwało.

Gdy nadeszli, jeden z kłownów robił właśnie stanie na rękach na grzbiecie byka, który z furją obracał łeb to w jedną, to w drugą stronę. Widownia szalała z zachwytu, a Bowman pomyślał, że gdyby okoliczności były inne, sam pewnie by się dobrze bawił. Na koniec obaj tancerze popłynęli w rytm wygrywanego przez trzeciego błazna walczyka ku skrajowi areny. Tutaj zatrzymali się, odwrócili do publiczności i lekceważąc szarżującego z tyłu byka, kłaniali się nisko. Tłum ostrzegawczo wrzeszczał, a oni, nie przestając się kłaniać, w ostatnim momencie rozbiegli się i rozpędzone zwierzę rąbnęło w barierę. Para błaznów z wdziękiem przeskoczyła płot, a tłum wiwatował, gwizdał i klaskał jak oszalały. Bowman zaczął się zastanawiać, czy za kilka minut widownia będzie w tak doskonałym nastroju; wydawało mu się to nieprawdopodobne.

Arena była pusta, toteż Bowman z obstawą weszli do *callejón*. Widownia obserwowała ich z zaciekawieniem i sporym rozbawieniem; być może te uczucia wywoływał kostium, który Bowman miał na sobie: prawa nogawka spodni była czerwona, lewa biała, kubrak z kwadratów w tychże kolorach, a zielone buty takiej długości, że ich noski zostały przywiązane do cholewek; do tego stroju należała także biała czapka pierrota z czerwonym pomponem i czerwony nos na gumce, kontrastujący z nałożoną na twarz białą farbą. Całości dopełniała mniej więcej metrowa laseczka z chorągiewką w barwach Francji, którą trzymał w dłoni.

–Mam broń i mam dziewczynę – przypomniał cicho Czerda. – Radzę ci o tym

pamiętać.

12.4

–Postaram się.

–Jeśli spróbujesz uciec, dziewczyna tego nie przeżyje. Wierzysz mi?

W to akurat Bowman gotów był uwierzyć bez zastrzeżeń. – Jeśli zginę, to też tego nie przeżyje – mruknął.

–Błąd. My jej nie ruszymy, bo bez ciebie jest nikim, a Czerda nie walczy z kobietami. Wiem, kim jesteś albo raczej domyślam się, co i tak jest już bez znaczenia. Wiem też, że spotkałeś ją dzień lub dwa temu i nie uwierzę, by ktoś taki jak ty zwierzył się jej z czegokolwiek ważnego; zawodowcy nigdy nie mówią więcej, niż muszą, prawda panie Bowman? Zwłaszcza że młode dziewczęta łatwo skłonić do mówienia. Ona jest dla nas całkowicie niegroźna, toteż kiedy skończymy nasze zadanie, a nastąpi to w ciągu dwóch dni, może sobie iść, gdzie ją oczy poniosą.

–Wie, gdzie jest grób Aleksandra. – Tak? A kto to jest Aleksander?

–Rozumiem. Powiedziałaś, że będzie wolna?

–Daję słowo. W zamian za to bądź uprzejmy przekonująco się z nami poszarpać.

Bowman skinął głową i pozostali rzucili się w jego stronę, udając, że chcą go złapać. Cała czwórka przetoczyła się tam i z powrotem po *callejón* przy wtórze zachęcających okrzyków rozbawionej publiczności. Widzowie byli w doskonałych humorach i nabrali pewności, że to udawana walka poprzedzająca kolejny komiczny numer, skoro jednym z walczących był błazen w kostiumie pierrota. Po kilkunastu sekundach Bowman przy akompaniamencie gwizdów, śmiechów i oklasków wyostał się z rąk pogoni, przebiegł kawałek i wskoczył przez ogrodzenie na arenę. Czerda pognął za nim, ale został z tyłu ściągnięty przez dwóch pozostałych. El Brocador wyjaśniał mu coś gestykulując i wskazując na północny kraniec areny. Czerda odwrócił głowę i spojrział we' wskazanym kierunku.

Nie tylko on zresztą. Widownia nagle zamilkła i spoważniała, a rozbawienie ustąpiło miejsca zaskoczeniu, które błyskawicznie zmieniło się w nerwowe oczekiwanie. Bowman rozumiał te uczucia doskonale, by nie rzec, je podzielał je w całej rozciągłości.

W otwartych wrotach *toril* stał byk. I to nie byle jaki – nie mniejsze czarne zwierzę z Camargue, jakie zwykle występują w *cours libre*, bezkrwawych zawodach Prowansji. Był to potężny, hiszpański byk, jeden z tych olbrzymów andaluzyjskich, których przeznaczeniem jest śmierć w korridzie. Miał potężne rozmiary, olbrzymi łeb i wprost

niesamowity rozstaw rogów. Głowę trzymał nisko, ale nie aż tak nisko, jak w czasie ataku, a racicami, na przemian prawą i lewą nogą, żłobił głębokie bruzdy w piasku pokrywającym arenę.

Widzowie spoglądali na siebie niepewni i zdenerwowani. W większości byli to znawcy tego sportu i doskonale zdawali sobie sprawę, że wysłanie człowieka pozbawionego broni, nawet gdyby to był najsprawniejszy amator, przeciwko takiej bestii oznaczało dla niego po prostu śmierć. Byk pochylił nieco łeb.

Bowman nie poruszył się od chwili wyjścia na arenę – z zaciśniętymi ustami obserwował uważnie zwierzę zmrużonymi oczami. Jakieś dwanaście godzin temu, na skałach i blankach zrujnowanej fortecy bardzo się bał i teraz ponownie to przeżywał. A strach to tylko wyzwalał adrenalinę będącą katalizatorem, który umożliwia człowiekowi osiąganie wyników i dokonywanie rzeczy zwykle uważanych za niemożliwe. W sytuacji, w jakiej się obecnie znajdował, żadna dawka adrenaliny nie byłaby zbyt wielka. Nie miał zresztą złudzeń co do ostatecznego wyniku spotkania – zmienić tego nie była w stanie cała istniejąca na świecie adrenalina.

Stojący w bezpiecznym *callejón* Czerda nerwowo oblizwał wargi w oczekiwaniu tego, co nastąpi. Nagle zamarł, podobnie jak cała widownia – andaluzyjski byk ruszył.

Jak na tak wielkie zwierzę, miał wręcz niewiarygodne przyspieszenie. Bowman natomiast jakimś cudem zdołał ocenić współzależność pomiędzy szybkością byka, a zmniejszającą się między nimi odległością. I stał jak sparaliżowany strachem. Widownia wpatrywała się w niego w pełnym przerażenia milczeniu, przekonana, że śmierć tego szalonego pierrota to tylko kwestia sekund. Bowman wyczekał do momentu, gdy byk był zaledwie sześć metrów od niego i rzucił się na prawo. Lecz byk znał tę sztuczkę ze szkolenia. Właśnie tak też sądził Bowman, dlatego jego skok był jedynie unikiem, on zaś odbił się w lewo, dzięki czemu zwierzę przemknęło obok i ostro spiłowany róg minął go o jakieś trzydzieści centymetrów. Zaskoczona widownia westchnęła z ulgą. Napięcie jednak nie zmalowało.

Byk wyhamował, wznosząc tuman piachu, błyskawicznie zawrócił i ruszył ku Bowmanowi, który powtórzył unik, tyle że w odwrotnym kierunku. Byk i tym razem chybił, lecz zaledwie o parę centymetrów. Widownia wydała pomruk podziwu, któremu towarzyszyły nieśmiałe oklaski. Napięcie nieco zmalowało.

Ponownie byk zawrócił, lecz teraz-znieruchomiał o jakieś dziewięć metrów od człowieka i obserwował go uważnie. Bowman dostrzegł, że 126

rogi zwierzęcia zostały zaostrzone, co jego zdaniem było zupełnie niepotrzebne – przy masie i szybkości byka i tak przeszłyby przez ludzkie ciało na wylot. Teraz

najwyżej śmierć mogła być szybsza i mniej bolesna, lecz były to czysto akademickie rozważania, gdyż wiadomo było, jak zakończy się jego występ.

Czerwone oczy byka wpatrywały się w Bowmana, który zastanawiał się, co też to bydlę może myśleć, o ile w ogóle myśli. To wszystko przypominało mu rosyjską ruletkę, w której przy każdej następnej próbie szanse przeżycia drastycznie się zmniejszają. Spekulowanie, czy byk uzna jego unik za prawdziwy czy za fałszywy, było bez sensu. Decydował tu ślepy traf, który raczej prędzej niż później stanie po stronie byka. Za każdym razem miał pięćdziesiąt procent szans na to, że przeżyje, a zmęczenie już osłabiło jego refleks i zmniejszyło szybkość ruchów.

Gdy uświadomił sobie, że jednak ma pięćdziesiąt procent szans na przeżycie, rzucił błyskawiczne spojrzenie za siebie – bariera była zaledwie o trzy kroki. Odwrócił się i pobiegł ku niej, mając świadomość, że byk ruszył za nim. *W callejón* widział wyraźnie Czerdę, który z zainteresowaniem obserwował rozwój wydarzeń, nawet nie próbując mu grozić pistoletem, który trzymał pod czerwoną chustą. Wiedział doskonale, że nie zamierza on uciec z areny.

Bowman odwrócił się gwałtownie, oparł się plecami o ogrodzenie i natychmiast uskoczył w prawo. Byk wściekle rzucił łbem, ale prawy róg jedynie musnął rękaw błazeńskiego kostiumu, nawet go nie rozdzierając. Zwierzę zderzyło się z płotem z impetem, od którego pękły dwie górne belki, i wspięło się na tylne nogi, próbując przeskoczyć barierę. Trochę czasu minęło, zanim do rozwścieczonego byka dotarło, że przeciwnik wcale się nie schronił za płotem, lecz nadal jest na arenie, tyle że nieco dalej.

Widownia tym razem powitała wyczyn Bowmana wiwatami i brawa-' mi. Na twarzach pojawiły się uśmiechy, a wielu widzów zaczęło się wręcz doskonale bawić tym, co w pierwszej chwili uznali za publiczne samobójstwo. Byk stał nieruchomo dobre pół minuty, potrząsając łbem jakby oszołomiony czołowym zderzeniem z drewnianym ogrodzeniem. Gdy ruszył, widać było, że zmienił taktykę – zamiast szarżować, zaczął podchodzić przeciwnika. Szedł powoli ku Bowmanowi, który rejterował tyłem, nie chcąc spuścić byka z oczu, dzięki czemu powoli ale stale tracił przewagę odległości. Nagle byk opuścił łeb i runął do przodu. Był tak blisko, że Bowman właściwie nie miał miejsca na unik. Zrobił więc jedyne co mógł – wyskoczył najwyżej jak potrafił, znalazł się na

łopatkach atakującego zwierzęcia, odbił się i po pełnym obrocie wylądował na ziemi. Z trudem łapał oddech, ale udało mu się utrzymać równowagę.

Tym razem widownia dostała szału – napięcie zniknęło, za to brawom i owacjom nie było końca. Teraz nawet najwięksi sceptycy przyznali, że pod maską błazna musi kryć się jeden z najlepszych, o ile nie najlepszy, *razateur*, jaki dziś występował. Niektórym nawet było głupio, że z początku dali się nabrać i bali się o takiego mistrza.

Zarówno trzech więźniów, jak obie dziewczęta i Masaine obserwowali z pewną obawą wielkiego księcia, który niespokojnie przemierzał niewielkie pomieszczenie, spoglądając z coraz większą irytacją na zegarek.

–Co, u licha, zajmuje im tyle czasu? – mruknął w końcu i spytał Masaine: – Nie wiesz czasem, dokąd Czerda zabrał Bowmana?

–Myślałem, że pan wie... – Odpowiadaj, kretynie!

–Poszli po klucz do skrytki z forszą, jak pan słyszał. A potem, oczywiście, na arenę.

–Na arenę? A po co?

–Jak to po co? – zdumiał się szczerze Masaine. – Przecież sam pan chciał, żeby skończyć.

–Co skończyć, ty półgłówku?! – Widać było, że księżę powstrzymuje się najwyższym wysiłkiem woli.

–Bowmana. Usunąć go z drogi.

De Croytor złapał Cygana za ramiona i potrząsnął nim w pasji. – Co ma z tym wspólnego arena? – warknął.

–Bowman ma walczyć gołymi rękami z hiszpańskim bykiem, a jak nie, to Czerda ją zabije – Cygan wskazał brodą Cecile. – W ten sposób nie padnie na nas żadne podejrzenie. Bowman zresztą powinien już być martwy. Czerda jest sprytny.

–Czerda jest obłąkanym maniakiem! – wściekł się księżę. – Zabić Bowmana? Teraz? Zanim nakłoniliśmy go do mówienia? Zanim dowiedzieliśmy się, z kim współpracuje i jak zdołał nas namierzyć, że nie wspomnę o odzyskaniu moich osiemdziesięciu tysięcy franków? Powstrzymaj go i to zaraz! Wydostańcie Bowmana z areny, jeśli jeszcze nie jest za późno!

–Mam pilnować tych dziewczyn. Tak kazał Czerda. – Masaine z uporem potrząsała głową.

128

–Porachuję się z tobą później – obiecał de Croytor lodowatym tonem. – Nie mogę się teraz publicznie pokazywać z Czerdą... do diabła! Panno Dubois, proszę tam pobiec natychmiast...

Cecile zerwała się na równe nogi. Co prawda suknia była zniszczona przez Searla, ale obie z Lilą zdołały jakoś temu zaradzić. Zrobiła krok ku drzwiom, lecz zagroził jej drogę Masaine.

–Ona nigdzie nie idzie! – oświadczył Cygan. – Czerda kazał... – Wielki Boże! – ryknął rozwścieczony de Croytor. – Ośmielasz mi się sprzeciwić?

Zanim zapytany otworzył usta, księżę dopadł go i z rozmachem stanął mu obcasem na śródstopiu. Nadeptnięty zawył i odruchowo schylił się ku bolącej nodze. Na to właśnie czekał księżę – opuścił złączone dłonie na odsłonięty kark Cygana z siłą wystarczającą, by ten stracił przytomność, zanim dotknął podłogi.

–Szybko, panno Dubois – poleciał. – Jeśli się nie mylę, to pani przyjaciel może być w poważnych tarapatach.

Bowman rzeczywiście był w tarapatach. Wprawdzie nadal utrzymywał się na nogach, ale zawdzięczał to wyłącznie sile woli i instynktowi samozachowawczemu. Na jego twarzy umazanej krwią i piachem zastygł grymas wysiłku. Co jakiś czas chwycił się za lewy bok, który był głównym źródłem bólu. Wspaniały kostium pierrota był wybrudzony i w strzępach. Dwa rozdarcia z prawej strony spowodowało "muśnięcie" prawym rogiem. Nie pamiętał, ile razy leżał na arenie, ale trzy z nich były niezupełnie dobrowolne. Dwa razy wylądował tam po otarciu się o niego łopatki byka, a raz lewy róg ześlizgnął się mu po lewym ramieniu. Teraz byk szykował się do kolejnego ataku.

Bowman uskoczył, ale zbyt wolno. Na szczęście zwierzę wzięło manewr za próbę uniku i skręciło w niewłaściwą stronę. Musnął go tylko. lewy bark byka, jeśli muśnięciem można nazwać zetknięcie się z ważącym tonę cielskiem, które porusza się z szybkością około pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Efekt był taki, że Bowman jeszcze raz wylądował na arenie, a rozwścieczone zwierzę ruszyło w jego stronę, by przyszpilić go rogami do ziemi. Zachował jednak przytomność umysłu i desperackim wysiłkiem przetoczył się dalej, w ten sposób unikając rogów.

Widownia nagle ucichła. Ludzie wiedzieli, że to doskonały *razateur* i wspaniały aktor, ale żaden artysta nie próbuje dać się zabić w imię sztuki, zaś toczenie się po arenie było unikaniem śmierci zaledwie

o centymetry, a czasami i mniej, ponieważ już dwa razy bycze rogi rozdarły materiał kostiumu. Za drugim razem Bowman poczuł, że róg rani mu plecy, i to go zmobilizowało do ostatecznego wysiłku. Ostatecznego, gdyż wątpił, by było go stać na następny. Przetoczył się, jak mógł najszybciej kilka razy i poderwał z ziemi. Było to wszystko, na co go było stać: mógł tylko chwiać się jak pijany i starać się nie upaść.

Nad areną zawisła dzwoniąca w uszach cisza. Rozjuszony zwierzę runęło do ataku, nie bawiąc się w żadne podchody. Teraz w grę wmieszał się przypadek – gdy byk miał go już wziąć na rogi, Bowman odruchowo, resztką sił rzucił się w bok, dzięki czemu dosłownie o centymetry usunął się z drogi zwierzęciu, które przebiegło z dobre dwadzieścia metrów, zanim zrozumiało, że przeciwnika nie ma ani na rogach, ani przed sobą i gwałtownie zahamowało.

Widownia dostała szału. Ulga i bezgraniczny podziw wywołały huragan braw, gwizdy, wrzaski, a nawet łzy radości. Nigdy dotąd nie widziano w okolicy tak doskonałego zawodnika ani tak wspaniałej walki.

Wyczerpany Bowman oparł się o barierę niedaleko od uśmiechniętego Czerdy. Był wykończony, a Cygan doskonale zdawał sobie z tego sprawę i z dużą satysfakcją go obserwował. Bowman był bowiem wykończony nie tylko fizycznie, ale i psychicznie. Nie miał już ochoty dłużej uciekać. Byk parsknął i opuścił łeb, szykując się do kolejnego ataku. Widownia umilkła, czekając jaki to nowy cud zostanie jej pokazany przez tego niezwykłego zawodnika.

Jednak wyczerpał on już limit cudów – stał i czekał na koniec. Nagle w ciszy, jaka zapadła, usłyszał coś, co normalnie zginęłoby w ryku tłumu. Z czystym osłupieniem na twarzy odwrócił się i na szczycie amfiteatralnej widowni dostrzegł Cecile wymachującą gorączkowo i wrzeszczącą ile sił:

–Neil! Neil Bowman! Chodź tutaj!

Bowman ożył. Byk wprawdzie znów ruszył do ataku, ale możliwość ratunku, w który człowiek przestał już wierzyć, dodała mu sił na tyle, że zdołał znaleźć się w bezpiecznym *callejón* o dobre dwie sekundy wcześniej nim zwierzę z całym impetem rąbnęło w ogrodzenie. Bowman zdjął sponiewieraną czapkę przytrzymywaną przez gumkę, nasadził ją na róg byka i ruszył ku Cecile, mijając zamienionego w słup soli Czerdę. Widownia rozstępowała się przed nim, wiwatując głośno. Jego zejście z areny było tak niespodziewane, iż większość widzów uważała to za dalszy ciąg przedstawienia i czekała, co też będzie dalej. Bowmana nie interesowała reakcja publiczności – ważne było to, że ułatwiała przejście, a zamykała drogę za nim, a to dawało mu dodatkowe sekun

dy przewagi nad pościgiem. Dotarł wreszcie na samą górę i złapał dziewczynę za

ramię.

–Uwielbiam twoje wyczucie czasu – zachrypiał, z trudem łapiąc powietrze i obejrzał się.

Niestety, Czerda już wyszedł z szoku i przedzierał się na oślep przez tłum, wywołując okrzyki protestu. El Brocador także parł w górę. Tylko Searla nigdzie nie zauważył. Bowman wraz z Cecile zbiegli na dół. Przez jedną z licznych dziur w kostiumie Bowman sięgnął do kieszeni spodni i wyciągnął kluczyki od citroena. Gdy ostrożnie wyjrzał zza ostatniego z przylegających do areny budynków, zaklął pod nosem i podał je Cecile, mówiąc:

–To nie jest dla nas zbyt szczęśliwy dzień. Ten Cygan, któremu przyłożyłem, Maca, siedzi na masce i czyści sobie paznokcie, takim nożem. – Otworzył drzwi do najbliższej garderoby i wepchnął tam dziewczynę. – Poczekaj tu, aż widzowie zaczną wychodzić, zmieszaj się z tłumem i wsiądź do samochodu. Spotkamy się przy południowym narożniku kościoła w Saintes-Maries. To ten od strony morza. Tylko, na litość boską, zaparkuj wóz gdzieś dalej, najlepiej na dużym parkingu po wschodniej stronie miasta.

–Rozumiem – odparła zadziwiająco spokojnie. – A ty, jak zwykle, masz do załatwienia kilka niecierpiących zwłoki spraw?

–Jak zwykle – zgodził się, wyglądając przez uchylone drzwi. Nikogo nie ma, a więc do zobaczenia. Cztery druhny – rzucił na odchodne i wymknął się za drzwi.

Trójka więźniów leżała cicho, na pozór nie zwracając uwagi. Lila też była spokojna, tylko od czasu do czasu pociągała nosem. Księżę chodził tam i z powrotem, gdy do środka wpadł zdyszany Searl.

–Mam nadzieję – zagrzmiał na jego widok de Croytor – że nie przynosisz złych wieści.

–Widziałem dziewczynę – wysapał Searl – jak ona...

–Do diabła! Pasy z ciebie zedrę i z tego cymbała Czerdy, jeśli Bowman jest martwy... – nagle przerwał i wpatrywał się w coś za plecami Searla. – Wielkie nieba! Kto to jest?

Searl obrócił się czym prędzej i spojrzął za wyciągniętym palcem księcia. Wskazywał on błazna w podartym i uwalanym ziemią biało-czerwonym stroju, który zataczając się na wół szedł, na wół biegł przez zaimprovizowany parking.

–To właśnie Bowman! – krzyknął zaskoczony Searl.

Zza ostatnich szop, służących za garderoby, wypadły trzy osoby, a jedną z nich był Czerda. Wszystkie gnały ile sił za błaznem, błyskawicznie zmniejszając dzielący ich dystans. Bowman obejrzał się, dostrzegł pogoń i prysnął między parkujące wozy i przyczepy. Wyjrzał po chwili zza jednej z nich, stwierdził, że drogę blokuje mu El Brocador i dwóch innych Cyganów, więc skręcił w prawo, kierując się ku grupie koni przywiązanych do płotu. Były to białe wierzchowce z Camargue w typowej dla tej okolicy uprzęży z ciężkimi i wysokimi siodłami, przypominającymi skórzane krzesła. Podbiegł do najbliższego, odwiązał go, wsadził stopę w dziwnie zdobione strzemię i z wysiłkiem wsiadł na konia.

–Szybko! Łap Czerdę i powiedz mu, że jeśli Bowman ucieknie, to wam dwóm się to nie uda – poleciał książę Searlowi. – Ale chcę go żywego. Jeśli go zabijecie, zapłacicie za to, a wiesz, że nie żartuję. Chcę, żebyście za godzinę dostarczyli go do hotelu Miramar w Saintes-Maries, bo już nie mogę tu dłużej zostać. I tak straciłem przez was mnóstwo czasu. I nie zapomnijcie przy okazji złapać tej panienki. Może się nam jeszcze przydać. Na co jeszcze czekasz?

Searl pognał, jakby mu skrzydła wyrosły. Ledwie znalazł się na drodze, musiał gwałtownie uskoczyć, by nie zostać stratowanym przez wierzchowca, którego dosiadał Bowman. Sądząc z tego, jak się on chwia w siodle, to gdyby nie kulbaka, której kurczowo się trzymał, spadłby natychmiast. Mimo charakterystyki można było dostrzec, że jest blady i wyczerpany, a twarz wykrzywia mu grymas bólu. Wielki książę widział to wszystko. Podobnie jak Lila, która stanęła obok niego i powiedziała cicho:

–Dotąd tylko słyszałam, teraz mam okazję zobaczyć, jak wygląda zaszczucie kogoś na śmierć – w jej głosie nie było już łez, tylko żal i niedowierzenie.

Le Duc położył dłoń na ramieniu dziewczyny. – Zapewniam cię, moja droga...

Nagłym gestem strąciła jego rękę, nie odzywając się słowem. Nie musiała zresztą, wstręt i pogarda były wyraźnie widoczne na jej twarzy. De Croytor skinął w milczeniu głową, odwrócił się i zajął obserwacją Bowmana, dopóki nie zniknął za zakrętem drogi prowadzącej na południe.

Nie tylko książę oglądał z zainteresowaniem odjazd Bowmana. Cecile z twarzą przyciśniętą do niewielkiego okienka garderoby śledziła, a

wzrokiem białego konia, póki nie zniknął jej z oczu. Wiedziała, że ruszy za nim pogoń. I nie myliła się. W ciągu trzydziestu sekund przegalopowało kolejno pięciu jeźdźców: Czerda, Ferenc, El Brocador, Searl i ktoś, kogo nie zdołała rozpoznać. Bliska łez i załamana odwróciła się od okienka i zabrała za przeglądanie kostiumów wiszących na wieszakach.

To, czego szukała, znalazła niemal natychmiast – kostium błazna składający się z szerokich czerwonych spodni z żółtymi szelkami, czerwono-żółtej pasiastej koszulki i obszernej bluzy. Ubrała się, upychając suknię w spodnie, które dzięki temu nabrały bufiastego wyglądu, następnie zdjęła perukę, nałożyła zieloną czapkę i wróciła do okna. Nie było nigdzie lustra, ale zdecydowanie woląla siebie teraz nie oglądać.

Pokazy na arenie musiały dobiec końca, gdyż tłum wypełnił drogę i parking. Podeszła do drzwi – na zewnątrz było sporo ludzi. Ubrana była tak, że nikt nie powinien jej rozpoznać, a w dodatku ci, których bała się najbardziej, gonili właśnie Bowmana. Miała teraz najlepszą okazję dotarcia niepostrzeżenie do Citroëna.

Na zewnątrz rozejrzała się dyskretnie, ale nikt się nią nie interesował. Podeszła do samochodu, otworzyła drzwi i jeszcze raz rzuciła okiem dokoła. Pusto. Zadowolona wsiadła, włożyła kluczyk w stacyjkę i wrzasnęła. Był to bardziej krzyk przerażenia niż bólu, gdyż wielka łapa chwyciła jej szyję jak kleszcze.

Ucisk nieco zelżał, toteż ostrożnie obejrzała się – na podłodze za fotelem klęczał Maca uśmiechając się złowrogo. W prawej dłoni dość wymownie trzymał nóż.

Rozdział dziewiąty

Popołudniowe słońce bezlitośnie prażyło wyschniętą równinę. Stawy, bagna i solanki, jak też skrawki roślinności, kontrastujące z okolicą. Drgające z gorąca powietrze, typowe dla Camargue zacierało granice i szczegóły, nadając krajobrazowi dziwnie nierzeczywisty wygląd. Brak jakichkolwiek wzniesień jeszcze potęgował to wrażenie. Wszystkie równiny są płaskie, ale żadna nie jest tak płaska jak Camargue.

Przez te tereny galopowało kilku jeźdźców, nie szcędząc koni, choć z powietrza ich metoda posuwania się do przodu musiała wyglądać trochę dziwacznie. Rzadko kiedy bowiem posuwali się o więcej niż dwadzieścia metrów w linii prostej; ciągle coś objeżdżali i wymijali. Patrząc z ziemi stawało się to zrozumiałe – teren był usiany niewielkimi bagienkami: od parumetrowych do większych niż boisko piłkarskie, co skutecznie utrudniało posuwanie się do przodu.

Pościg miał przewagę, z której Bowman doskonale zdawał sobie sprawę. Po pierwsze, był skrajnie wyczerpany, a ta dziwaczna jazda nie pozwalała odpocząć, ani zebrać myśli. Po drugie: goniący znali dobrze okolicę, podczas gdy on był tu po raz pierwszy w życiu. A po trzecie: choć był niezłym jeźdźcem, to miał świadomość, że nie dorównuje doświadczeniem ani umiejętnościami Cyganom, niemalże urodzonym w siodle.

Wciąż poganiał zmęczonego wierzchowca, nie próbując nawet nim kierować. Zdał się na doświadczenie i instynkt konia, który znacznie lepiej niż jeździec wiedział, gdzie grunt jest stały, a gdzie tylko na taki wygląda. Już wcześniej stracił cenne

sekundy starając się zmusić zwierzę, by szło tam, gdzie on chciał, a koń i tak postawił na swoim.

Bowman obejrzał się. Sytuacja była beznadziejna. Gdy opuszczali Mas de Lavignolle, miał kilkaset metrów przewagi. Teraz zmalała ona do nieco powyżej pięćdziesięciu. Pościg rozsypał się na kształt wachlarza, w centrum którego znajdował się El Brocador udowadniający, że nie tylko jest doskonałym jeźdźcem, lecz także świetnie zna okolicę; od

czasu do czasu wykrzykiwał polecenia, pokazując kierunek, w którym dany jeździec powinien pojechać, by uniknąć kłopotów. Z lewej miał Czerdę i Ferencę, z prawej – Simona Searla (nadal w sutannie, co stanowiło niecodzienny zgoła widok) i piętego Cygana, którego Bowman nie znał.

Przed nimi aż po horyzont rozciągało się pustkowie – żadnych domów, samotnych jeźdźców, nic. Bowman zdawał sobie sprawę, że pościg wolno, ale stale kieruje go coraz bardziej na zachód, odpychając od szosy Arles – Saintes-Maries, która leżała teraz na horyzoncie i to w takiej odległości, że jadące nią samochody wielkością przypominały czarne żuki.

Bowman obejrzał się ponownie – pościg był już nie więcej niż trzydzieści metrów z tyłu; teraz jeźdźcy tworzyli linię prostą i skręcając w lewo, zmuszali go do odbicia w prawą stronę. Zdawał sobie sprawę, że mają w tym jakiś cel, ale nie mógł go odgadnąć. Teren przed nimi wyglądał tak samo jak ten, który zostawił z tyłu. Jedyną różnicą była połać zieleni o wymiarach sto na trzysta metrów, niczym zresztą nie różniąca się od wielu innych, które minął na ostatnich kilku kilometrach.

Tymczasem wierzchowiec miał już dosyć jazdy. Cały spieniony z trudem łapał powietrze. Był równie wyczerpany jak i jeździec. Dwieście metrów z przodu rozciągało się zapraszająco zielone torfowisko, równe i miękkie, zupełnie jakby stworzone do niedzielnego pikniku. Bowman doszedł do wniosku, że ma dość – koniec tej ucieczki był łatwy do przewidzenia. Właściwie mógłby się poddać, problem polegał na tym, że nie bardzo wiedział, jak się do tego zabrać.

Znów się obejrzał – pościg ponownie przybrał kształt półksiężyca, a najbliższych jadących na skrzydłach dzieliło od niego nie więcej niż dziesięć metrów. Czerda mógł spokojnie go zastrzelić, ale z jakichś sobie wiadomych powodów tego nie robił. Co więcej – nie tylko on; ale i pozostali zaczęli zwalniać i to ostro. Bowman zorientował się, że coś jest nie w porządku, ale zanim zdołał cokolwiek zrobić, wierzchowiec nagle się zatrzymał, niemal przysiadając na zadzie tuż przed pasem zieleni, zaś jeździec został wyrzucony z siodła, przeleciał nad końskim łbem i z głośnym plaśnięciem wylądował na zielonej łączce.

Powinien co najmniej stracić przytomność albo i złamać kilka żeber czy skręcić

kark, no w najlepszym wypadku ogólnie się potłuc. Nic z tego nie nastąpiło, ponieważ to nie była łączka, tylko bagienko. Bowman wylądował w nim miękko i łagodnie, unikając jakichkolwiek obrażeń. I natychmiast zaczął tonąć.

Jeźdźcy powoli zbliżyli się, zatrzymali i z obojętnym zainteresowaniem obserwowali rozwój wydarzeń. Bowman przybrał pozycję pionową; stał nieco pochylony ku przodowi zanurzony po uda w grzęzawisku. Od twardego gruntu dzieliło go nieco powyżej metra, lecz nie mógł tam dotrzeć mimo rozpaczliwych wysiłków. Jeźdźcy nawet nie drgnęli, obserwując jego skazane na fiasko próby. Na ich kamiennych twarzach nie było nawet śladu jakichkolwiek uczuć.

Szarpanina miała jeden skutek – Bowman zaczął się szybciej zapadać i zanurzył się już po pas. Dla odmiany spróbował powolnych pływackich ruchów, co spowolniło proces tonięcia, ale go nie zatrzymało. Zapadał się teraz znacznie wolniej, lecz niepowstrzymanie.

Spojrzał na swych prześladowców. Ich twarze nie były już nieruchome, choć malowały się na nich zadziwiająco podobne uczucia. Czerda uśmiechał się zadowolony, Searl oblizywał wargi, wszyscy zaś wlepili w niego wzrok. Bowman nie próbował wzywać pomocy czy prosić o ratunek; na jego twarzy nie było śladu strachu. Bał się w nocy w Les Baux, jeszcze bardziej na arenie w Mas de Lavignolle, ale teraz już nie. Poprzednio istniała szansa lub cień szansy na przeżycie, zależna od jego pomysłowości czy zręczności. Tym razem doświadczenie, refleks, siła czy wytrzymałość były całkowicie bezużyteczne. Nic nie mógł zrobić i sam w żadnym wypadku nie był w stanie wydostać się z bagna.

Gdy Bowman zapadł się po pachy, El Brocador poruszył się. Spojrzał na pozostałych z obrzydzeniem i odczepił od siodła zwiniętą linę.

–Z takim przeciwnikiem nie godzi się w ten sposób postępować oznajmił. – Wstyd mi za nas wszystkich.

I wprawnym ruchem rzucił linę tak, że wylądowała dokładnie pomiędzy wyciągniętymi ramionami Bowmana.

Gdyby ktoś chciał zainteresować turystów Saintes-Maries, miałby spore trudności z wymienieniem uroków głównej ulicy tej miejsciny, która biegnie ze wschodu na zachód wzdłuż brzegu morza, całkowicie zresztą niewidocznego zza wysokiej skalnej ściany. Podobnie jak całe miasteczko, jest ona pozbawiona artystycznych, architektonicznych czy krajobrazowych atrakcji, choć w to akurat popołudnie jej monotonia i szarzyzna były urozmaicone tłumem barwnie ubranych turystów, Cyganów *i guardians*, oblegających jarmarczne budy, strzelnice i stragany.

Nie był to widok, który mógłby sprawić radość komuś o tak arystokratycznej duszy

jak wielki książę. Mimo to siedział on w ogrodzie

kawiarni hotelu Miramar, przyglądając się ulicy z wyrazem twarzy mocno zbliżonym do życzliwości. Co dziwniejsze, zwłaszcza przy jego niedemokratycznych zasadach, obok niego, przy tym samym stoliku siedziała Carita. Książę przelał większą część litrowej karafki czerwonego wina do stojącego przed nim kielicha, nalał naparstek dziewczynie i z uśmiechem spojrzał na trzymany w dłoni telegram. Widać było, że w dobry humor wprawiły księcia otrzymane właśnie wiadomości.

–Doskonale, moja droga – oznajmił. – Spisałaś się doskonale, a oni faktycznie zadziałali szybko. Cieszy człowieka, gdy się upewni, że żywił słuszne podejrzenia. I to w stu procentach słuszne.

–Zawsze ma pan rację, książę.

–Co? A, tak. Naturalnie. Nalej sobie wina, jeśli chcesz, moja droga. Chwilowy brak zainteresowania telegramem i Caritą spowodował widok czarnego mercedesa, który właśnie podjechał do krawężnika. Z samochodu wysiadło znane mu już azjatyckie małżeństwo i skierowało się ku wejściu do hotelu. Gdy mijali stolik wielkiego księcia, Chińczyk skłonił się, a jego żona uśmiechnęła leciutko. De Croytor z powagą odwzajemnił ukłon i obserwował, jak znikają za drzwiami hotelu.

–Wkrótce powinien się tu zjawić Czexda z Bowinanem – zwrócił się do Carity – ale zdecydowałem, że nie jest to odpowiednie miejsce na spotkanie; stanowczo zbyt tłoczno tutaj. Półtora kilometra na północ za miastem jest duża bocznica. Każ Czerdzie tam się zatrzymać i poczekać, a sama przyjeźdź tu po mnie.

Dziewczyna uśmiechnęła się i wstała, lecz de Croytor zatrzymał ją i dodał:

–Jeszcze drobiazg: muszę pilnie zadzwonić i to w ciszy i spokoju. Powiedz dyrektorowi, że chcę się z nim zobaczyć. Natychmiast.

Le Hobenaut, Tangavec i Daymel nadal byli przykuci do ściany. Bowman w stroju guardian, mokrym i podartym leżał na podłodze z zęboma związanymi na plecach. Cecile i Lila siedziały na ławeczce pod czujnym okiem Ferenca i Masaine'a. Czerda, El Brocador i Searl z ponurymi minami w milczeniu zasiedli przy stole. Nastrój ich się pogorszył, gdy dobiegły ich z zewnątrz ciężkie kroki. Po chwili drzwi się otworzyły i de Croytor wkroczył jak zwykle majestatycznie do środka. Spojrzał chłodno na siedzących mężczyzn.

–Musimy się spieszyć – oznajmił stanowczo. – Dostałem telegram informujący, że policja zaczyna coś podejrzewać. Dzięki tobie, Czerda,

i temu niezdarnemu głupcowi, Searlowi, być może są już na naszym tropie. Czyś ty oszalał?

–Nie rozumiem, co pan ma na myśli... – wyjąkał Czerda.

–Właśnie. Niczego nie rozumiesz. Miałeś zamiar zabić Bowmana, zanim miałem okazję dowiedzieć się, jak zdołał wpaść na nasz trop, z kim się kontaktował i gdzie jest moje osiemdziesiąt tysięcy franków. Co gorsza, chciałeś go zabić publicznie, ty durniu. Nie przyszło ci do głowy, jaką wrzawę wywoła taka śmierć? Ja zawsze działałam dyskretnie i po cichu.

–Wiemy, gdzie są pieniądze – Czerda próbował nieśmiało się tłumaczyć.

–Naprawdę? Mnie się wydaje, że ponownie dałeś się wystrychnąć na dudka, ale to może poczekać. Czy wiesz, co cię czeka, jeśli wpadniesz w ręce francuskiej policji? Co, mowę ci odebrało? Przy obecnie obowiązującym prawie porywacz nie ma co liczyć na mniej niż dziesięć lat więzienia. A jeśli zdołają ci udowodnić zamordowanie Aleksandra...?

Książę nie musiał kończyć. Sądząc z wyrazu twarzy Cyganów, doskonale wiedzieli, co ich spotka przy tak niefortunnym rozwoju wydarzeń. – Doskonale – oświadczył de Croytor. – Od tej chwili wasze życie

i przyszłość zależą od dokładnego wykonywania moich poleceń. Nie jest wykluczone, że zdołam jeszcze naprawić to, co zniszczyliście własną głupotą. Czy wszystko jest zrozumiałe?

Odpowiedziało mu pięć pospiesznych przytaknięć. Nikt nawet nie próbował się odezwać.

–W porządku. Rozkuć tych trzech i rozwiązać Bowmana – zarządził de Croytor. – Jeśli policja znajdzie ich powiązanych i skutych..., no cóż, wtedy wszystko przepadło. Teraz musicie lepiej ich pilnować, macie przecież broń i noże. Dalej, sprowadźcie tu płeć piękną. Chcę mieć wszystkie jajka w jednym koszu. Teraz Searl przedstaw nasze plany, krótko i prosto, żeby nawet największy matoł zrozumiał, o co nam chodzi. Aha, i niech no który przyniesie mi piwa.

Searl odchrząknął odruchowo i przestał się uśmiechać. Arogancja i pewność siebie, z jaką rankiem rozmawiał z Czerdą w namiocie-konfesjonale, zniknęły, jakby nigdy nie istniały.

–Spotkanie w dowolnym czasie pomiędzy ostatnią nocą a nocą poniedziałkową. Szybka motorówka czeka w...

Książę westchnął ciężko i uniósł dłoń.

–Powiedziałem: "Krótko i prosto", Searl. Zrozumiałeś? Spotkanie gdzie, ośle? Z kim?

–Przepraszam – wykrztusił upomniany przelitykając nerwowo ślinę. – Spotkanie w zatoce Aigues-Mortes w pobliżu Palavas z frachtowcem “Canton”.

–Który płynie do...?

–Kantonu. Sygnałem rozpoznawczym jest... – Daruj sobie. Motorówka?

–Czeka w Aigues-Mortes na kanale du Rhône a Sete. Miałem kazać jej przyplłynąć jutro do Le Grau-du-Roi. Nie pomyślałem... nie...

–Ty nigdy nie myślisz – westchnął de Croytor. – Dlaczego tych bab jeszcze tu nie ma? A ci jeszcze w kajdankach! Weźcie się wreszcie do roboty.

Po raz pierwszy się odprężył i lekko uśmiechnął.

–Założę się, że nasz przyjaciel Bowman nadal nie wie, kim są nasi więźniowie. Co, Searl?

–Mam mu powiedzieć? – spytał ochoczo zagadnięty, któremu rola chłopca do bicia dopiekła już do żywego.

–Proszę bardzo – mruknął książę, łapiąc za piwo. – Teraz to i tak nie ma znaczenia.

–Naturalnie – zgodził się pośpiesznie Searl. – Wobec tego mam zaszczyt przedstawić hrabiego le Hobenaut, Henri Tangaveca i Serge'a Daymela. Trzech czołowych ekspertów w dziedzinie paliwa raketowego zza żelaznej kurtyny. Chińczycy są gotowi dać za nich każdą cenę, bo jak dotąd nie udało im się skonstruować rakiety zdolnej przenosić głowice jądrowe. Dzięki tej trójce będą w stanie to zrobić, tyle że nie ma możliwości przedostać się najkrótszą drogą, czyli przez sowiecko-chińską granicę. Znalezienie kraju neutralnego, na tyle przychylnego obu mocarstwom, by dokonać tam transakcji jest także niemożliwe. A więc Czerda po prostu wywiózł ich na Zachód. Nikt nie podejrzewa, by uciekli tutaj, gdzie jest wielu takich specjalistów. Cyganów na granicach nikt nie kontroiuje. Gdyby zaś obecnej tu trójce przyszło coś do głowy, jako zakładniczki mamy ich żony i dzieci, które za to zapłacą. Gdyby zaś one miały takie pomysły, to zginą ich mężowie lub ojcowie.

–A przynajmniej to miały zapowiedziane kobiety – dodał pogardliwie książę. – Ostatnią rzeczą, jakiej byśmy sobie życzyli, to wyrządzić krzywdę tu obecnym. Baby jak to baby, uwierzą we wszystko. Prostota, że się tak wyrażę o własnym umyśle, cechuje prawdziwie genialne pomysły. A, są i niewiasty! W takim razie ruszamy do Aigues-Mortes. Czerda, powiedz w innych wozach, że spotkacie się rano w Saintes-Maries. Lila, idziemy, moja droga.

–Co? – Lila patrzyła nań z odrazą. – Oszalałeś. Ja mam gdzieś z tobą iść?

–Trzeba dbać o pozory, a teraz bardziej niż dotychczas. Kto będzie podejrzewał mężczyznę z tak piękną młodą dziewczyną u boku? Poza tym jest piekielnie gorąco, i potrzebuję kogoś do trzymania mojego parasola.

Godzinę później nadal wściekła Lila opuściła parasol, gdy zielony rolls-royce wjechał w cień murów Aigues-Mortes, będącego najlepiej zachowanym miastem z okresu wypraw krzyżowych. Wielki książę wysiadł dostojnie i poczekał, aż Czerda podjedzie obok.

–Zostań tu, nie zabawię długo – polecił mu i wskazał głową samochód: – Uważaj na pannę Delafont. Niech nikt się nie pokazuje, i to pod żadnym pozorem.

Książę spojrział na pustą drogę do Saintes-Maries i podążył ku północnej bramie wiodącej do miasta. Zaraz za nią skręcił w prawo na parking i przysiadł za katarynką na kółkach. Obsługujący ją starzec, mimo gorąca opatulony w dwa płaszcze i kapelusz, skrzywił się na jego widok. Wielki książę dał mu dziesięć franków i stary spojrział na niego życzliwiej, żwawo zlął ze stołka, włączył urządzenie i zakręcił korbą. Rozległy się skrzeczące dźwięki przypominające walca, lecz żaden żyjący czy zmarły kompozytor, nie rozpoznałby w nich swego utworu. Książę skrzywił się lekko, ale nie ruszył się z miejsca.

Nie musiał na szczęście długo czekać; po dwóch minutach przez bramę przejechał czarny mercedes i zatrzymał się na parkingu. Wysiadła z niego orientalna para i nie rozglądając się na boki, pospieszyła ku głównej ulicy. Była to co prawda także jedyna ulica miasteczka prowadząca do niewielkiego rynku, wokół którego usadowiły się niewielkie kawiarenki. De Croytor wolno ruszył za nimi, zachowując bezpieczną odległość.

Chińczycy doszli do rynku i zatrzymali się na rogu, przy sklepiku z pamiątkami, w pobliżu figury świętego Ludwika. W tej samej chwili czterech potężnie zbudowanych mężczyzn podeszło do nich. Jeden pokazał coś Chińczykowi, ten zaczął gwałtownie protestować, ale oni tylko potrząsnęli przecząco głowami i odprowadzili oboje do czekających w pobliżu citroenów.

De Croytor skinął głową z wyraźnym zadowoleniem i wrócił spokojnie do samochodu.

Po minucie znalazł się na niewielkim moło na kanale du Rhône ~ Sete, który łączy Rodan z Morzem Śródziemnym w Le Grau-du-Roi i biegnie

równoległe do zachodniej ściany Aigues-Mortes. Do nabrzeża była przycumowana dziesięciometrowa motorówka z dużą oszkloną kabiną i niewiele mniejszą sterówką. Sądząc ze smukłego kształtu dziobu, była to nadzwyczaj szybka łódź.

Rolls i wóz cygański zjechały z drogi i ustawiły się tak, że wyjście z przyczepy

znajdowało się kilkanaście metrów od motorówki. Transport więźniów został wykonany szybko, sprawnie i tak, aby nie wzbudzić podejrzeń nawet chorobliwie wścibskiego przechodnia, choć najbliższym świadkiem wydarzeń był oddalony o sto metrów wędkarz, zajęty wyłącznie własnym sławikiem.

Ferenc i Searl stanęli przy trapie na molo. Obaj mieli broń, której nawet nie starali się ukryć. Na pokładzie znajdowali się Czerda i książę, także uzbrojeni. Najpierw na łódź weszli naukowcy, potem ich rodziny, a na końcu Bowman, Cecile i Lila.

Więźniowie zajęli miejsca na siedzeniach usytuowanych po bokach kabiny. Searl i Ferenc weszli do sterówki, zaś książę i Masaine zostali na pokładzie i rozglądali się przez chwilę, czy nikt ich nie obserwuje. Wkrótce de Croytor schował broń i wszedł do kabiny, zacierając ręce z zadowolenia.

– Doskonale – oznajmił radośnie. – Wszystko zgodnie z planem. Searl! Włącz silniki!
– Wsunął głowę przez drzwi i krzyknął: – Masaine, rzuć cumy!

Searl wcisnął starter i para diesli odezwała się głębokim pomrukiem, który nie był jednak na tyle głośny, by zagłuszyć okrzyk bólu, jaki wydał de Croytor nadal wyglądający przez drzwi.

– To twój własny pistolet wycelowany w twoją nerkę – poinformował go uprzejmie Bowman. – Nikt się nie rusza albo jesteś txupem.

Z miejsca gdzie stał, widział Ferencę, Czerdę, Searla i El Brocadora. Przynajmniej trzech z nich było uzbrojonych.

– Każ Searlowi wyłączyć silniki – polecił Bowman.

Searl spełnił to żądanie, nie czekając nawet na powtórzenie polecenia przez wielkiego księcia.

– Niech Masaine tu przyjdzie – padł następny rozkaz. – I powiedz mu, że mam broń wycelowaną w twoją nerkę, więc niech się pośpieszy, bo pociągnę za spust.

– Nie ośmielisz się! – zaprotestował de Croytor.

– Nic ci nie będzie – pocieszył go Bowman. – Można żyć z jedną nerką.

Szturchnął księcia lufą dla podkreślenia, że nie żartuje, toteż de Croytor jęknął i zawołał:

– Masaine! Chodź tu i odłóż broń. Bowman we mnie celuje.

Po kilku sekundach w drzwiach ukazał się Masaine. Ponieważ myślenie nie było

jego mocną stroną, nie bardzo wiedział, co ma robić. Na widok Searla, Czerdy, Ferencza i El Brocadora stojących bezradnie stwierdził, że on także nie powinien nic robić. Wszedł więc spokojnie do kabiny.

–Skoro jesteśmy w komplecie, można przejść do spraw delikatniejszej natury, jak dajmy na to równowaga sił – stwierdził dość swobodnie Bowman.

Był blady i wyczerpany, a choć obolały i potłuczony, to jednak w porównaniu z samopoczuciem, jakie miał dwie godziny temu, teraz czuł się doskonale.

–Pytanie brzmi: jaką władzę mam nad wami, stojąc tu z bronią w ręku? Do czego mogę was zmusić?

Nagłym szarpnięciem przesunął de Croytora w bok i patrzył, jak ten ciężko opada na kanapę. Była ona solidnie wykonana, gdyż nie załamała się pod nagłym a solidnym obciążeniem. Wielki książę spojrzał na niego z wściekłością, lecz na Bowmanie nie wywarło to żadnego wrażenia.

–Patrząc na ciebie, aż trudno uwierzyć, że jesteś najinteligentniejszy z całej tej bandy – ciągnął Bowman, spoglądając na księcia. – Nie mówię naturalnie o wielkiej inteligencji. Jestem uzbrojony i broń trzymam w ręku. W tym pomieszczeniu znajdują się jeszcze co najmniej cztery osoby wyposażone w pistolety, a choć mają je schowane, to wyjęcie nie potrwa długo. Jeśli dojdzie do strzelaniny, to mam raczej minimalne szanse, by zastrzelić was wszystkich, zanim któryś mnie trafi. Prawdopodobnie zdąży to zrobić dwóch z was. Nie jestem zawodowym rewolwerowcem. W dodatku tutaj znajduje się osiem niewinnych osób, dziewięć licząc mnie, a strzelanina w takim zamkniętym pomieszczeniu może oznaczać rany, a może i śmierć kilku z nich. Nie chcę tego, tak jak i sam wolałbym nie zarobić kuli.

–Przejdź może łaskawie do rzeczy – warknął wielki książę.

–Przecież to proste. Nie mogę od was wymagać zbyt wielkich ustępstw, jeśli chcemy uniknąć strzelaniny. A chcemy, prawda? Jeśli na przykład zażądam, żebyście oddali broń cicho i spokojnie wiedząc, że oczekują was długoletnie wyroki więzienia, jeśli nie kara śmierci za morderstwo, to czy tak postąpicie? Nie wierzę w to. Jeśli powiem, że pozwolę wam odejść, ale naukowcy i ich rodziny zostają, to czy się na to zgodzicie? Wątpię. Byli przecież świadkami waszych przestępstw, co automatycznie robi z was osoby poszukiwane w całej Europie Zachodniej, a na wschodzie będziecie mieli szczęście, jeśli skończycie w obo-

zie na Syberii. Komuniści nie będą mieli litości dla porywaczy ich najlepszych naukowców. Krótko mówiąc, nigdzie w Europie nie moglibyście się pokazać. Pozostaje "Canton" i droga do Chin. Osobiście wątpię, czy życie w Chinach spodoba się wam tak bardzo, jak podoba się Chińczykom. Nie chce mi się wierzyć, że

zaryzykujecie życie, by nie pozwolić na odejście moje i tych dwóch dziewcząt. To przecież tylko głupiutkie romantyczne turystki, które myślały, że się trochę zabawią. Przyznaję, że mógłbym wam zaszkodzić, ale niewiele bym osiągnął. Cóż znaczy moje słowo przeciwko waszemu. Nie mam nawet cienia dowodu, żeby was oskarżyć o morderstwo w jaskini. Naukowcy z rodzinami, czyli żywe dowody, będą w połowie drogi do Chin, zanim zdołam cokolwiek zrobić. No więc?

–Wcale rozsądne myślenie – przyznał z ociąganiem książę. – Gdybyś próbował uciec lub uwolnić naukowców i ich rodziny, nie wyszedłbyś stąd żywy. Ty i te dwie idiotki to inna sprawa. Nie chcę ryzykować życia naukowców czy moich ludzi.

–Albo i twojego – dodał Bowman. – Ta możliwość nie uszła mojej uwagi.

–A ty jesteś gwarancją numer jeden naszego bezpieczeństwa – uśmiechnął się Bowman.

–Tak też myślałem – de Croytor wstał z widocznym ociąganiem. – Nie podoba mi się to – oznajmił zdecydowanie Czerda. – Co jeśli...

–Chcesz jako pierwszy przenieść się w zaświaty? – spytał zmęczonym tonem książę. – Zostaw myślenie mnie.

Czerda najwyraźniej miał na ten temat własne zdanie, ale posłusznie zamilkł. Na znak Bowmana obie dziewczyny opuściły kabinę, przeszły przez pokład i trap. Gdy znalazły się na molo, Bowman ruszył za nimi. Szedł tyłem, trzymając pistolet wymierzony w brzuch de Croytora. Przed trapelem polecił dziewczętom:

–Ukryjcie się!

Odczekał dziesięć sekund, a następnie polecił de Croytorowi: – Odwróć się!

Ten posłusznie wykonał polecenie. Bowman popchnął go silnie na pokład, a sam zbiegł na dół i padł plackiem na ziemię. Bał się, że któryś z Cyganów nie wytrzyma i sięgnie po broń. Nikt jednak nie strzelał, nikt nawet ich nie gonił. Bowman podniósł głowę i usłyszał warkot silników.

Motorówka była już dwadzieścia metrów od pomostu i nadal przyspieszała. Czym prędzej wstał i podbiegł do rolls-royce'a, a Cecile i Lila za nim. Carita spojrzała na nich zaskoczona.

–Wysiadaj! – polecił jej Bowman.

Zanim zdołała zaprotestować, gwałtownie otworzył drzwi i wysadził ją z samochodu. Sekundę potem sam siedział za kierownicą.

–Czekaj! – ocknęła się Cecile. – Zaczekaj! Jedziemy z...

–Nie tym razem – sprzeciwił się Bowman i niespodziewanie wyrwał jej torebkę dodając, zanim zdążyła otworzyć usta. – Idź do miasta. Zadzwoń na policję w Saintes-Maries, powiedz im, że w zielono-białym cygańskim wozie jest ranna. Wóz parkuje o półtora kilometra na północ od miasta. I niech się lepiej pośpieszą, bo trzeba ją jak najszybciej umieścić w szpitalu. Nie przedstawiaj się, nie mów im nic więcej, po prostu odłóż słuchawkę. – Spojrzał na Lilę i Caritę: – One dwie wystarczą na początek.

–Do czego? – zdziwiła się Cecile. – Na druhny.

Droga pomiędzy Aigues-Mortes a Le Grau-du-Roi ma ledwie parę kilometrów długości i przez większą część biegnie równoległe do kanału, oddalona od niego zaledwie około metra. Jediną granicą, o ile to można tak szumnie nazwać, były wysokie zarośla. Przez nie właśnie Bowman dostrzegł motorówkę, znajdującą się jakieś sto metrów przed nim. Płynęła z niedozwoloną szybkością, rozpryskując wysoko wodę. Rufa była głęboko zanurzona w wodzie, a dziób mocno zadarty do góry. Fala, wywołana poruszaniem się łodzi, kołysała wodą kanału, omywając wysoko oba jego brzegi.

Za sterem stał Searl. Masaine, El Brocador i Ferenc siedzieli w kabinie, uważnie obserwując więźniów, a de Croytor i Czerda w wejściu cicho rozmawiali. Czerda był zdecydowanie nieszczęśliwy.

–A skąd mam pewność, że on nam nie może zaszkodzić? – spytał. – Bo to prawda – upływ czasu działał kojąco na pewność siebie księcia.

–Przecież pójdzie na policję...

–I co z tego? Słyszałeś, co powiedział, a mówił wyjątkowo logicznie. Jego zeznania przeciwko naszym? Żaden sąd nam nic nie zrobi, a dowody będą już na statku w drodze do Chin. Nie będą w stanie niczego nam udowodnić.

–Nadal mi się to nie podoba – Czerda był wyjątkowo uparty. Myślę, że...

–Myślenie to ty lepiej zostaw mnie – przerwał mu niezbyt uprzejmie de Croytor. – Dobry Boże!

Rozległ się strzał, brzęk tłuczonej szyby i wrzask bólu Searla, który puścił koło sterowe i złapał się za lewe ramię. Łódź skręciła gwałtownie w stronę lewego brzegu i gdyby nie Czerda, uderzyłaby w niego z całą siłą. Mimo że najstarszy, błyskawicznie dopadł koła sterowego i ostro nim zakręcił. Udało mu się uniknąć zderzenia, a motorówka tylko otarła się burtą o cementowe nabrzeże. Wszyscy poza nim znaleźli się błyskawicznie na podłodze. W tym momencie Czerda zerknął przez przestrelone

boczne okienko i dostrzegł Bowmana za kierownicą rolls-royce'a jakieś pięć metrów od łodzi. W dodatku celował w nich z pistoletu, który zabrał de Croytorowi.

–Padnij! – ryknął Czerda. – Na pokład!

Znów huknęło. Rozprysnęło się tłuczone szkło, ale tym razem nikt nie został trafiony. Czerda przyklęknął, zmniejszył gaz i oddał ster Masaine'owi, który zdołał już dotrzeć do sterówki. Sam zaś dołączył do Ferenca i de Croytora, którzy na czworakach wydostali się na pokład. Wszyscy trzej wyjrżeli ostrożnie ponad nadburciem, po czym wyprostowali się, starannie chowając broń za plecami.

Rolla zwolnił nieco i był trzydzieści metrów za motorówką – został zablokowany przez traktor ciągnący sporą przyczepę, którego wyminięcie uniemożliwiał mu sznur wozów nadjeżdżających z południa.

–Szybciej – polecił Czerda Masaine'owi. – Ale nie za szybko... trzymaj się trochę przed tym traktorem... O tak, właśnie tak. Spokojnie obserwował, jak traktor mija ostatni z jadących na północ samochodów i mruknął:

–No to zaczynamy.

Za traktora wyłoniła się długa, zielona maska rolla-royce'a. Stojący na pokładzie wycelowali spokojnie, a widząc to traktorzysta skręcił tak gwałtownie, że zatrzymał się z prawym, przednim kołem zwisającym nad kanałem. Jego gwałtowny manewr niespodziewanie odsłonił cały samochód. Bowman z bronią gotową do strzału zdążył jedynie skulić się za osłoną drzwi, gdy zaczęła się kanonada. Kule z głuchym stukiem wbijały się w karoserię i wybijały szyby. Przednia pokryła się taką siatką pęknięć, że musiał ją usunąć, gdy dodawał gazu, by cokolwiek widzieć przed sobą. Zdawał sobie sprawę, że bez elementu zaskoczenia nie miał żadnych szans przeciwko trzem strzelcom, stojącym spokojnie na pokładzie. Przez myśl mu przeszło, co też wielki księżę powie na gwałtowny spadek wartości swej limuzyny.

Ze sporą szybkością wjechał do Le Grau-du-Roi i z lekkim poślizgiem zatrzymał się przed wjazdem na zwodzony most, łączący ponad kanałem obie części miasta. Z torebki Cecile wyjął plik gotówki, którą zabrał z wozu Czerdy, wziął kilka banknotów, resztę schował z powrotem, a torebkę włożył do skrytki, mając nadzieję, że mieszkańcy Grau-du-Roi są ludźmi uczciwymi, po czym wyskoczył z wozu i zbiegł po schodach na przystań.

Na nabrzeżu zwolnił i spacerkiem zbliżył się do cumujących wzdłuż lewego brzegu kutrów rybackich. Spodobał mu się jeden o szerokim kadłubie, wysokim dziobie i mocnej konstrukcji, który stał obok mostu. Kuter nie był nowy, ale w dobrym stanie. Na pokładzie siedział szpakowaty rybak i cerował porwaną sieć.

–Ładną ma pan łódkę – zagaił Bowman jak prawdziwy turysta. Jest do wynajęcia?

Rybak aż się zachnął na tak bezpośrednio postawione pytanie. Sprawy finansowe od lat załatwiano tu znacznie dłużej.

–Czternaście węzłów, a zbudowana jak czołg – odparł z dumą. Najlepsza na południu Francji: dwa diesle Perkinsa. Szybka i mocna. Ale tylko do wynajęcia. I jeśli ryba nie bierze.

–Szkoda – mruknął Bowman, wyciągając z kieszeni szwajcarskie franki. – Nawet na godzinę? Mam ważne powody, może mi pan wierzyć.

Mówił szczerą prawdę. Od wylotu kanału narastał warkot cygańskiej motorówki. Rybak zmrużył chytre oczy – niełatwo jest ocenić nominalną zagraniczną walutę z odległości powyżej metra. Rybacy i marynarze słyną jednak z dobrego wzroku, toteż wstał szybko i trzepnął się w udo.

–Zrobię wyjątek – oznajmił i dodał: – ale naturalnie płynę z panem.

–Niczego innego się nie spodziewałem – Bowman wręczył mu dwa tysiącfrankowe banknoty.

Nastąpił trudny do zauważenia ruch nadgarstka i pieniądze zniknęły. – Kiedy pan sobie życzy wypłynąć?

–Zaraz – odparł Bowman.

I tak miałby tę łódź, ale wolał zapłacić za nią pieniędzmi Czerdy, niż wymachiwać bronią jako argumentem w dyskusji. Był pewny, że w końcu będzie musiał jej użyć.

Odcumowali natychmiast i rybak zapuścił silniki. Bowman rozejrzał się, słysząc coraz głośniejszy warkot motorówki, po czym odwrócił się i przyglądał, jak rybak otwiera przepustnicę i kręci kołem sterowym. Powoli kuter odsunął się od nabrzeża.

–To nie wygląda na specjalnie trudne – zauważył Bowman. – Mam na myśli manewrowanie tym kutrem.

–To tylko tak wygląda, ale potrzebne są lata doświadczeń. – Mogę spróbować?

–Nie. Jak znajdziemy się na pełnym morzu, to może... – Jestem zmuszony nalegać. Proszę!

–Ale z pana uparciuch. No dobrze. Za pięć minut...

–Przykro mi, ale to trochę za późno – Bowman wyjął pistolet i wskazał lufą prawy kąt sterówki. – Proszę tam usiąść.

Rybak przyjrzał mu się, potrząsnął głową, następnie puścił koło sterowe i odszedł w

kąt.

–Wiedziałem, że głupio robię. Chyba za bardzo lubię pieniądze. – Nie tylko pan – pocieszył go Bowman, łapiąc za ster i spoglądając przez ramię.

Motorówka była mniej niż sto metrów od zwodzonego mostu. Czym prędzej zwiększył prędkość i kuter wyrwał do przodu. Bowman wyciągnął ostatnie trzy tysiące z gotówki Czerdy i rzucił je rybakowi, mówiąc:

–Dzięki temu będzie się pan mniej głupio czuł. Ten spojrział na banknoty, lecz ich nie podniósł.

–Kiedy będę martwy, zabierze je pan z powrotem – powiedział spokojnie. – Pierre des Jardins nie jest aż takim głupcem.

–Kiedy pan będzie martwy? – zdziwił się Bowman.

–Kiedy mnie pan zabije z tego pistoletu – ry: ak uśmiechnął się smutno. – To wspaniale mieć taki pistolet, prawda?

–Prawda – Bowman chwycił broń za lufę i ostrożnie podał pytającemu. – Jak się pan teraz czuje?

Pierre spojrział na pistolet, wycelował w Bowmana i odłożył. Podniósł upuszczone banknoty, schował je starannie i ponownie wziął broń. Podeszedł do Bowmana i wsadził mu pistolet do kieszeni.

–Niestety, w strzelaniu nie jestem zbyt dobry – przyznał.

–Ani ja. Niech się pan obejrzy. Czy widzi pan tę motorówkę? Pierre posłusznie odwrócił się. Motorówka była sto metrów za nimi. – Znam ją. Mój przyjaciel Jean...

–Pogadamy sobie o nim potem, dobra? – przerwał mu Bowman i wskazał na drobnicowiec płynący wolno po zatoce. – Łajba nazywa się "Canton" i jest chińska. Płynie też do Chin. W tej motorówce są faceci, chcący wsadzić na pokład tego chińskiego statku ludzi wbrew ich woli. Muszę ich powstrzymać.

–Dlaczego?

–Niech pan nie zadaje głupich pytań, bo będę musiał wyjąć broń i znów pana tam usadzę.

Bowman obejrzał się szybko za siebie. Motorówka była zaledwie pięćdziesiąt metrów z tyłu.

–Jest pan Anglikiem, oczywiście. – Jestem.

–I agentem swojego rządu? – Tak.

–Tego, co my nazywamy Secret Service? – Tego.

–Nasz rząd wie o tobie?

–Jestem oddelegowany do waszego Deuxieme Bureau. Ich szef jest moim szefem.

–Pewnie to prawda – westchnął Pierre. – I chcesz zatrzymać tę motorówkę? To lepiej się odsuń. W prowadzeniu własnego kutra mam wprawę.

Bowman bez słowa skinął głową. Wyjąwszy broń, przeszedł do okienka z prawej strony i uchylił je. Motorówka była jakieś trzy metry z tyłu i sześć z boku. Przy sterze stał Czerda, mając obok wielkiego księcia. Bowman wycelował i czym prędzej opuścił broń, gdyż kuter położył się nagle na burtę w gwałtownym skręcie. Parę sekund później jego ciężki, dębowy dziób rąbnął z trzaskiem w burtę motorówki na wysokości sterówki.

–O to mniej więcej chodziło? – spytał z uśmiechem Pierre.

–Mniej więcej – przyznał Bowman. – Teraz niech pan posłucha. Musi się pan o tym dowiedzieć.

Obie łodzie płynęły równolegle do siebie, a motorówka jako szybsza wyprzedzała kuter. W jej kabinie panowało spore zamieszanie, z którego po paru sekundach wybił się głos de Croytora:

–Ten idiota to był kto?

–Bowman – w głosie Czerdy nie było śladu wątpliwości. – Zastrzelić go! – polecił książę. – Już!

–Nie! – zaprotestował Czerda. – Nie? Ośmielasz się...

–Czuję ropę. Jeśli zaczniemy strzelać, to nas wszystkich diabli wezmą. Ferenc, sprawdź zbiornik!

Ferenc zniknął natychmiast i wrócił po dziesięciu sekundach. – I co? – spytał Czerda.

–Zbiornik burtowy jest pęknięty przy samym dnie. Paliwa prawie już nie ma – zameldował Ferenc.

Jakby na potwierdzenie tych słów lewy silnik zakrztusił się, parsknął i zgasł. Czerda i de Croytor spojrzeli na siebie wymownie.

Obie łodzie tymczasem wypłynęły z portu i znajdowały się na otwartych wodach zatoki. Motorówka, mająca tylko jeden sprawny silnik, zwolniła tak znacznie, że znów znalazła się obok kutra, który natychmiast powtórzył manewr sprzed paru sekund. Dziób trafił prawie dokładnie w to samo miejsce co poprzednio.

–A niech to wszyscy diabli! – wściekł się wielki książę nie próbując nawet tego ukryć. – Przedziurawią nas! Nie można jakoś uciec?

–Przy jednym silniku sterowanie jest w ogóle trudne – opanowanie Czerdy było godne podziwu.

Miał też całkowitą rację. Bez jednego silnika i z dziurawą burtą, przez którą stale wlewała się woda, trudno było utrzymać kurs. Z wielkim trudem, a przecież Czerda nie był marynarzem, motorówka posuwała się do przodu.

–A to co znowu? – zdziwił się de Croytor, wskazując znajdujący się o trzy mile od nich stary frachtowiec.

Statek będący w połowie drogi do Palavas zatrzymał maszyny i nadawał coś latarnią sygnałową.

–To “Canton”! – ucieszył się Searl tak bardzo, że przestał ścisnąć zranione ramię. – Musimy im odpowiedzieć. Trzy długie, trzy krótkie. – Nie! – sprzeciwił się zdecydowanie książę. – Oszalałeś! Nie możemy ich w to mieszać. Międzynarodowe reperkusje... Uwaga!

Kuter wykonał ostry skręt. Książę i Ferenc odpowiedzieli strzałami, wybijając szyby w sterówce rybackiej łodzi. Pierre ani Bowman nie odnieśli szwanku, gdyż widząc co się święci, padli na pokład. Ferenc i de Croytor zrobili to samo za chwilę, gdy dębowy dziób wyrznął w burtę motorówki niepokojąco blisko miejsca, w którym przed chwilą stali.

W ciągu najbliższych dwóch minut kuter powtórzył ten manewr pięciokrotnie. Natomiast ucichły strzały – kończyła się amunicja, toteż wielki książę kazał ją oszczędzać.

–Trzeba ich użyć, kiedy będą najbardziej potrzebne – wyjaśnił, zachowując zadziwiający spokój. – Następnym razem...

–“Canton” odpływa! – przerwał mu krzyk Searla. – Zobaczcie! “Canton” faktycznie dał całą naprzód i płynął z coraz większą prędkością.

–A czego się spodziewałeś? – parsknął de Croytor. – Nie ma strachu, spotkamy się wkrótce.

–Jak to? – zdziwił się Searl. – Potem. Mówiłem, że...

–Toniemy! – Searl był bliski hysterii. – Toniemy.

Miał rację – motorówka była głęboko zanurzona w wodzie, a przez wybite w burtach otwory przedostawało się coraz więcej wody, chlupocząc groźnie we wnętrzu kadłuba.

–Zdaję sobie z tego sprawę – stwierdził zimno wielki książę i zwrócił się do Czerdy.
– Znów się zbliżają. Ostro w prawo! Szybko! Ferenc, Searl i El Brocador za mną.

–Moje ramię! – jęknął Searl.

–Nic mnie to nie obchodzi. jazda.

Stanęli w drzwiach kabiny, gdy kuter zbliżył się ponownie. Tym razem jednak motorówka zdołała uniknąć uderzenia i tylko otarła się o rybacką łódź. Kiedy sterówka kutra minęła kabinę motorówki, wielki książę i trzej mężczyźni wyskoczyli na pokład. Książę wyczekał odpowiedni moment i z szybkością oraz zręcznością zadziwiającą u kogoś jego postury stanął na burcie, po czym skoczył na rufę przepływającej łodzi. W ciągu dwóch sekund pozostali dołączyli do niego.

Gdy Bowman odwrócił się gwałtownie, słysząc za sobą skrzyp otwieranych drzwi wiodących na prawą burtę, zobaczył w ruch Ferenc'a i Searla.

–Nie! – głos dobiegł go z tyłu.

Bowman odwrócił się powoli. Lufy pistoletów w dłoniach księcia i El Brocadora były wymierzone w jego głowę.

–Chyba wystarczy? – spytał de Croytor. Bowman powoli przytaknął.

–Chyba rzeczywiście wystarczy – przyznał.

Rozdział dziesiąty

Kwadrans później, kiedy zaczął zapadać już zmrok, kuter wpłynął na wody kanału, prowadzony pewną ręką dziwnie spokojnego Pierre'a des Jardins. Na pokładzie dziobowym siedzieli naukowcy wraz z rodzinami, pilnowani przez Cyganów. Wyglądali jak turyści podczas wycieczkowego rejsu.

Z okien usunięto potłuczone szyby, żeby nie zwracały uwagi przechodniów, a dziury po kulach w ścianach sterówki zasłonili sobą Masaine i El Brocador. Wewnątrz sterówki oprócz rybaka byli jedynie Bowman i de Croytor.

Kilka mil w górę kanału minęli traktor, który tak gwałtownie skręcił, gdy rozpoczęła

się strzelanina między rolls-royce'em i motorówką. Traktor nadal zwiślał jednym kołem nad kanałem, najwyraźniej traktorzysta zdecydował się poczekać na fachową pomoc i nie ryzykować utopienia pojazdu. Zresztą nadal był przy traktorze spacerując tam i z powrotem z ponurą miną.

Czerda wszedł do sterówki.

–Nie podoba mi się to wszystko – oznajmił. – Naprawdę mi się to nie podoba. Jest za spokojnie. To może być pułapka. Z pewnością niektórzy...

–Lepiej się czujesz na ten widok? – przerwał mu książę, wskazując drogę obok kanału, którą gnały dwa policyjne wozy wyjąc klaksonami i błyskając światłami. – Coś mi mówi, że nasz znajomy traktorzysta zrobił komuś niezłą awanturę.

Przecucie księcia potwierdziło się, bowiem oba wozy zwolniły na widok gwałtownie wymachującego traktorzysty, który wyskoczył na środek drogi. Zatrzymały się z piskiem opon, a z ich wnętrza wysypały się umundurowane postacie. Policjanci otoczyli traktor i traktorzystę, który zaczął żywo gestykulować, opisując, co też mu się przytrafiło.

–jeśli policja interesuje się kimś, to raczej wątpić należy, że będzie w stanie równocześnie interesować się nami – zauważył filozoficznie de Croytor. – Ulżyło ci, Czerda?

–Nie – odparł Cygan. – Nie dają mi spokoju dwie sprawy. Po pierwsze, to dziesiątki, jeśli nie setki ludzi musiały widzieć nasze wyczyny w zatoce. Dlaczego nikt nas nie zatrzymał w porcie? Dlaczego nikt nie doniósł policji?

–Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia – przyznał książę. – Choć domyślam się, że właśnie dlatego, iż było tylu świadków. Tak to już przeważnie jest. Każdy myśli, że ktoś inny już zawiadomił policję i sam nic nie robi. Poza tym ostatnio panuje znieczulica; można kogoś zatłuc na śmierć na środku ulicy i dosłownie nikt na to nie zareaguje. Nie wiem i nie chcę wiedzieć. Interesuje mnie jedynie to, że pies z kulawą nogą nie zainteresował się nami, gdy byliśmy w porcie. Drugi problem?

–Co, do diabła, mamy teraz robić?

–To xue twój problem – uśmiechnął się książę. – Nie powiedziałem, że jeszcze zobaczymy stary, dobry "Canton"?

–Tak, ale jak...

–Ile zajmie nam dotarcie do Port le Bouc?

–Port le Bouc? – Czerda zmarszczył brwi. – Z przyczepą i resztą? – No a jak to sobie wyobrażasz?

–Dwie i pół godziny. No, może trzy. Ale nie więcej. A dlaczego? – Bo zgodnie z umową ma tam na nas czekać "Canton", jeśli pierwsze spotkanie z jakichś powodów nie dojdzie do skutku. Będzie tam do jutra, a my dotrzemy na miejsce jeszcze dziś. Dotąd nie zrozumiałeś, że ja zawsze mam jakiegoś asa w rękawie? A nawet kilka. Tam też załadujemy na pokład naukowców z rodzinami i Bowmana. Żeby uniknąć ryzyka, to te dwie panienki i tego pechowego rybaka także.

Pierre słysząc, że o nim mowa uniósł brew i skoncentrował się na prowadzeniu kutra. Jak na kogoś, kto właściwie usłyszał wyrok śmierci, zachował podziwu godny spokój.

–Apotem, Czerda, ty i twoi ludzie będziecie mieli zapewniony spokój i wolność – dodał de Cxoytor. – Jedyni świadkowie znikną jak senna zmora, więc ani ślad podejrzenia na was nie padnie. Ani też na waszych pomocników za żelazną kurtyną.

–Przepraszam, jeśli dotąd wątpiłem w to, że zawsze ma pan rację – Czerda mówił powoli, niemal z namaszczeniem. – Jest pan genius

Bzem. – Miał przy tym minę człowieka, któremu przed plutonem egzekucyjnym odczytano ułaskawienie.

–Elementarna logika – wielki ksiązę machnął lekceważąco ręką. – Teraz do rzeczy. Wkrótce powinniśmy zobaczyć przystań, a nie chcemy przerazić obu panienek. Mają przecież delikatne systemy nerwowe. Taki szok mógłby spowodować, że pełnym gazem odjadą wszystkim, co tylko jeździ, zanim zejdziemy na ląd. Tak więc wszyscy do ładowni i ani mru-mru. Ty i ja zostaniemy tutaj, a Bowman grzecznie podpłynie do pomostu. Zrozumiałe?

–Zrozumiałe – Czerda spoglądał nań z podziwem. – Myśli pan o wszystkim.

–Staram się – odparł skromnie ksiązę. – Staram się.

Na pomoście czekały trzy dziewczyny i chłopak na skuterze. Gdy Bowman podpłynął, wyglądało, że jest sam, toteż Cecile i Lila błyskawicznie zacumowały łódź, gdy rzucił im liny i wbiegły na pokład z nieco mieszanymi uczuciami, gdyż nie były pewne, jakie są ostateczne wieści. Carita pozostała na przystani, niezbyt chętna do pomocy.

–I co? – zniecierpliwiła się Cecile. – Powiedz, co się stało?

–Przykro mi, ale sprawy się skomplikowały – odparł smętnie Bowman.

–Nie dla wszystkich – dodał jowialnie de Croytor.

Podniósł się, trzymając w dłoni pistolet. Obok niego stanął Czerda, także uzbrojony i uśmiechnął się po swojemu na widok dziewcząt.

–Miło was znów widzieć – ciągnął ksiązę. – Zwłaszcza ciebie, Carita. Miło spędziłaś czas z tymi dwiema młodymi osóbkami?

–Nie – odparła zwięźle Carita. – Nie chciały ze mną rozmawiać. – Uprzedzenia, moja droga. Czerda, wszyscy na pokład i do wozów. Ale już! – Spojrzał na pomost. – A kto zacz ten młody człowiek na skuterze?

–Josó! – Czerda był w nastroju radosnego oczekiwania, co u niego było niezwykle. – Chłopak, którego posłałem po pieniądze, które mi... to znaczy nam ukradł Bowman. Josó! Josó!

Słyszając własne imię i widząc machającego do niego Czerdę, chłopak zsiadł ze skutera i wszedł na pokład. Był wysoki i chudy jak szczapa, o grzywie czarnych

włosów, kaprawych oczach i wyrazie twarzy świadczącym, że wiele już w życiu widział, a niewiele go zaskoczyło.

–Pieniądze! – zarządził Czerda. – Masz pieniądze?

–Jakie pieniądze? – zdumiał się młodzieniec.

–Oczywiście! Co za dureń ze mnie. Dla ciebie to ta paczka w brązowym papierze – uśmiechnął się z wysiłkiem Czerda. – Ale klucz pasował?

–Nie wiem – procesy myślowe młodziana najwyraźniej nie miały nic wspólnego z inteligentnym wyrazem jego twarzy.

–Co to znaczy, nie wiesz?

–Nie wiem, czy klucz był właściwy czy nie – wyjaśniał cierpliwie Josó. – Wiem tylko, że na dworcu w Arles nie ma skrytek depozytowych.

Zapadła długa cisza, podczas której przez umysły części zebranych przemknęło wiele myśli, a żadna z nich nie była zbyt przyjemna.

Ciszę przerwało chrząknięcie Bowmana.

–Obawiam się, że to raczej moja wina – oznajmił przeproszająco. – To kluczyk od mojej walizki.

Ponownie zapadła cisza, którą przerwał pełen wymuszonego spokoju głos de Croytora:

–Hluczyk do twojej walizki. Tego właśnie należało się spodziewać. Gdzie w takim razie jest moje osiemdziesiąt tysięcy franków?

–Siedemdziesiąt tysięcy – poprawił go Bowman. – Obawiam się, że reszta poszła na koszty bieżące. – Wskazał głową Cecile – sama ta suknia kosztowała mnie...

–Gdzie pieniądze? – wrzasnął książę, po raz pierwszy tracąc panowanie nad sobą. – Gdzie te siedemdziesiąt tysięcy?

–A, tak... Hm... cóż... – Bowman potrząsnął ze smutkiem głową. – Tyle się wydarzyło od ostatniej nocy...

–Czerda! – Wielki książę wrócił jako tako do równowagi. – Przystaw pistolet do głowy panny Dubois, a ja policzę do trzech.

–Szkoda zachodu.– oznajmił Bowman. – Zostawiłem je w jaskiniach Les Baux, przy grobie Aleksandra...

–Gdzie?!

–Nie jestem idiotą – odparł zmęczonym głosem Bowman. – Wiem, że policja mogła się tam znaleźć dziś rano, a raczej powinna się tam znaleźć, i że mogła... Umieściłem je w pobliżu.

Książę przyjrzał mu się z namysłem, po czym spytał Czerdę:

–Jeśli się nie mylę, to niewiele nadłożymy drogi na trasie do Port le Bouc?

**–Dodatkowe dwadzieścia minut, nie więcej – odparł Czerda i wskazał na Bowmana.
– Kanał jest tu głęboki. Czy musimy go ze sobą ciągnąć?**

–Dopóki nie stwierdzimy, że tym razem powiedział prawdę – powiedział ponuro książę. – Aarii chwili dłużej.

Zapadł już zmrok, gdy zatrzymali się na parkingu w pobliżu wejścia do jaskiń. Wielki książę, który wraz z El Brocadorem jechał z Czerdą w sfoferce, wysiadł, przeciągnął się i poleciał:

–Żony naukowców zostają tutaj, pod strażą Masaine'a. Reszta idzie z nami.

–Po co nam wszyscy inni? – zdziwił się Czerda.

**–Mam swoje powody – de Croytor tym razem nie bawił się w wyjaśnianie. –
Kwestionujesz moje decyzje?**

–Teraz? Skądże!

–W takim razie bądź łaskaw dopilnować ich wykonania.

Kilka minut później całą grupą weszli do ponurego labiryntu jaskiń. Było ich w sumie jedenaścioro: Czerda, Ferenc, Searl, El Brocador, trzech naukowców, Cecile, Lila, Bowman i wielki książę. Część niosła latarki, których światło odbijało się w upiornie białych ścianach. Prowadził Czerda. Szedł pewnie, nie klucząc, jakby doskonale znał okolicę. Wkrótce stanęli u stóp skalnego usypiska w jaskini z dziurawym stropem. Czerda podszedł do wzniesionego u jej podstawy kamiennego kopca i oświadczył:

–To tutaj.

–Jesteś pewien? – książę przejechał światłem latarki po ścianach. – Jestem pewien – Czerda skierował swoją latarkę tak, że oświetliła kopiec. – Niewiarygodne, nie? Ci idioci z policji jeszcze go nie znaleźli!

De Croytor także oświecił kopiec. – Masz na myśli...

–Aleksander. Tu właśnie go pochowaliśmy.

–Aleksander nie jest już naszym zmartwieniem – mruknął książę i zwrócił się do Bowmana. – Pieniądze.

–A, tak. Pieniądze – Bowman wzruszył ramionami i uśmiechnął się. – Obawiam się, że to koniec wycieczki. Tu nie ma żadnych pieniędzy.

–Co? – wielki książę odwrócił się błyskawicznie i dźgnął go lufą pod żebra. – Żadnych pieniędzy?

–Są bezpieczne w banku w Arles.

–Oszukiwałeś nas? – w głosie Czerdy było czyste niedowierzanie. – Pokonaliśmy całą tę drogę... Przedłużyłeś sobie życie o pół godziny!

–Dla kogoś skazanego na śmierć to bardzo wiele – Bowman uśmiechnął się spoglądając na Cecile. Następnie zwrócił się do Czerdy: – Ale też bardzo mało.

Cygan był bardziej zdziwiony niż wtedy, gdy dowiedział się, że pieniądze przepadły. Uniósł broń. Wielki książę złapał go za nadgarstek i zmusił do opuszczenia ręki.

–To mój przywilej! – warknął ponuro.

–Jak pan sobie życzy – zgodził się Cygan.

De Croytor wycelował w Bowmana, po czym wskazał bronią na prawo. Ten przez chwilę się wahał, lecz tylko wzruszył ramionami i skierował się ku wejściu do sąsiedniej jaskini. Wielki książę poszedł za nim, trzymając broń w pogotowiu.

Obaj zniknęli za załomem skalnym i po paru sekundach od ścian odbił się echem huk pojedynczego wystrzału, po którym nastąpił łoskot padającego ciała. Naukowcy byli przerażeni i całkowicie załamani. Zaś Czerda i jego gromadka spoglądali na siebie z mściwą satysfakcją. Lila i Cecile odruchowo przytuliły się do siebie, blade jak płótno i zapłakane. Po chwili rozległy się ciężkie, miarowe kroki i wszyscy jak na komendę odwrócili się ku wylotowi sąsiedniej jaskini, w której zniknęli obaj mężczyźni.

Nagle przed zebranymi ukazali się wielki książę i Bowman. Obaj mieli pistolety w rękach.

–Lepiej nie próbujcie – ostrzegł Bowman.

–Całkowicie się z tym zgadzam – dodał de Croytor.

Lecz gdy minął szok, Ferenc i Searl spróbowali. Huknęły dwa strzały, wrzasnęły

dwie osoby, po czym rozległ się łośkot padających na ziemię pistoletów. Obaj Cyganie zostali trafieni w ramię, zaś Searl został ranny w tę samą rękę. Bowman wcale mu nie współczuł, gdyż to właśnie on skatował Tinę.

–Niektórzy nigdy się niczego nie nauczą – podsumował krótko. – Rzeczywiście, niektórych nie można niczego nauczyć – potwierdził ksiązę.

Po czym spojrział na Czerdę z miną dobitnie świadczącą, że wolałby patrzeć na coś bardziej atrakcyjnego.

–Z prawnego punktu widzenia nic na ciebie nie mieliśmy – wyjaśnił de Croytor. – Ani śladu dowodu, ani świadka. Nic. Aż do chwili, kiedy osobiście i bez przymusu przyprowadziłeś nas do grobu Aleksandra i publicznie przyznałeś, że tu go pochowałeś. Teraz wiesz, po co byli mi potrzebni ci wszyscy ludzie i dlaczego Bowmanowi tak zależało,

by przedłużyć swoje życie o pół godziny. Tak na marginesie, Neil, to gdzie w końcu są te pieniądze?

–W torebce Cecile w skrytce rolla-royce'a.

Obie dziewczyny zbliżyły się niepewnie. f;zy im zdążyły obeschnąć, ale widać było, że nadal niczego nie rozumieją. Bowman schował broń i objął je.

–Teraz to rzeczywiście koniec – oznajmił, podnosząc lekko głowę Lili, aż spojrział jej w oczy. – Ksiązę de Croytor jest rzeczywiście księciem de Croytor, a w dodatku od wielu lat moim szefem.

Epilog Hotel Baumaniere – oaza spokoju w dzikiej okolicy Les Baux – tonął

w promieniach księżyca. Bowman upił łyk wina i uniósł brew widząc, jak wychodząca na taras Cecile potknęła się o przewód telefoniczny. Jednak bezpiecznie dotarła do fotela i usiadła z westchnieniem ulgi.

–Dwadzieścia cztery godziny – powiedziała. – Tyllco dwadzieścia cztery godziny. Nie mogę w to uwierzyć.

–Wiesz, przydałyby ci się okulary – zauważył spokojnie. – Mam okulary.

–W takim razie dobrze by było, gdybyś je nosiła – dodał miękko. – Wolałbym, żebyś się nie zabiła na prostej drodze. Poza tym męża już znalazłaś.

–Och, bądź cicho! Co z tą dziewczyną?

–Tina jest w szpitalu w Arles. I pozostanie tam przez ładnych parę dni. Jej ojciec i

madame Zigair są wraz z nią, a Hobenautowie i Tangovecowie jedzą gdzieś kolację. Może nie jest to okazja do balu, ale z pewnością czują dużą ulgę. A Pierre des Jardins powinien już dotrzeć do domu w Le Grau-du-Roi.

–Nadal nie mogę w to uwierzyć.

Bowman przyjrzał się jej podejrzliwie i dopiero wtedy dotarło do niego, że słuchała go tylko częściowo, myśląc o czymś zupełnie innym. Jak się okazało, miał rację.

–On... on naprawdę jest twoim szefem?

–Charles? Naprawdę. Jeśli o niego chodzi, to nikt w nic nie wierzy. Jestem eks-oficerem wywiadu wojskowego i eks-attaché wojskowym w Paryżu. Teraz mam, powiedzmy, inne zajęcia.

–Powiedzmy – zgodziła się podejrzanie łatwo.

–jedyną osobą, oprócz nas, która wie o tej sprawie, jest Pierre. Dlatego był dziś taki spokojny i mało mówny. Został zaprzysiężony, by zachował milczenie. Ty zresztą też.

–Nie wiem, czy to mi się podoba.

–Zrobisz, co ci polecono. Charles jest znacznie wyżej w hierarchii niż sądzisz. Pracujemy razem od ośmiu lat, a od dwóch byliśmy pewni, że Cyganie z za żelaznej kurtyny przemycają coś przez granice przy okazji pielgrzymek. Tylko nie wiedzieliśmy co. Tym razem, choć trudno w to uwierzyć, sprawę nadali nam sami Rosjanie. Ale nawet oni nie wiedzieli, co tak naprawdę się dzieje.

–A ten cały Gaiuse Strome...

–Nasz chiński przyjaciel? Chwilowo zatrzymany przez francuską policję. Zaczął być zbyt wścibski i Charles go przymknął za uchybienia formalne. Niestety, będą go musieli wypuścić, bo ma immunitet dyplomatyczny – jest attaché wojskowym Chin w Tiranie.

–Gdzie?

–To stolica Albanii, kochanie.

Cecile wyjęła z torebki okulary, założyła je zdecydowanym ruchem i bacznie mu się przyjrzała.

–Powiedziano nam... – zaczęła. – Nam?

–Lili i mnie. Jesteśmy sekretarkami w admiralicji. Kazano nam uważać na was dwóch. Powiedziano nam, że jeden z was jest podejrzany...

–Bardzo mi przykro. Zaaranżowaliśmy to z Charlesem. Odgrywaliśmy stary numer: ten dobry i ten zły, a więc nie mogliśmy być widziani razem. Potrzebowaliśmy bezpiecznego kanału łączności, jak pogawędki starych przyjaciółek albo meldunki telefoniczne, które regularnie składały swoim szefom. Jak widać zadziałało idealnie.

–Zaaranżowaliście to – powtórzyła niezbyt miłym tonem. – Wiedziacieś...

–Przepraszam. Nie mieliśmy innego wyjścia. – Chcesz powiedzieć...

–Tak.

–Różowe znamię...

–Jeszcze raz przepraszam, ale to było najkompletniejsze dossier, jakie w życiu widziałem – przyznał Bowman z podziwem.

–Gardzę tobą! Jesteś najpodlejszym...

–Wiem i wcale mnie to nie martwi. Martwi mnie natomiast, że dotychczas zdołaliśmy załatwić tylko dwie druhny, a powiedziałem...

–Dwie zupełnie wystarczają – przerwała mu stanowczo Cecile. Bowman uśmiechnął się, podał jej ramię i razem podeszli do balustrady. Niemal wprost pod nimi siedzieli książę de Croytor i Lila, naturalnie przy suto zastawionym stole. Ponieważ de Croytor trzymał w dłoni

nie napoczętą nogę jagnięcia i niczego nie przeżuwał, musiał być w poważnym szoku.

–Dobry Boże! – wykrztusił, spoglądając uważnie w twarz dziewczyny z odległości około kilkunastu centymetrów. – Blednę na samą myśl. Mogłem cię stracić na zawsze i nigdy się nie dowiedzieE...

–Och, Charles!

–Naprawdę jesteś kucharką Cordon Bleu? – jestem.

–*Brochettes de queues de langoustines su beurre blanc?* - Tak, Charles.

–*Poulet de la ferme au~champagne?* – Tak, Charles.

–*Filets de sole Retival?* - Oczywiście.

–*Pintadeau aur morilles?* - Moja specjalneść.

–Lila, kocham cię! Wyjdź za mnie! – Och, Charles!

Objęli się, nie zważając na pełne zaskoczenia spojrzenia pozostałych gości. Symbolicznie być może noga jagnięcia wylądowała na podłodze. Nadal pod rękę, Bowman i Cecile zeszli na patio.

–Nie daj się ogłupić temu tam Romeo – powiedział Bowman. – Nic go nie obchodzi jedzenie, jeśli w grę wchodzi twoja przyjaciółka.

–Wielki książę tak naprawdę jest nieśmiałym chłopcem?

–Klasyczne oświadczenia nie są jego najmocniejszą stroną. Tak bym to ujął.

–A twoją?

Podprowadził ją do stolika i zamówił drinki. – Przepraszam, nie rozumiem.

–Kobiety lubią być proszone o rękę,

–Ach! Cecile Dubois, czy wyjdiesz za mnie? – Myślę, że tak.

–*Touchel* – uniósł kielich. – Za Cecile. – Dziękuję. Bardzo pan łaskaw.

–To nie za ciebie. To za naszą drugą pociechę.

Uśmiechnęli się do siebie i jednocześnie spojrzeli na sąsiedni stolik. Wielki książę i Lila nadal patrzyli sobie namiętnie w oczy, ale książę doszedł już do jako takiej równowagi ducha, klasnął bowiem majestatycznie w rękę, i zarządził gromko:

–*Encore!*

SPIS RZECZY

Wstęp... 5 Rozdział pierwszy.... 13 Rozdział drugi... 30 Rozdział trzeci... 46 Rozdział
czwarty.... 62 Rozdział piąty... 76 Rozdział szósty... 92 Rozdział siódmy... 103
Rozdział ósmy... 117 Rozdział dziewiąty... 134 Rozdział dziesiąty.... 151 Epilog.... 158

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-11-08

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/